

# Ostatni rycerz króla Artura

Bidwell George



calibre 0.9.43

George Bidwell

Ostatni rycerz

króla Artura

Prolog

W najświetniejszym z angielskich kościołów, pochodzącym z XI wieku Opactwie Westminsterskim w Londynie, wyróżnia się kaplica w zachodnim skrzydle. Ten, którego sakralny pomnik upamiętnia, własnym kosztem wykończył zachodnie skrzydło, o sześciu wnękach w nawie. W górującej nad nimi kaplicy mieszczą się grobowce królów z dynastii Plantagenetów, panującej od roku 1154, następnej po władcach normańskich. Kaplica ma kształt litery „H”, zdoła ją bogactwo wspaniałych rzeźb. U jej szczytu wisi tarcza, siodło i hełm, ten ostatni naznaczony blizną głębokiej szczyrby od ciosu zadanego w gęstwie bitwy noszącemu niegdyś hełm wojownikowi, rozmiłowanemu w walkach. Pod sarkofagiem leżą doczesne szczątki rycerza i władcy według tradycji arturiańskiej. Był ostatnią wielką postacią angielskiego średniowiecza. Jego ideały i cele — supremacja królewska w kościele i państwie, monarcha władający narodem z powiernictwa Boga, wymiana praw i obowiązków między różnymi warstwami społeczeństwa, zdobycie z bronią w rękę chimerycznego dziedzictwa — odchodziły już w jego ojczyźnie w przeszłość, wypierane przez historię. Powstawały nowe klasy społeczne — bogaci kupcy, armatorzy, bankierzy, niezależni a prosperujący farmerzy, wolni chłopci, pośrednicy, pracownicy opłacani pieniędzmi — domagające się udziału w rządach. Ten ostatni rycerz króla

Artura jeszcze z powodzeniem realizował swoje ideały. Ale gdy nie stało jego silnej ręki — władającej ze stanowczością, talentem organizacyjnym, nieprzeciętną odwagą, zaufaniem we własne siły, sprawiedliwością wobec gminu, oraz szczerą, choć może nieco ostentacyjną skromnością i pobożnością — zawalił się gmach, którego wznoszeniu poświęcił swe krótkie panowanie.

Jednakże w jego triumfach i przykładzie Anglicy epoki Tudorów, w sto lat po jego śmierci, szukali i znajdowali podniety do swych śmiałych wyczynów, niełatwo dających się pomieścić w ramach prawa i słuszności.

A chwała jego zwycięstw i jego wezwanie, w imieniu Boga i patrona Anglii, świętego Jerzego, do zaszczytnej służby dla narodu, błyszczą jak jasne gwiazdy na zachodzącym już firmamencie późnego średniowiecza.

Na sarkofagu spoczywa wyrzeźbiona postać. Solidny dąb pierwotnie pokrywało pozłacane srebro. Przed przeszło czterystu laty barbarzyńskie dłonie grabieżców zdarły srebrne blachy i odcięły głowę, całą ze szczerego srebra. Dziś więc w kaplicy leży tylko kadłub, każąc niektórym komentatorom czynić porównania z pośmiertną nietrwałością osiągnięć polityki leżącego pod sarkofagiem władcy.

Rada koronna niemowlęcia, syna i dziedzica ostatniego z

Arturiańczyków spisała epitafium :

„...świat doczesny opuścił najbardziej chrześcijański obrońca

Kościola, paragon cnót i promień rozwagi, księżę niezwyciężony, kwiat i

chluba całego rycerstwa, Henryk tego imienia piąty od Podboju, król

Anglii, dziedzic i regent monarchii francuskiej, władca Irlandii — na

Zamku w Bois de Vincennes koło Paryża, ostatniego dnia sierpnia roku

Pańskiego tysiąc czterysta dwudziestego drugiego, a jego panowania  
dziesiąte-go-

Może spoczywający w kaplicy zachodniego skrzydła Opactwa

Westminsterskiego władca nie był tak dalece wzorem wszelkich cnót.

Jednakże epitafium wiernie przekazuje wizerunek, jaki przedstawiał za

życia i po śmierci oczom swoich poddanych ze wszystkich warstw

społeczeństwa, włącznie z Wiliamem Szekspirem i niektórymi jego

rodakami aż po dziś dzień.

*Część pierwsza*

DWIE KORONY ALBO ŻADNA

*Rozdział I*

Kuźnia wojny

Panoramę i tło jednego z najbardziej porywających i romantycznych

okresów w historii Anglii, ujętego w ramy trzydziestu pięciu lat,

stanowiących czas życia „kwiatu i chluby rycerstwa... króla Anglii,

dziedzica i regenta Francji" przedstawiają: „Kronika St. Albans" (1406—

1420) Thomasa Walsinghama, „Kronika" Johna Strecche (1414—1422),

„Gęsta Regis Henrici Quinti" pióra kapelana, który towarzyszył w

wyprawach wojennych królowi, oraz inne jeszcze źródła, współczesne i

późniejsze, włącznie z „Historie of England", wydaną w roku 1577 przez

Rafaela Holinsheda. Ostatnią z wymienionych, do dziś cytowaną przez

historyków, posługiwali się również poeci i dramaturdzy włącznie z

Williamem Szekspirem, gdy pisał swe sztuki historyczne: „Henryka IV" i

„Henryka V”.

Poszukajmy więc, co mówią nam źródła o roku 1414 — chociaż później nawrócimy jeszcze do lat dawniejszych — kiedy to, słowami Szekspira:

*Wszystka angielska młodzież w ogniu teraz;*

*W skrzyniach zamknięte jedwabne rozkosze;*

*To czas płatnerzy; w piersiach wszystkich mężów*

*Jedyną panią mysi teraz honoru;*

*Przedają łany, by kupić rumaka.*

I nie tylko młodzież płonie ogniem zapału. Wytrawni, doświadczeni wojownicy — magnaci i szlachta — rozkazują przejrzeć broje, wybierają wierzchowce. Siwobrodzi weterani, w daremnej nadziei wyprawienia się raz jeszcze na morze, ćwiczą szermierkę bronią, którą dotknęła już rdza, z trudem usiłują wepchnąć otyłe kształty w blachy pancerzy, uformowanych na ich młode, szczupłe członki. Muskularni wieśniacy i dworska służba, dla których łucznictwo stanowiło od dawna ulubiony, powszechnie uprawiany sport, zakładają nowe cięciwy, uzbrajają końce strzał w żelazne groty, a wszyscy „przedają łany, by kupić rumaka”.

Albowiem król Henryk, piąty tego imienia, wstąpiwszy właśnie na tron, ogłosił, iż zamierza odzyskać ziemie na tamym brzegu Kanału (La Manche), a przede wszystkim księstwo Normandii, które jego dziad, Edward Trzeci, w ciągu swego pół wieku trwającego panowania zdobył i utracił.

Z Francji i do Francji śpieszą poselstwa. Wysłannicy strony angielskiej kłopotą się raczej wynalezieniem pretekstu do wojny, niż utrwaleniem pokoju. Przedstawiają francuskiemu Karolowi Szóstemu żądania, które musi w imię honoru odrzucić. Henryk pretenduje do tronu francuskiego, choć mówiąc oględnie, ma po temu bardzo wątpliwe podstawy. Unia obu krajów pod jednym monarchą, dowodzi Henryk (a wolimy to nazwać wzruszającą naiwnością aniżeli czelną hipokryzją), zakończy raz na zawsze odwieczne dysputy między jego królestwem, a tym, do którego aspiruje. Mierząc dalej jeszcze, Henryk planuje zjednoczyć cały świat chrześcijański pod jednym sztandarem na ostatnią wielką wyprawę krzyżową, by oswobodzić Ziemię Świętą z rąk niewiernych i zagrozić oblężeniem muzułmańskiemu Konstantynopolowi.

W ciągu jego krótkiego panowania te „prawa” do tronu francuskiego stały się osobistą obsesją króla. Ale na razie, jak wszyscy agresorzy jego własnej i późniejszych epok, Henryk zapewnia wrogów i przyjaciół po równi, że myśli o wojnie tylko jako o metodzie zabezpieczenia pokoju.

Jedynym pokojem, jaki zabezpieczyły jego wojny za morzami, był pokój w kraju, gdzie

buńczuczni magnaci, gdy nie mają wspólnego wroga, skłonni są kłócić się między sobą, albo z bronią w ręku próbować osadzić nowego pretendenta na tronie angielskim — do którego to tronu własne prawa Henryka nie są bez skazy.

Króla umacnia w jego zakusach na Normandię i Francję poparcie wszystkich prawie sfer społecznych Anglii. Arcybiskupi, biskupi i

spowiednicy ogłosili słusność jego pretensji: Bóg niewątpliwie okaże łaskę wojującym o sprawiedliwość. Biskup Henryk Beaufort, stryj królewski, oznajmił parlamentowi, że „determinacja w poparciu ze strony poddanych, a także hojne subsydia są słuszne po stokroć... ponieważ im szerzej będą się rozpościerały dominia królewskie, tym mniejsze ciężary spoczną na każdym z poddanych." W rzeczy samej, Henryk Piąty, wyjątkowo wśród agresorów, i zresztą( tylko na krótko, potrafi ciągnąć zyski ze swoich wojen — tytułem okupów, pieniędzy za przyzy i danin, nakładanych na zdobyte miasta.

Szlachta, jak zwykle, pali się do wojaczki. To był jej zawód.

Wychowanie, zdolności, kodeks honoru od pokoleń przygotowywały szlachcica do wojen, w których niejeden odzyskał roztrwonione fortuny rodowe. Żądano wygórowanych okupów za wysoko urodzonych jeńców i często je otrzymywano, a w razie zwycięskiej wyprawy król nadawał-  
dobra w nowo zdobytych ziemiach.

Gmin angielski od wielu lat odczuwał brak przygód, sławy i łupów, które były udziałem ich ojców w zbrojnych wyprawach na kontynent.

Wojny z Francją, toczone na nieprzyjacielskiej ziemi, stanowiły składnik narodowej tradycji.

Tak więc w roku 1414 parlament — który, jak inne parlamenty w ciągu następnych pięciuset lat i więcej, skąpił pieniędzy na potrzeby wewnętrzne kraju — uchwała znaczne subsydia na cele wojenne. Magnaci razem z bogatym kupiectwem londyńskim chętnie wygodzą królowi pożyczkami. A ponieważ król Henryk jest wodzem budzącym zaufanie, o

talentach już wypróbowanych, nie będzie kłopotu z werbowaniem wojska.

Łucznicy, ludzie wiejscy stanowiące trzy czwarte całej armii angielskiej, garną się pod sztandary królewskie z równą ochotą, co i rycerze. Chłop i wolny kmieć, podobnie jak szlachcic i jego dworzanie, mają wszyscy nadzieję powrócić do domów z bogatymi łupami.

Rzeczywiście, owe dziesięć tysięcy żołnierzy, potrzebnych w danej chwili, nie obciąża nadmiernie trzymilionowej ludności Anglii. Więcej jest ochotników niż statków do przewiezienia ich przez „wąskie morze” — Kanał La Manche. Oprócz chwały i łupów, wojna obiecuje im jeszcze inne korzyści: dla wyjętych spod prawa — powrót do społeczności; dla uwięzionych przestępców — amnestię pod warunkiem, że wykażą się subordynacją i dzielnością w walce.

Według obyczaju owych czasów, król Henryk żąda od prowadzących zaciągi kapitanów — lordów, rycerzy i szlachciców — by podawali liczbę zbrojnych ludzi, których ze sobą przyprowadzą. Ci ludzie często, choć nie za'wsze, należą do ich służby i dzierżawców. Kapitanowie mają jednakże własne, czasem dość wątpliwe, metody dorabiania się na wojnie. Żołd kompanii przechodzi przez ich ręce: manipulując listami płac, włączając nazwiska nie istniejących żołnierzy, nie podając liczby zabitych, mogą — o ile królewscy kontrolerzy nie dopatrzą się błędów — otrzymywać pieniądze i dostawy dla tak nazywanych „duchów”.

Kapitanowie lubią szastać pieniędzmi — na jaskrawe stroje, na hulanki w tawernach, na ladacznice. Miewają też zwykle wybuchowy temperament, porywcze usposobienie i bogate słownictwo. Zawodowi



wojskowi nie zawsze są takimi kulturalnymi, honorowymi rycerzami, jak sobie będą wyobrażać późniejsze pokolenia. Mało który potrafi władać piórem, najwyżej złoży podpis. Ich korespondencje i rachunkowość prowadzą sekretarze, zazwyczaj księża bez prebendy. Ich żony pracują wespół z najętymi parobkami w polu, a ich domy nie różnią się bardzo od chat wieśniaczych.

Kapitan każdej rangi społecznej, podpisując kontrakt z komisarzem królewskim, otrzymuje z góry trzymiesięczny żołd dla siebie i dla żołnierzy, których zobowiązuje się przyprowadzić w umówione miejsce i na umówiony dzień z pełnym ekwipunkiem. Przykład takiej spisanej umowy zawiera ze strony kapitana zobowiązanie dostarczenia: „sześciu łuczników konnych, ludzi doborowych, rzetelnie uzbrojonych, na zacnych wierzchowcach z pełnym ekwipunkiem, to znaczy: rzędy końskie kompletne, ubiór z nakryciem głowy, dzida, miecz i sztylet; a każdy z wymienionych łuczników ma posiadać łuk i kołczan z zapasem co najmniej czterdziestu strzał." Łucznik w wojsku króla Henryka Piątego zwykle nosił zamiast hełmu szpiczastą czapkę z wyprawnej skóry i z takiej samej skóry kubrak, często wzmocniony żelaznymi blachami na piersiach i ramionach. Strzały ze stalowymi żeleźcami mierzą około metra długości; można nimi przebić dębowe drzwi na cztery cale grube, a doświadczony łucznik trafia w cel z odległości do trzystu jardów. Łuki mają po półtora metra długości; najlepsze z nich sporządzane są z drzewa cisowego, często sprowadzanego z nad Wisły i Bałtyku.

Składając na kapitanów odpowiedzialność za wyekwipowanie ich podkomendnych, król odzyskuje trochę wyłożonych z góry pieniędzy, ponieważ częstokroć głównymi dostawcami dzid, łuków, strzał i odzieży są królewscy agenci.

Czasami, gdy skarbiec królewski świeci pustkami, magnat albo rycerz zobowiązujący się kontraktem dostarczyć większą liczbę żołnierzy, zabiera ze sobą po spotkaniu z komisarzami werbunkowymi nie gotówkę, lecz klejnot z koronnego skarbcza. W roku 1414 książę Yorku otrzymał tytułem zastawu od króla złotą tacę, wysadzaną rubinami i perłami; hrabia Salisbury — duży model okrętu, wyrobiony z pozłacanego srebra z postaciami żołnierzy, walczących na pokładzie; diukowi Clarence, królewskiemu bratu, powierzono jedną z koron, z której musi wyjąć drogocenne kamienie, by zapłacić za zaciągi ponad tysiąca ludzi zgodnie z kontraktem. Klejnoty trafiają do rąk lichwiarzy i jubilerów, od których się je wykupi, gdy skarbiec królewski będzie znowu pełny.

Magnaci, rycerze i szlachta muszą wyekwipować własnym kosztem siebie i swoje poczty: a więc pełna zbroja, kilka wierzchowców, giermkowie i czeladź, nierzadko własny kapelan lub medyk, łączący sekretarzowanie ze swymi innymi obowiązkami.

Chociaż sporo ekwipunku wojennego dostarczają kapitanowie i ich podkomendni, jednakże jest jeszcze taki ekwipunek, za który odpowiedzialne może być tylko naczelne dowództwo — jak maszyny oblężnicze i artyleria. Henryk Piąty był bardzo rycerski, ale nie sądził, jak część jego współczesnych, że ciężkie działa i kamienie, rzucające na

obleżonych, stanowią bluźnierstwo, ponieważ naśladową niebieskie grzmoty, albo też — dla różnorodności — ponieważ są bronią, wymyśloną przez szatana.

Żołnierze mają się stawić w punkcie werbunkowym zaopatrzeni w określoną ilość prowiantu. Ale Anglicy nie obciążają swych wojsk wyłączną odpowiedzialnością za wyżywienie siebie podczas kampanii. Królewscy komisarze — częstokroć należą do nich Lord Mayor i rajcy Londynu — podpisują z dostawcami umowy o dostarczenie do Southampton, portu wyjściowego: „ziarna, chleba, mąki, wina, piwa, ryb, mięsa, sukna, płótna, wełny, spodni, kaftanów, butów, różnego rodzaju zbroi...” Nastają żniwa dla płatnerzy i dla wielu innych także; dobrze zarabiają rolnicy i kupcy, tokarze i cieśle, kołodzieje i siodlarze, kowale i zastępy innych rzemieślników. W każdym mieście i wiosce cepy świszczą, kołowrotki "warczą, kowadła dźwięczą, młoty biją. Ostrza pługów przerabia się na miecze. Surowo nakazano, aby jesionowego drzewa używać wyłącznie do wyrobu łuków, a nie na kłody czy polana. Do uskrzydlenia strzał szeryfowie zabierają po sześć lotek ze skrzydła każdej gęsi w podległych im hrabstwach. Ile gęsi zdołało umknąć -nie wiadomo, ale sumiennie zanotowano zebraną ilość: 1 290 000 piór jedzie do Francji.

Zgromadziwszy pieniądze, ludzi, ekwipunek i dostawy, trzeba się zatroszczyć o przeprowadzenie na drugi brzeg Kanału dziesięciu tysięcy wojowników z końmi, wozami taborowymi i czeladzią, potrzebną do utrzymywania tych zastępów. Metoda prosta w swej

bezwzględności. Komisarze królewscy na południowym i wschodnim wybrzeżu rekwirują wszystkie stojące w portach lub przybijające statki wraz z załogami. Szyprowie muszą podpisywać umowę, oddającą ich statki i załogi na usługi króla w zamian za określoną sumę pieniędzy. Statki obcych bander traktowane są tak samo i gdy transportowa flota wypłynie, obok angielskich będą żeglowały statki weneckie, holenderskie, geneueńskie. Cudzoziemscy szyprowie zazwyczaj chętnie najmują się do służby u każdego, kto zapłaci rozsądną kwotę, toteż niektóre geneueńskie statki znajdują się w armadzie angielskiej, a inne — u nieprzyjaciela.

Kiedy król Henryk, jego bracia, rada koronna i komisarze zajęci są przygotowaniami do inwazji, Francuzi szykują się do obrony, dobrze wiedząc o zamiarach Anglików. Ich kraj wielokrotnie przewyższa Anglię rozmiarami i bogactwem. Ludność jest kilkakrotnie liczniejsza, rolnictwo na wyższym poziomie, kultura i cywilizacja bardziej rozwinięte. Ale brak im organizacji i sprawnego rządu za panowania Karola Szóstego, króla słabego i chorego, nie umiejącego poskromić magnatów, nieustannie ścierających się o wpływy i ziemie. Sposoby gromadzenia wojsk — dyktowane w pewnej mierze bardziej feudalnymi stosunkami, panującymi we Francji — różnią się od metod angielskich.

Zwykli żołnierze w wojsku francuskim nie otrzymują żołdu, tylko kapitanowie. Nie dostają też prowiantu. Wojna ich żywi. Sami zdobywają sobie furaz, sami siebie wynagradzają zdobytym łupem, toteż grabią do cna okolice i stają się postrachem mieszkańców, których bronić jest ich zadaniem. Francuscy magnaci i szlachta pogardzają własnymi

podkomendnymi, zwąc ich „canaille” i odmawiając maszerowania wspólnie z nimi.

Ale nim król Henryk opuści własną monarchię, musi ją zabezpieczyć na czas swojej nieobecności. Niejeden już raz w przeszłości zdarzało się, że gdy angielskie wojska walczyły we Francji, Szkoci korzystali ze sposobności do najazdu. Tak więc wzmocniono i zaopatrzone północne pogranicze. Wysłano tam, między innymi, owych siwowłosych weteranów, gorzko rozczarowanych pominięciem ich w wyborze na wyprawę francuską, gdzie mieli nadzieję obłowić się udziałem w łupach. W starych zbrojach, noszących ślady dawniejszych walk, jadą teraz ku północnym granicom na szkapach, zabranych od pługów i furmanki.

Trzeba też zabezpieczyć rząd kraju na czas królewskiej nieobecności. Opieką nad monarchią przypada drugiemu z trzech braci Henryka, godnemu zaufania i rożumnemu Janowi, księciu Bedford. Będzie go wspierać rada, w skład której wchodzi między innymi Henryk Chicheley, arcybiskup Canterbury. Duchowni osiągnęli godność księży Kościoła nie tyle z tytułu pobożności i dobrych uczynków, ile dlatego, iż byli doświadczonymi politykami i zręcznymi dworakami, znającymi świat i ludzi. Chicheley, ledwie przekroczywszy pięćdziesiątkę, otrzymał właśnie arcybiskupstwo Canterbury, z którym łączyła się godność prymasa Anglii — w nagrodę za zasługi w dziedzinie dyplomacji. Jest lojalny wobec swego króla i pana, uroczystie ogłosił, iż jego wojenne cele są jak najśluszniesze, wzywał duchowieństwo, by ofiarowywało fundusze

na wyprawę i by zarządziło zbrojne przygotowania do odparcia  
możliwego kontrataku. Król Henryk mądrze zapewnił sobie jedność

Kościola

i

państwa:

jedność

celów

nacjonalistycznych,

ekspansjonistycznych.

Wreszcie w czerwcu i lipcu 1415 roku lordowie, rycerze, wojownicy,

łucznicy, czeladź wojskowa, kapelani, medycy i setki ludzi

towarzyszących wojsku, ściągają tłumnie do portu Southampton, gdzie

ledwie widać wodę przystani, tak gęsto stłoczyły się tu okręty o wysokich

masztach i kasztelach. Konie i wozy tarasują wąskie ulice, wyładowują na

nabrzeża olbrzymie ilości zapasów i ekwipunku. Oberżyści zbierają

bogate żniwa. Roi się od złodziei i prostytutek. Wieczorami wzmagają się

hałasy, wybuchają bójki i awantury.

Od operacji zwanej „zamusztrowaniem”, bardzo wiele zależy. Król

Henryk, przy pomocy wybornego administratora,

swego brata Jana przeprowadza ją ze sprawnością bez precedensu. Nie

tylko przygotowuje się do zaokrętowania wojsko wraz ze wszystkimi jego

potrzebami. Specjalni oficerowie udają się do obozowiska, założonego na

południowych zboczach nad portem, by sprawdzić, czy magnaci, rycerze i

kapitanowie wywiązali się ściśle z kontraktów, jakie zawarli z królem.

Jeśli któryś dostarczył łuczniaka bez wierzchowca, albo bez określonego zapasu strzał w kołczanie, albo nieodpowiednio uzbrojonego — przyrzeczony kapitanowi żołd będzie proporcjonalnie zmniejszony.

Narzekają poniekąd, stwierdziwszy, że pod wodzą tego młodego króla niezwykle trudno będzie wzbogacić się malwersacjami.

Aby

osobiście

doglądać

„zamusztrowania”

i

późniejszego

zaokrętowania, król Henryk zamieszkał na zamku Porchester,

zbudowanym w XII wieku w narożniku starych fortyfikacji rzymskich.

Jako doradcy towarzyszą mu jego bracia, Jan i Humphrey książę

Gloucester, najmłodszy i najmniej udany z synów Henryka IV, dalej

arcybiskup Chicheley, biskup Beaufort z bratem, sir Tomaszem

Beaufortem, późniejszym hrabią Dorset, sir John Holland, późniejszy

hrabia Huntingdon, wreszcie hrabia Salisbury.

W parę dni później król naradza się ze swymi dygnitarzami i

rycerzami. Wchodzi oficer służbowy i zawiadamia, przyklękając:

— Wasza królewska mość, hrabia March prosi o posłuchanie.

. — Zajęty jestem. Niech poczeka — odpowiada krótko Henryk. Na co

dzień ma sposób bycia suchy i zwięzły. Najczęstsza odpowiedź z ust króla

to: „Tak być musi”, „Tak będzie” albo też: „Niemożliwe”. Słów na darmo

nie traci. Tylko, gdy sytuacja tego wymaga — gdy chce przekonać swych doradców, natchnąć żołnierzy zapalem do walki przed bitwą lub szturmem, gdy odpowiada posłom innych królestw, albo gdy gromi kogoś, kto zawiódł jego zaufanie — wówczas król przemawia sugestywnie i bynajmniej nie krótko.

— Hrabia pilno pragnie widzieć miłościwego pana, >a jego sprawa, to ponoć sprawa życia i śmierci.

— My tu wszyscy w Southampton trudzimy się nad sprawą życia i śmierci — odpowiada Henryk. — Ale skoro mój kuzyn nalega tak usilnie, to go przyjmujemy.

Księżę Bedford wstaje i odsuwa krzesło, by wyjść, ale starszy brat zatrzymuje go gestem ręki.

— Zostań. Cokolwiek March ma mnie do powiedzenia, mo że powiedzieć nam wszystkim. Jesteśmy tu w gronie przyjaciół.

Zresztą wątpię, czy w rzeczy samej takie to pilne i ważne sprawy, jak powiada.

W dwudziestym ósmym roku życia król uchodzi za przystojnego mężczyznę. Co prawda, moda na męską urodę zmienia się wraz z epokami. Gęste, brunatne włosy nosi krótko przystrzyżone po bokach i z tyłu, jak wszyscy ówczesni wojownicy w Anglii. Nos ma długi, prosty, uszy małe, usta kształtne, wargi czerwone, a gładko wygolony podbródek jest rozdwojony.

Hrabia March, który staje przed królem, jest barczyście zbudowanym, dwudziestoczteroletnim młodzieńcem, o jasnych włosach i ciemnych,



uczciwych oczach.

— Racz wybaczyć intruzowi, miłościwy panie... — zaczyna.

— Witam, kuzynie, ale powiedz swoją sprawę w krótkich słowach.

Czas mnie goni.

Powstawszy, by przywitać hrabiego, król przemierza teraz komnatę szybkimi krokami. Jest wysoki i szczupły. Wprawdzie wyraz jego twarzy, zarazem poważny i wyniosły, pasowałby raczej do duchownego niż wojownika, ale postawa zdradza ruchliwy tryb życia. Henryk sprawnie biega i skacze, potrafi w pełnej zbroi wskoczyć na konia, nieraz z druhami doścignął jelenia w otwartym polu.

Młody hrabia mówi tak szybko, że się zachłystuje własnymi słowami :

— Spisek, miłościwy panie... by zabić ciebie i twoich braci... to

Ryszard, hrabia Cambridge... i sir Tomasz Grey... i Henryk lord Scrope...

— Cambridge, Grey, Scrope! Ależ to niemożliwe! — wykrzykuje

biskup Beaufort. Wszyscy patrzą na Marcha w osłupieniu, z

niedowierzaniem. Król staje jak wryty Beaufort ciągnie dalej: —

Cambridge otrzymał tytuł hrabiowski od najmiłociwszego pana i

przywiódł ze sobą do zamusztrowania rycerzy, wojowników i stu

sześćdziesięciu konnych łuczników! A Scrope mianowany skarbnikiem

koronnym! Czyż taka zdradziecka niewdzięczność byłaby do pojęcia...?

— Chwileczkę stryju — przerywa Henryk. •— Posłuchajmy, co

więcej. — Zwraca się do hrabiego Marcha. — Po usunięciu z drogi moich

braci i mnie... kto...?

Piwnie oczy króla, łagodne zazwyczaj, pałają groźnym blaskiem, jak

zawsze, gdy wpada w gniew.

— Najmiłociwszy panie, zamierzano... to jest... oni chcieli,  
abym ja...

Młody hrabia, wywodzący się od drugiego syna Edwarda III, ma z urodzenia większe prawa do tronu Anglii, niż sam Henryk, który pochodzi od czwartego syna. Z tego powodu ojciec obecnego monarchy, Henryk IV, zdobywszy tron mieczem od podówczas panującego prawowitego władcy, Ryszarda II, wtrącił Marcha do więzienia. Po wstąpieniu na tron Henryk V uwolnił młodego kuzyna i zwrócił mu skonfiskowane włości. Był to charakterystyczny postępek. Henryk V jest lojalny wobec przyjaciół, a wielkoduszny wobec pokonanego wroga, chociaż nie pozbawiony cech okrucieństwa, powszechnego w owej epoce, ale chwilami sprzecznego z rycerskością.

— I odmówiłeś? Szlachetnie uczyniłeś, kuzynie.

— Wasza królewska mość okazałeś mi wielkoduszne pobłażanie —  
mówi March. — Nie mogłem tego odpłacić zdradą.

— Chociaż inni, którym też okazano pobłażanie i wielkoduszność,  
zapomnieli o tym i odpłacają zdradą, jak się zdaje

— rzecze arcybiskup, a księżę Bedford pyta:

— Czy ci ludzie, których oskarżasz, żądali od ciebie czynnego  
uczestnictwa w spisku?

— Tak było, kuzynie. Musiałem udawać, by głowę na karku ocalić.

— A na kiedy ten zamach planowano? — pyta Henryk.

— Na jutro, miłociwy panie.

— A więc do rzeczy. Musimy ich zgubić, nim się opatrzą. Wszyscy ci spiskowcy są w porcie. Sir John! Każ ich aresztować, wyślij silne oddziały.

Holland już biegnie do drzwi. Gdy wyszedł, król pyta jeszcze hrabiego Marcha:

— Czy za tym spiskiem nie kryje się francuskie złoto?

— O tym nic mi nie wiadomo, miłościwy panie. Takich wzmianek nigdy nie było.

— Hrabia Cambridge nie potrzebował takiej zachęty, jak cudzoziemskie złoto — mówi arcybiskup Chichele. — Jako twórca królów zamierzał władać zamiast swego protegowanego. Dopilnowałby również tego, aby Scrope i Gray otrzymali hojne wynagrodzenie w ziemiach i tytułach.

Król załamuje ręce i mówi do siebie, jakby na moment zapomniał o otaczających go ludziach:

— Scrope... wierzyłem, że jest moim prawdziwym, bliskim przyjacielem...

odbywaliśmy

wspólnie

kampanie...

dzieliliśmy

namiot, sypialiśmy obok siebie... w Walii... radziłem się go...

do jakiej zdrady może doprowadzić najlepszego człowieka nie

okiełznana ambicja? Jak szlachetnie przedstawia się w porównaniu z nim

mój

kuzyn

March...

—

Mruga

oczyma,

potrząsa

głową, jakby dopiero spostrzegł, że nie jest sam. — Jaką karę

uznacie, przyjaciele, za słuszną dla tych nikczemników?

Król dobrze zna odpowiedź, ale woli, by ją wypowiedziały inne wargi,

nie jego własne.

— Na pień z nimi!

— Śmierć! — wołają liczne głosy.

— Ale obowiązujący według prawa proces musi się odbyć —

zastrzega się król. — Mój zacny bracie, wezwij tu na zamek wszystkich

szlachetnych lordów, którzy już przybyli do Southampton. Milordowie

Cambridge i Scrope — oby im Bóg oka-

zał miłosierdzie, bo ja się na to nie odważę — mają prawo do tego, by ich

osądzili im równi: parowie Anglii.

W podnieceniu i zamieszaniu, wywołanym odkryciem spisku w tak

krytycznym momencie, hrabiego Marcha nie spotyka może należyte

uznanie za jego postępek. Odtrącił sposobność uzyskania tego, co mógł

właściwie uważać za należne mu z prawa. Jednakże jemu właśnie takie

wyrzeczenie mogło przyjść bez trudu. Nie tylko dlatego, ponieważ March

jest rzeczywiście szczerze wdzięczny kuzynowi za to, że mu oszczędził zwykłego w owych czasach losu ludzi o uzasadnionych pretensjach do zajętego tronu; również dlatego, że gdyby spisek dojrzał, ale wykonanie zawiodło, nie mógłby już oczekiwać po raz drugi pobjazania. Co więcej, młodzieniec wcale nie ma ochoty dźwigać ciężarów korony. March okaże się dzielnym adiutantem Henryka w nadchodzącej wojnie z Francją, ale jest człowiekiem spokojnym i skromnym. Ma stanowisko na dworze, przyjaciół, rozległe włości: czegoż pragnąć więcej? Władza go nie pociąga, jest tylko rad, że korona tak dobrze pasuje do głowy jego starszego kuzyna. Ale pomimo wszystko, mało kto z jego współczesnych oparłby się takiej pokusie, jaką ukazano hrabiemu March.

W obliczu świadectwa młodego człowieka, wszyscy spiskowcy przyznają się do winy. Natomiast odtrącają zarzut, jakoby Francuzi przyrzekli im wielką sumę złota za zabicie króla. Nie znajdzie się też żaden rzeczowy dowód na poparcie tego punktu oskarżenia. Tym niemniej rozpowszechnia się tę wersję, by obudzić w kraju nienawiść przeciw odwiecznemu wrogowi.

Gray'a sąd przysięgłych, Cambridge'a i Scrope'a parowie Anglii skazują na śmierć za zdradę stanu. Henryk uchyla zwyczajowy wyrok: wieszania i ćwiartowania. Spiskowcy zostaną ścięci. Ale prawi im tak surowe kazanie, że głowy wszystkich chylą się w szczerym, jak się wydaje, zawstydzeniu. Był ich dobroczyńcą, a oni, ufni w znaczenie świeżo im przez króla nadanych stanowisk, konspirowali, by mu odpłacić morderstwem. Zamierzając zabić wszystkich czterech braci, z których

żaden

jeszcze nie spłodził potomstwa, dążyli do zgładzenia całej dynastii. Z francuskim złotem czy też bez, taki spisek był na rękę wrogom Anglii, choćby dlatego, że musiał wstrzymać inwazję.

Procesy ujawniły, że jednocześnie z planowanymi morderstwami miano zorganizować bunty na północy Anglii, a najazdy od strony Walii i Szkocji. Toteż obecnie podnoszą się głosy, aby wyprawę na kontynent odłożyć, dopóki niebezpieczeństwo zamieszek w kraju nie minie. Tego rodzaju spiski dość powszechnie zdarzały się w owych czasach, gdy trony równie często zdobywano i utrzymywano mieczem, co według dziedzicznych praw. Ojciec króla Henryka także wywalczył sobie tron, a w ciągu czternastoletniego panowania zdławił — przy pomocy najstarszego syna — niejedną rebelię, dążącą do wyrwania mu władzy z rąk.

Król nie chce słyszeć o odkładaniu wyprawy.

— Nie splamimy dobrego imienia Anglii — rzecze — przy puszczeniach, że w kraju byłoby więcej, niż trzech takich zdrajców. Z

całym

zaufaniem

zostawimy

królestwo

w

ręku

Boga,

naszego brata Jana i wszystkich naszych wiernych i lojalnych

poddanych.

Ten król zna wartość pięknego gestu.

Po egzekucjach powraca do przygotowań wojennych. Zaokrętowanie  
wyznaczono na *ten* sam dzień, co i odpłynięcie — jedenasty sierpnia.

Król Henryk jest bardzo pobożny. Codziennie, w każdych  
okolicznościach, wysłuchuje trzech mszy. Ma zwyczaj przypisywać  
wszelkie swoje sukcesy i przychylność fortuny boskiej interwencji.

Obecnie oznajmia:

— Bóg w swojej łaskawości w porę udaremnił nieczne zamachy  
podłego

Cambridge'a.

Jemu

więc

zawierzemy

raczej

niż

własnym siłom triumf naszego przedsięwzięcia.

Tak więc Pana Boga obciążono już podwójnym obowiązkiem:

strzeżenia Anglii i pogwałcenia Francji. Pobożność króla jest szczerą,

choć niektórzy woleliby, żeby nią tak ostentacyjnie nie szermował.

*Rozdział II*

Uzurpowana korona

Gdy Henryk Piąty planował awanturniczą wyprawę przez Kanał, Francuzi

nie stanowili jeszcze zjednoczonego narodu. Bezpośrednią władzę król Karol Szósty sprawował tylko na dwóch trzecich swego nominalnego królestwa. Na pozostałą część składały się cztery wielkie księstwa wasalne: Flandria, Bretonia, Burgundia i Gaskonia. Te księstwa, korzystając z periodycznych napadów obłąkania — wywołanego różnymi ekscesami — swego feudalnego pana walczyły między sobą o władzę. Z początkiem XV wieku głównymi protagonistami w walce o wpływy nad czterdziestosiedmioletnim królem Karolem byli: jego kuzyn, Jan książę Burgundii, zwany „Sans Peur” i ród książąt Orleańskich, którego przywódcę, młodszego brata króla, zamordowano z rozkazu rywala w r. 1407. Stronictwo orleańskie popierali magnaci z zachodniej i południowej Francji, zwani Armaniakami od hrabiego d'Armagnac, jednego z najważniejszych popleczników. Jan Burgundzki rozciągnął swoje panowanie, praktycznie biorąc, od ujścia Sommy aż do ujścia Szeldy, a jako trybun kupiectwa i stanu trzeciego zyskał popularność w Paryżu i innych wielkich miastach. Delfin popierał Armaniaków, faksję bardziej reakcyjną. Król postępował tak, jak mu dyktowało to stronictwo, które w danej chwili potrafiło go sterroryzować.

W takiej sytuacji dyplomacja angielska w okresie przygotowań wojennych miała oczywiście szerokie możliwości. Armaniakowie utrwalili swoje wpływy na króla Karola, więc książę Burgundii, szukając sprzymierzeńców, gotów był dojść do porozumienia z Anglią. Przynależał zachować neutralność w sprawie roszczeń Henryka do korony francuskiej i złożyć mu hołd lenny, gdyby ją zdobył; w zamian miał otrzymać pomoc



Anglików przeciw Armaniakom. Henryk doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Burgundczykowi zależało tylko na wyparciu Armaniaków. Gdy po osiągnięciu tego celu dotrzyma przyrzeczeń, było kwestią wątpliwą. Henryk tym się nie kłopotał. Jeśli traktat pozwoli mu rozprawić się najpierw z Armaniakami, a później w razie potrzeby z Burgundią oddzielnie, zamiast walczyć przeciw obu stronnictwom razem, to wystarczy.

Z kolei Henryk wszczął rokowania ze stronnictwem delfina i Armaniaków. Tym razem postawił wysokie żądania: korona Francji, księstwo Normandii i inne francuskie prowincje, ręka córki Karola, Katarzyny, a wraz z nią posag dwóch milionów koron francuskich. Propozycja małżeństwa w negocjacjach między układającymi się dynastiami była powszechnym zwyczajem i rzadko wiązała się z uczuciem. Ale Henryk prowadził wyjątkowo wstrzemięźliwy tryb życia, a wojny i trudy panowania mało mu pozostawiały czasu i energii na miłosne igraszki. Zaintrygowały go portrety czternastoletniej Katarzyny, opowieści o jej wdzięku i dowcipie. Być może wiedząc, że musi kontynuować dynastię, chciał wybrać urodziwą i pociągającą partnerkę. W każdym razie miał okazać niezwykły upór, gdy chodziło o rękę Katarzyny, a później osobiście zapewniał ją nie tylko o swoich małżeńskich intencjach, ale również o prawdziwej do niej miłości. Z drugiej strony, Henryk zwykle potrafił przekonać samego siebie o słuszności własnych celów, albo też, w sprawach polityki państwowej, mijał się z prawdą.

Król Henryk nie tylko postawił wysokie żądania. Pisząc do Karola

bezceremonialnie tytułował siebie „królem Anglii i Francji”, a panującego w tym królestwie monarchę nazywał „najjaśniejszym księciem Karolem, z łaski Boga naszym drogim kuzynem”. W dwóch listach, skreślonych własnoręcznie i wysłanych w tydzień jeden po drugim, król Anglii wydaje się bić w piersi w imieniu swego drogiego kuzyna:

„Usiłowaliśmy... z powodu namiętnego umiłowania, jakie żywimy do Tego, który jest twórcą pokoju, złagodzić różnice dzielące nas i dzielące nasze narody, wygnąć na wieki smutną niezgodę, która rodzi tak wiele nieszczęść dla tylu ludzi, powoduje zagładę dusz w rzezi wojennej...”

Była to czysta hipokryzja ze strony człowieka, który celowo uniemożliwiał Francuzom pokój z honorem; hipokryzja, przewyższająca nawet zwyczajową obłudę dyplomacji. W pierwszym liście Henryk w dalszym ciągu grozi:

„Będziemy musieli (a miało to znaczyć: ty będziesz musiał) odpowiadać przed Bogiem, jeżeli zagarniemy (czyli: ty zagarniesz) siłą to, co z prawa należy do innego (czyli do mnie).”

W drugim liście napominanie łączy się jeszcze a przekonaniem o własnej prawości :

„...radzimy ci, Najjaśniejszy Książę, wielce szczerze i z czystej miłości, żywić szczęśliwe myśli o pokoju (co znaczyło: poddanie się moim nieograniczonym żądaniom)...” Zakończenie zatraça kazaniem ojca spowiednika: „Wspomnij na lata, które już przeżyłeś. Pomyśl o wieczności!”

Wbrew kazaniom Henryka i jego pozom moralnej wyższości, poselstwo francuskie, wysłane do Anglii dla negocjacji, życzyłoby sobie pokoju szczerzej niż ich oponenci. Chociaż posłowie nie mogli uznać roszczeń do korony francuskiej, byli jednak gotowi scedować Anglii niektóre ważne prowincje i miasta. Zgadzali się też na królewski mariaż, chcieli tylko potargować się o posag, proponując zmniejszenie go do ośmuset tysięcy koron. Natomiast Henryk ujawnił swoją prawdziwą intencję: wojnę. Arogancko oznajmił, że na Karola spadnie odpowiedzialność za przelanie „morza chrześcijańskiej krwi”, jeżeli nie zgodzi się na angielskie żądania w całości i bez targów.

Na to najstarszy z poselstwa francuskiego, arcybiskup Guillaume Boisraties również porzucił dyplomatyczną uprzejmość i zerwał negocjacje repliką:

— Sire, nasz suwerenny pan jest prawowitym monarchą Francji, a wy, miłościwy panie, twierdząc, że macie do tronu Francji prawa, w istocie nie macie ich nawet do tronu Anglii, który należy do dziedziców zmarłego króla Ryszarda. I nasz suwerenny pan nie może z wami bezpiecznie pertraktować.

Pretensje do tronu francuskiego Henryk opierał na podobnych roszczeniach, zresztą ostatecznie zaniechanych, swego pradziada, Edwarda III, który był synem Izabelli, córki króla Francji, Filipa IV. Po śmierci Filipa na tron wstępowali kolejno jego trzej synowie. Ci zmarli młodo i nie pozostawili męskich dziedziców korony. Po śmierci ostatniego z nich, Karola IV, w r. 1328, Izabellę pominięto na rzecz jej

kuzyna, Filipa Walezego, którego potomkiem w prostej linii był Karol VI. Francja, tradycyjnie wykluczała kobiety od tronu, ale Henryk utrzymywał, iż to wcale nie oznaczało, aby kobieta nie mogła przekazywać praw do tronu swoim potomkom. A on był w prostej linii potomkiem wykluczonej od tronu Izabelli.

Nie można było oczekiwać, aby na podstawie takich sofizmatów Francuzi zdeponizowali dynastię — choćby jej obecny przedstawiciel nie był zdolny do sprawowania władzy — panującą w kraju przez siedemdziesiąt lat, w ciągu czterech pokoleń Walezyców.

Tyle o roszczeniach do upragnionego tronu Francji. Ale arcybiskup Boisratier wytknął również Henrykowi, że ten nie miał prawa „nawet do tronu Anglii, który należy do prawych dziedziców zmarłego króla Ryszarda” — to znaczy, do hrabiego Marcha. Aby rozwiązać ten dynastyczny węzeł, trzeba odwrócić wstecz karty naszych kronik.

Z wielkim podnieceniem i radosną nadzieją jedenastoletni Henryk Monmouth — nazwany według miejsca swego urodzenia, zamku Monmouth, położonego o jakieś trzydzieści kilometrów od wschodniej granicy południowej Walii — witał wstający dzień szesnastego grudnia 1398 roku. Jego ojciec, Henryk Bolingbroke, książę Hereford, miał się potykać w szrankach z Tomaszem Mowbray, księciem Norfolk. Nie będzie się nakładać zaokrąglonych grotów na kopie: pojedynek na ostre. Rzucono rękawice, skwapliwie podjęto wyzwanie. Obaj przeciwnicy byli ludźmi wielkiej odwagi, wojownikami doświadczoneymi, wybornymi jeźdźcami i obaj palili się do rozprawy.

Waśń rozpoczęła się od oskarżenia o zdradę. Przed kilku laty Mowbray i Bolingbroke przyłączyli się do innych magnatów, by wspólnie zreformować autokratyczne metody króla Ryszarda i usunąć ze dworu bezwartościowych pieczeniarzy. Zreformowanie królewskich rządów trwało niedługo, ale to już inna historia. Jednego ze współników Mowbray'a i Bolingbroke'a wkrótce ścięto, drugiego skazano na banicję, trzeciego — własnego stryja Ryszarda — zamordowano. Ale ci dwaj, Mowbray i Bolingbroke cało głowy wynieśli, a nawet cieszyli się na pozór łaską królewską: jednego mianowano księciem Norfolk, drugiego księciem Hereford.

Królewską pobłażliwość w stosunku do Bolingbroke'a można było wytłumaczyć wpływami jego ojca, a królewskiego stryja, Jana z Gandawy, księcia Lancaster, który był najbogatszym magnatem w kraju, wytrawnym mężem stanu i lojalną podporą korony. Ale Mowbray nie posiadał takiego adwokata i chociaż uczestniczył w skazaniu jednego a zamordowaniu drugiego ze swoich dawnych współników, zaczął się obawiać, że król, który miał usposobienie mściwe, skryte i nie zwykł zapominać uraz, znajdzie sposób, by go zgubić.

Mowbray zwierzył swe wątpliwości i obawy dawnemu współnikowi Bolingbroke'owi, do którego powiedział, że królowi ufać nie można, chociażby przysięgał na ciało i krew Chrystusową. Wcale się Mowbray w tym nie mylił: omylił się natomiast przypuszczając, że może ufać Bolingbroke'owi, z przysięgą czy bez.

Bolingbroke omówił sprawę ze swoim ojcem, a ten doradził, aby donieść

o wszystkim królowi. Mowbray gwałtownie zaprzeczył oskarżeniu, jakoby wyrażał się tak bez respektu o królu, a w owych czasach zakładano, że o prawdzie lub kłamstwie rozstrzyga się na udeptanej ziemi. Nakazano sąd boży, czyli pojedynek.

Król Ryszard, nie mając własnego potomstwa, przywiązał się do swego krewniaka, pozbawionego matki Henryka Monmouth, chłopca nad wiek rozwiniętego, silnego a zarazem zręcznego dworaka. Teraz zabrał go ze sobą, by siedząc obok króla, mógł się dobrze przypatrzeć walce. Magnaci i rycerze przybrani byli w jedwabie i brokaty, ich długie fałdziste opończe skrywały spodnie. Damy nosiły suknie o obcisłych długich stanikach, spódnice z trenami i włosy wysoko upięte na wypchanych poduszczkach, połączonych z wałkiem, obszytym aksamitem. Wielkie tłumy pospólstwa nadciągnęły z bliższych i dalszych okolic, by się przypatrywać pojedynkowi i wiwatować na cześć Bolingbroke'a, wówczas popularnego z powodu junackiej odwagi, szczyłącego się mianem „chrześcijańskiego rycerza”, nadanego mu po powrocie z szeroko rozgłaszanej krucjaty Krzyżaków przeciwko pogańskim Prusakom i Litwinom, w której brał udział.

Czujnie obserwowało te tłumy czterystu zbrojnych zbirów, najętych przez króla w charakterze przybocznej straży. Gdyby zaszła potrzeba, mieli oni krwawo stłumić każdy tumult. Obecność tych najętych zbirów świadczyła o stosunku poddanych do swego władcy, a jednocześnie drażniła ludność, gdyż ci rzekomi gwardziści kradli, rabowali i gwałcili bezkarnie. Poskarżyć się na nich znaczyło tyle, co zostać uznanym za

wroga korony — a to nie było bezpieczne.

Młody Henryk Monmouth nie wątpił o wyniku walki, ale był podniecony i pełen napięcia.

Przeciwnicy wjechali w szranki. Tłumy wybuchnęły radosnym

wrzaskiem na widok swego ulubieńca Bolingbroke'a. Po-

leciały w górę czapki, na bariery napierano, jakby je chciano złamać.

Chłopiec rzucił okiem na swego królewskiego krewniaka. Ten siedział

pochylony, z namarszczoną brwią, twarzą nieprzeniknioną. Podczas

swego panowania Ryszard musiał już raz rozprawić się z naporem

wrogiego tłumu. W roku 1381 na Londyn ruszyła armia, ale nie

włóczęgów czy dezertów, lecz ciężko pracujących parobków,

wieśniaków i rzemieślników, wraz z kilku księżmi ewangelistami. Żądali

swobód, uwolnienia od wyzysku feudalnych panów i urzędników. Zajęli

stolicę, zrabowali ją, spalili kilka pałaców, powiesili najbardziej

znenawidzonych magnatów i biskupów. Król Ryszard, wówczas

czternastoletni, sam uśmierzył rozruchy, jadąc osobiście śmiało na

spotkanie rebeliantów. Przyrzekł im przyznanie swobód i przebaczenie za

bunt. Ale to był tylko podstęp. Gdy wieśniacy wyruszyli z powrotem do

domów, napadło na nich wojsko królewskie, zabijając setki. Nadaniu

obiecanych praw i swobód rada koronna się sprzeciwiła, a wieśniakom

powiedziano: „Nie-wolnymi jesteście i niewolnymi pozostaniecie”.

Chociaż król wykazał się wtedy osobistą odwagą, wydarzenie to

pozostawiło w nim uraz. Odtąd tłum napędliał go trwogą. Teraz rozważał:

— Jeśli dopuszczę do pojedynku, to którykolwiek z nich wygra, ja

przegram. Zwycięstwo Mowbraya będzie przyjęte w kraju za usprawiedliwienie słuszności jego zarzutów. Jeśli Bolingbroke zwycięży, trudno będzie pohamować te rozszalałe tłumy... jego popularność już jest niebezpieczna, a jeszcze by wzrosła... a którykolwiek będzie pokonany, jego krewni i przyjaciele zechcą się mścić... mogą rozpętać wojnę domową.

Dwa ogniste wierzchowce, czekając na znak do rozpoczęcia walki, biją niespokojnie kopytami ziemię, harcują, stają dęba. Król Ryszard wstaje i podnosi władczy gestem rękę.

—; Zakazujemy pojedynku — oznajmia.

Obaj niedoszli zawodnicy galopują przed królewski kruzganek, wstrzymują wierzchowce, bok przy końskim boku.

— Wasza królewska mość! Jakżeż mogę przy czci-pozostać?

— woła Mowbray, księżę Norfolk.

A Bolingbroke, księżę Hereford:

— Jak dowiodę prawdy moich słów?

— Rycerska cześć jednego i prawdomówność drugiego z was

— rzecze król — nic nie ważą przeciw naszemu niezłomnemu

postanowieniu, aby w naszym królestwie nie ścierpieć takich

waśni, jedynie krwią uśmierzanych, która raz rozlana, może po

płynąć na cały kraj. Wzywamy was obu, milordowie, do pałacu

naszego biskupa w Coventry, gdzie waszą rzecz jeszcze omówi

my.

Książętom nic innego nie pozostaje, jak zawrócić wierzchowce do



stajni. Pozbawione widowiska tłumy burzą się, odzywają się okrzyki:

„Hańba!” Ale zbrojna po zęby straż przyboczna, rusza ku nim groźnie, więc ku wielkiej uldze króla tłumy się rozpraszają, by rozprawiać po piwiarniach i burdelach.

Henryk Monmouth wymknął się niepostrzeżenie ze świty królewskiej.

Posłyszał niebawem, że Ryszard wygnał obu książąt ze swego królestwa:

Norfolka dożywotnio, co zdawałoby się potwierdzać przypuszczenie, że król go uważał za zdrajcę; Hereforda tylko na sześć lat, oficjalnie dlatego, ponieważ dopełnił swego obowiązku, donosząc o zdrajcy; ale może i dlatego, ponieważ jest synem Jana z Gandawy. Obaj banici musieli zaprzysiąc, kładąc rękę na królewskim mieczu, iż na wygnaniu nie będą się spotykać ani spiskować przeciw swemu suwerenowi, jego królestwu i dziedzinom. W ostatecznym rozrachunku Ryszard jednak przegrał, bo jawna niesprawiedliwość wyroków pogłębiła jeszcze nienawiść, z jaką odnosili się do niego szlachta i gmin po równi.

Młodego Henryka kompletnie oszołomiła wiadomość. Jego uwielbiany ojciec miałby odjechać? Nigdy więcej nie ścigałby się z nim, nie pędził konno ani nie polował? Nigdy nie uczyłby go strzelać z łuku, nie ćwiczyłby go w robieniu bronią, nie zabierał ze sobą w odwiedziny do zamków krewnych i przyjaciół? Osierocony chłopiec usiadł z łokciami na kolanach, głową

wspartą na rękach, niepocieszony. Aż nagle rzucił się na poszukiwanie ojca. Odnalazł go na rozmowie z Janem z Gandawy, ale niepomny na nic, podbiegł, przykląkł przed nim i całując go w rękę, błagał:

— Ojcze, zabierz mnie ze sobą! Gdzie tylko pojedziesz, tam

i ja chcę być!

Bolingbroke serdecznym ruchem położył mu rękę na głowie.

— Wiesz, że zrobiłbym to z radością. Ale musimy się wpierw dobrze zastanowić, czy to słuszne i rozważne.

— A także — wtrącił Jan z Gandawy — gdzie i z kim chłopiec ma przebywać, jeżeli z tobą nie pojedzie.

— Bo starsi zawsze chcą się zastanawiać — przerwał impertyncnko chłopiec. — Jedźmy zaraz, nim by kto nie spróbował mnie tu zatrzymać.

Gdzie tylko chcesz, ojcze...

Bolingbroke pohamował go gestem i zwrócił się do swego ojca:

— Król mi powiedział, że chłopiec może pozostać przy dworze, że będzie dbał o niego, jak o własnego syna.

— Ale kuzyn Ryszard... — wybuchnął chłopiec, ale Jan z Gandawy poprawił go surowo:

— Chcesz mówić o jego królewskiej mości.

— Sam mi powiedział, żebym go nazywał kuzynem Ryszardem — odrzekł z urazą chłopiec.

— Jeśli jego królewska mość sobie tego życzy, możesz się do niego w ten sposób zwracać. Ale kiedy mówisz o nim, nie zapominaj, że to — król.

Henryk nadał się, ale jednak usłuchał.

— Więc król jest... dobry. Ale nie jest moim ojcem! — Siłą hamował łzy, które mu się cisnęły do oczu. — Ja chcę być

z ojcem...

Księżę objął go ramieniem.

— Niczego więcej sobie nie życzę...

— Ale dla twego syna lepiej będzie, jeśli zostanie — przerwał Jan z Gandawy. — Będę miał oko na niego. A król jest do niego rzeczywiście przywiązany. Niech się młodzik przyzwyczaja do dworskiego życia, niech rośnie na Anglika, a nie między obcymi ludźmi, przesiąkając obcymi obyczajami. Marna by to była edukacja dla angielskiego szlachcica. A także, niech będzie pociechą mojej starości, bo jak sądzę, niedługo mi już na tym świecie.

Rozsądne to było, a na ostatni emocjonalny argument zabrakło odpowiedzi. Księżę i młody Henryk, acz ze strapieniem, ukorzyli się przed autorytetem głowy rodu.

— Tylko na sześć lat — pocieszał chłopca Bolingbroke. — A może, jeśli nadal będziesz w łaskach u króla, on i mnie popołuduje i skróci moją gorzką banicję.

Przed wyjazdem Bolingbroke chciał zabezpieczyć pod względem materialnym przyszłość swoją i swojej rodziny. Miał jeszcze trzech synów i dwie córki, wszystko młodszych od Henryka, a teraz zupełnie osieroconych. W obawie, że Jan z Gandawy istotnie długo nie pociągnie, wystarał się u króla o patent, zezwalający mu na upoważnienie prawników do podjęcia w jego imieniu wszelkiego dziedzictwa, jakie mogłoby mu przypaść pod jego nieobecność. Mądre to było zabezpieczenie — a przynajmniej byłoby mądre pod rządami króla,

respektującego prawo

— ponieważ banicja często wiązała się z konfiskatą mienia.

Król nadal okazywał przychyłność Henrykowi, natomiast na

towarzystwie dziadowi chłopiec nie miał czasu. W święta Bożego

Narodzenia po odjeździe ojca wyjechał na wyprawę do Irlandii z

Ryszardem, który — jak tyłu jego poprzedników i następców —

zamierzał poskromić swoich tamtejszych, uparcie się buntujących

poddanych. A w Nowy Rok Jan z Gandawy zmarł. W ciągu swego życia

zyskał potęgę i wpływy — dzięki olbrzymim włościom i dzięki

autorytetowi wśród magnatów

— na taką skalę, iż niepokoiło to jego królewskiego bratanka.

Posiadał trzydzieści zamków i wielkie połacie ziemi, rozrzucone

po całej Anglii, mógł wystawić cztery tysiące żołnierzy, a do

wodząc nawet większą liczbą zbrojnych pocztów swych przyjaciół,

rozporządzał dochodami, których każdy monarcha w Europie mógłby

pozazdrościć i z pewnością niejeden zazdrościł.

W ostatnich przynajmniej latach Jan z Gandawy używał swej potęgi w

interesie króla. Ale czy można było się spodziewać, aby Bolingbroke,

niesprawiedliwie wygnany, postępował tak samo? Śmierć Jana z

Gandawy dostarczyła królowi sposobności, którą skwapliwie podchwycił.

— Sześć lat? Zmienię mu to na dożywocie — rozmyślał. — Bo

ostatecznie dlaczego Mowbray miałby surowiej być potraktowany od

Bolingbroke'a, który zostałby księciem Lancaster, gdyby wrócił do

Anglii? Ale co z moim patentem? Na szczęście mam parlament powolny

moim życzeniom. Unieważnię patent, jako wydany przez omyłkę...

omyłkę, którą popełniłem tylko po to, by się przypodobać stryjowi

Janowi, a o jego przychylność już nie potrzebuję dbać...

Tak więc Henryk Monmouth niebawem się dowiedział, że o ile sam nie

ucieknie, prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczy swego ojca. Co

więcej, posłyszał, że jego królewski krewniak i opiekun nagradzał swoich

popieczników nadaniami dóbr, należących do księstwa Lancaster i

finansował ekspedycję do Irlandii ze sprzedaży sreber, klejnotów i

ruchoomości Lancastrów.

W dwunastym roku życia Henryk zdawał już sobie sprawę, że to, co w

tej chwili król zagarnia i rozdaje lub trwoni na wyprawę wojenną, będzie

stanowiło kiedyś jego własne dziedzictwo. Ale chociaż nad wiek bystry i

energiczny, za młody był jednak, by temu przeciwdziałać, a nawet, by

zaprotestować. Ten, który kazał się nazywać „kuzynem Ryszardem”, był

jednak jego suwerenem i miał do dyspozycji dotkliwe sposoby okazania

niełaski.

Magnaci, właściciele wielkich dóbr ziemskich, zaczęli szemrać, że król

staje się coraz bardziej despotyczny, że niczyje ziemie nie są przed nim

bezpieczne. Wytworzyła się taka sytuacja, że do wybuchu rebelii trzeba

było tylko przywódcy z energią i pomysłowością.

W Irlandii młodemu Henrykowi król okazywał jeszcze więcej

łaskawości niż poprzednio, zapewne w mniemaniu, że zdoła

przełamać jego upartą lojalność w stosunku do nieobecnego i

skrzywdzonego ojca. Osoba chłopca była do dyspozycji królewskiej, ale

jego myśli i uczucia należały do niego samego. Ojca kochał tym więcej z powodu przymusowej rozłąki i jemu-przedem wszystkim był wierny. A jak mógł szanować człowieka, który legalnymi kruczkami ograbił jego ojca i jego samego?

Król zadowolony był z siebie w Irlandii. Rozdrobnił potęgę księstwa Lancaster, upewnił się, że nowy książę Lancaster zostanie tam, gdzie nie może mu zaszkodzić, przysięgłszy — a Bolingbroke był człowiekiem honoru — że nie będzie spiskował na wygnaniu przeciw swemu suwerenowi. Lecz Ryszard zapomniał, że złamawszy dane Bolingbroke'owi słowo w sprawie patentu, zwolnił tym samym wygnanego wasala od jego przysięgi. Król przeoczył ten słaby punkt swojej pozycji. Ale nie Bolingbroke.

Ledwie młody Monmouth zdążył się przyzwyczaić do soczystej zieleni irlandzkiego krajobrazu i do uporczywych irlandzkich deszczy, gdy pewnego dnia jeden z jego guwernerów powiedział mu lakonicznie: — Twój ojciec z grupką stronników wylądował w Ravenspur, na wybrzeżach Yorkshire...

Chłopiec wzburzył się cały.

— Go? Gzy aby na pewno? Przecież król skazał go na banicję dożywotnią... Och, dałby Bóg, żeby to było prawdą.

Ale... co z tego wyniknie?

Przed niecałym rokiem Bolingbroke był lojalny wobec Ryszarda, tak lojalny, iż powtórzył mu zdradzieckie słowa. Ale banicja i później ujawnienie, że prawdziwym jej powodem był zamiar pozbawienia go

ojcowizny

— okazały się próbą lojalności, której niewielu

gorącokrwistych mężczyzn zdołałoby sprostać.

— Książę zadeklarował, że przybywa, aby się upomnieć

o swoje, czyli odziedziczone księstwo Lancasteru — ciągnął

guwerner. — Jego dobra są teraz rozproszone. Nawet bez opozycji

królewskich wojsk, które ponoć wymaszerowały przeciw

niemu, niełatwo mu przyjdzie pozbierać włości Jana z Gandawy z

powrotem w silne księstwo.

— Och, słodki Jezu! Och, Matko Boska! Pomóżcie mi połączyć się z

ojcem! — Henryk chodził po izbie i załamywał ręce.

Król Ryszard, być może ostrzeżony przez guwenera o podnieceniu

chłopca, dopilnował, aby jego pragnieniu nie stało się zadość — jeszcze.

— Henryku, mój chłopcze, widzisz, co twój ojciec mi zrobił —

powiedział. — Najeżdża moje ziemie i bez pardonu wycina w pień moich

poddanych.

To „wycinanie w pień poddanych" było grubą przesadą. Bolingbroke,

książę Lancaster, nie napotkał prawie żadnego oporu. Thomas Arundel,

potomek starożytnego rodu, który został biskupem w dwudziestym roku

życia, kanclerzem Anglii w trzydziestym trzecim, arcybiskupem

Ganterbury w trzydziestym piątym, a w dwa lata później — banitą,

wygnany przez despotycznego Ryszarda po kazaniu, jakie mu wygłosił o

rozwiąłości i przepychu na dworze — powrócił razem z księciem do

Anglii i zapewnił mu poparcie Kościoła. Wielcy magnaci i bogaci

szlachcice pośpieszyli wraz z setkami zbrojnych pocztów, by witąć

Lancastra na jego włościach i zabezpieczyć własne; hrabia

Northumberland, jeden z największych magnatów, głowa potężnego rodu

Percych, przyprowadził ze sobą pomniejszych lordów; Ralf Neville, hrabia

Westmoreland, następny w bogactwie i wpływach, przyłączył się do

szybko wzrastających zastępów buntowników. Marsz Bolingbroke'a przez

Anglię, z północnego wschodu na południowy zachód, przemienił się w

triumfalny pochód. Ojcowskie zamki radośnie otwierały przed nim bramy.

Wojska pod wodzą królewskiego stryja, księcia York, rozpierzchły się na

wieść o nadciąganiu armii rebeliantów.

O tym wszystkim młody Henryk jeszcze nic nie słyszał; natomiast

wiedział, ilu własnych poddanych kuzyn Ryszard kazał „wyciąć w pień

bez pardonu”. Słyszał też, że dworacy szeptali między sobą:

— Ten zostanie królem...

— I takiego nam trzeba...

Chłopcu nie brakło sprytu i w nadziei, że go zabiorą z powrotem do

Anglii, dokąd król musiał się udać, postanowił symulować.

— Zaiste, mój najmiłościwszy panie, stroskały mnie bardzo

te nowiny — odrzekł. — Ale ufam, że nie będę obwiniony za

postępki mego ojca.

Nie wiadomo, o ile mu król uwierzył, ale dla wszelkiej pewności kazał

zamknąć swego młodziutkiego kuzyna na zamku Trim, w irlandzkim

hrabstwie Meath i tam go zostawił.

Zanim Bolingbroke mógł posłać po swego najstarszego syna, był już



królem. Ryszard, wyładowawszy w Anglii, znalazł się bez poparcia.

Lordowie i gminy jednakowo podchwycili sposobność zdetronizowania władcy, który bez przyczyny pozbawiał magnatów ich włości, rozdając je własnym faworytom, pieczeniarczom bez czci i wiary, a lud cisnął podatkami, arbitralnie nakładanymi i odmawiał im wszelkich swobód, pojmując wyraz „libertas” jako dotyczący jedynie króla, by mógł swobodnie przekształcać prawa w narzędzia własnego ucisku.

Bolingbroke, księżę Lancaster, teraz król Henryk IV angielski — nie tyle „z łaski Boga”, jak brzmiała formuła, ile dzięki niepopularności poprzednika na tronie, a własnej śmiałości — powiedział do swego syna i następcy:

— Przysięgam przed Bogiem, iż kiedym rozwijał żagle w Boulogne, nie powstała mi w głowie myśl o wyniosłościach, na jakie wstąpię w parę tygodni. — (Można by zapytać, czemu. w takim razie zabierał ze sobą arcybiskupa Arundel?) — Zamierzałem tylko wymusić na twoim kuzynie Ryszardzie zwrócenie mi mego, ewentualnie twojego dziedzictwa. Ale tylu ludzi wokół mnie się zgromadziło, ludzi znacznych i szlachetnych, takie tysiące dzielnych wolnych kmięci, iż się wprędce opatrzyłem, że moja misja nie skończy się na tym, co umyśliłem. Królestwo było na

skraju zagłady — a ponoć twój dziad ostrzegał przed tym na łożu śmierci

— z przyczyny złych rządów

i zlekceważenia praw, niegdyś broniących ludu przed tyranią. Kiedy

wjeżdżaliśmy do Londynu, a Ryszard za mną, mieszkańcy obrzucali go

błotem i śmieciami.

— I kuzyn Ryszard abdykował? — pytał Henryk Monmouth.

• — Nikczemie — odparł nowy król. (Co innego mógł uczynić więzień

Bolingbroke'a?) — A zebrani wspólnie lordowie i gminy mnie powierzyli

koronę.

— A co się stanie z kuzynem Ryszardem?

— Zboli cię ta wiadomość, bo on był dobry dla ciebie, ale kuzyn

Ryszard musi pozostać w zamknięciu do końca swego życia, by nie

spiskował przeciwko mnie.

— To smutne — odrzekł młodzik. — Ale chociaż był dla mnie dobry,

to jednak kazał mnie zamknąć, bym nie mógł pośpieszyć do ciebie. Tego

mu nie mogę wybaczyć. — I nagle wykrzyknął bardzo po chłopięcemu:

— Na Boga! Pomyśleć, że jesteś królem! Przecież muszę do ciebie

mówić: miłościwy panie. A kiedyś i ja... —• Przełknął, czego nie

powinien był głośno wymówić: że w takim razie i on pewnego dnia wstąpi

na tron. Zamiast tego powiedział prędko: — A czy przywrócisz Anglii,

ojcze... to znaczy, miłościwy panie... dawną jej chwałę?

Ojciec uśmiechał się, klepał syna po ramieniu.

— Grzebałeś w starych kronikach. Czego będę mógł do

konać, to zawisło od łaski Boga, od tego, jak długo mi żyć pozwoli, no i

od tego, jak się zachowają poplecznicy twego kuzyna Ryszarda. Mam  
wielu  
stronników,  
ale  
mam  
i  
wrogów.

Ci  
tak łatwo nie wypuszczą z rąk potęgi i bogactw — włącznie  
z moim i twoim dziedzictwem, które otrzymali z rąk swego protektora.

Będziemy  
musieli  
walczyć  
o  
utrzymanie  
tego,  
co  
nam

przypadło, mój synu. I liczę na ciebie...

— Zawsze, sire! Na moją szablę przysięgam być zawsze twoim  
wiernym synem i wasalem! — przerwał mu chłopiec.

— Oczywiście, mój chłopcze, i jeżeli mnie się nie uda przy  
wrócić Anglii jej dawnej chwały, jak to powiedziałaś, twoim  
to będzie zadaniem.

— Obym tylko miał sposobność! — wykrzyknął młody Henryk, a

ojciec z uśmiechem go pohamował:

— Nie tak prędko. Nie spiesz się mnie pochować.

— Sire, ja nigdy...

— Wiem, wiem. Ale po kolei. Najpierw jedna rzecz i jeden król.

Korona usiłowała pochwycić Lancastra: ale to Lancaster pochwycił

koronę. Twoim pierwszym obowiązkiem będzie pomóc mi ją utrzymać.

Niedługo po tej rozmowie, król Henryk IV pasował swego najstarszego

syna na rycerza. Następnego dnia młody Henryk Monmouth niósł miecz

podczas koronacji swego ojca. Do namaszczenia użyto rzekomo

cudownego oleju z ampułki, którą ponoć Matka Boska ofiarowała

Tomaszowi Beckettowi. Na czym ta cudowna moc polegała, nie jest jasne,

gdyż w każdym razie nie zapobiegła zamordowaniu Tomasza Becketta,

podówczas arcybiskupa Canterbury, w jego katedrze przez rycerzy,

poduszczonych do zbrodni okrzykiem innego jeszcze króla Henryka,

drugiego tego imienia: „Czyż nikt mnie nie uwolni od tego krnąbrnego

księdza?”

Kiedy zgodnie z tradycyjnym obyczajem, na salę, gdzie odbywała się

uczta koronacyjna, wjechał rycerz Henryka IV, Sir Tomasz Dymoke, i

rzucając rękawicę wyzwał każdego, kto by się ważył sprzeciwić prawu

świeżo koronowanego króla do tronu — młodziutki królewicz, już

świadom znaczenia gestu, choćby próżnego, zawołał :

— Jeśli zajdzie potrzeba, Sir Tomaszu, zastąpię ciebie w twoim

obowiązku!

Gest nie zmarnowany. Wszyscy zebrani przyklasnęli. Chłopiec ściągał ogólną uwagę, kładł podwaliny, może na razie bezwiednie, przyszłej swojej popularności, w której miał przewyższyć ojca.

Z myślą o zabezpieczeniu następstwa tronu dynastii Lancastrów, nowy król mianował Henryka Monmouth księciem Walii, diukiem Kornwalii (z czym wiązały się, jak i po dziś dzień, znaczne dochody) oraz hrabią Chester. Młodzik, który niedawno był tylko synem banity, a który dzięki uzurpacji ojca stał się księciem i następcą tronu, ukląkł posłusznie i skłonił głowę, aby królewskie ręce mogły na nią nałożyć koronetę z pereł; podał lewą rękę, by ją przyozdobiono pierścieniem, a w prawą ujął złotą laskę. Następca tronu Anglii. Oszłamiająca zaiste zmiana fortuny.

Obrócenie koła fortuny nie przeobraziło księcia Henryka w rozmiłowanego w przepychu próżniaka. Cała jego dusza się wrywała, by służyć ojcu i ojcowskiemu królestwu. Szczerze pragnął dla Anglii większej chwały — a jeśli przy tym chwała ta miała spłynąć i na niego, nie byłby człowiekiem i z pewnością nie byłby rycerzem, gdyby tym pogardził, chociażby nawet całą zasługę przypisywał Bogu, jak to miał w zwyczaju.

Nowy król, rozdzielając tytuły, dygnitarstwa i dożywocia — parlament się uskarżał, iż są zbyt hojne — tym, którzy mu dopomogli wstąpić na tron, jednocześnie okazywał wielką pobłażliwość w stosunku do dawnych popleczników Ryszarda. Henryk IV spodziewał się, że w ten sposób przywiąże ich do swojej osoby i zyska ich lojalność.

Rodzina królewska udała się na Boże Narodzenie do Windsoru.

Kulminacją uroczystości świątecznych miał być wielki turniej w wieczór Trzech Króli z udziałem najsłynniejszych rycerzy. Za ledwie kawalkada dotarła do zamku windsorskiego, kiedy hrabia Rutland, kuzyn króla — kto nie był z nim skuzynowany? — przyniósł wiadomość o spisku, uknutym przez tych właśnie dawnych stronników Ryszarda, którym król Henryk okazał wielkoduszne przebaczenie. Zbrojnych ludzi miano następnego dnia przemycić do zamku pod pozorem, że biorąc udział w turnieju, chcą poćwiczyć w szrankach.

Król i księżę zareagowali jednakowo.

— Z powrotem siadajmy na koń, miłościwy panie! — zawołał chłopiec. — Twoi wierni Londyńczycy będą wiedzieli, jak się rozprawić z tymi nikczemnikami!

— Dobrze mówisz, synu! Zawołaj swoich braci. Jedziemy wszyscy, natychmiast!

Jak od pierwszej chwili po jego powrocie z wygnania, tak i teraz Londyńczycy stanęli murem przy Henryku IV. Gdy niedoszli mordercy przybyli do Windsoru, by zająć klatkę, choć ptaki wyfrunęły, i by zadeklarować zamiar ponownego wprowadzenia na tron Ryszarda, już w Londynie zebrało się dwu-dziesiąt tysięcy wojsko. Rebelianci pośpieszyli na zachód. Król, którego syn ciągle ponaglał do pośpiechu, wyprawił się za nimi, ale inni dokonali jego zadania. Mieszkańcy hrabstwa Gloucester zatarasowali drogę rebeliantom i zmusili ich do złożenia broni, przyrzekając, że hrabiemu Salisbury, diukowi Exeter, diukowi Surrey i

innym przywódcom konspiracji wolno będzie czekać przybycia króla. Ale rozpalone walką tłumy nie chciały więcej pobłażliwości. Zlinczowano lordów na ulicach Cirencester. Umknął jeden tylko, Lord Despenser, aie nie na długo, bo gdy dojechał do Bristolu na zachodnim wybrzeżu, tam go rozpoznano i także powieszono bez sądu. Były to godne pożałowania ekscesy, ale skądinąd świadczyły o tym, jak ludność odnosiła się do Ryszarda, a jak do Henryka Bolingbroke'a.

Trudno się dziwić, że gdy w parę tygodni później Ryszard zmarł — w ciągu zimy najsurowszej od wielu lat, w jednym z najposepniejszych więzień Anglii, w Pontefract, jednym z najzimniejszych miast — rozeszła się pogłoska, że go zamordowano. Jedni mówili, że zagłodzony, inni, że otruty. Mało kogo zdawało się to obchodzić, chociaż, jeśli to rzeczywiście było morderstwo, musiano go dokonać albo na rozkaz uzurpatora, albo przynajmniej za jego cichą zgodą. Wydawało się, jakby powstał nowy spisek — milczenia. Nie pytano o nic. Niektórzy nawet z niejaką dumą powtarzali słowa, wymówione ponoć przez Ryszarda w Tower of London

:

— Dziwny i kapryśny to kraj, który wygnał, zabił lub zniszczył tylu swoich królów, władców i wybitnych ludzi.

Tłumaczono sobie jego skargę w ten sposób, że naród angielski jest dostatecznie mądry, zjednoczony i silny, by rozprawić się z tymi, którzy zdradzali położone w nich zaufanie, przekładali własne dobro nad dobro narodu. W każdym bądź razie, olbrzymia większość kraju wydawała się rada z tego, że król Henryk

zasiadał teraz tym pewniej na zagarniętym przez siebie tronie.

Był to jednak tron uzurpowany. Ryszard zasługiwał na detronizację ze wszech miar, ale prawym dziedzicem korony był jego ośmioletni bratanek, hrabia March. Henryk IV zawdzięczał tron sobie i swoim stronnikom. Odtąd korona przestała być należna według prawa dziedziczenia: stała się nagrodą do zdobycia. Nowy król zasiał ziarno, z którego pod koniec stulecia miało wzejść krwawe żniwo: trwająca trzydzieści lat walka magnatów o tron, znana pod nazwą Wojny Dwóch Róż.

Na uzurpowany tron wstąpił Henryk Monmouth, książę Walii, po śmierci ojca w roku 1413. Dlatego arcybiskup Boisratier mógł mu zarzucić, że „nie ma prawa nawet do tronu Anglii”.

Bądź co bądź Monmouth został ukoronowany i pomazany olejami, jako monarcha tego królestwa. Go więcej, wydawało się, że szczerze wierzył w swoje prawa również do tronu Francji; wierzył, że gdyby nie upomniał się z bronią w rękę o ten drugi tron, pozbawiłby należnego im dziedzictwa własnych następców.

Moralizujący ton listów Henryka V do Karola VI nie dotarł właściwie do świadomości adresata, chwilami niespełna rozumu. Natomiast doprowadził do pasji Delfina, następcę tronu francuskiego, który odpowiedział złośliwym sarkazmem. Wysłał do Anglii poselstwo, przekazując „szkatułkę ze skarbem” w prezencie dla króla Henryka.

Wręczając podarunek, poseł wyniośle zauważył, że obdarowany za młody jest, by wojny prowadzić (choć Henryk wiele lat spędził na wojowaniu



i dowodzeniu) i że przekona się, iż zawartość szkatułki lepiej go zabawi.

Po otwarciu szkatułki na światło dzienne wyjrzały „pilae Parisiannae” — piłki tenisowe.

Król Henryk powściągnął zrozumiały gniew wobec tej zniewagi i odpowiedział posłom:

— Dziękujemy Delfinowi za podarunek i za żart, a wam, panowie, za przywiezienie go tutaj. Zobowiązujemy was też do zakomunikowania naszemu księżęcemu kuzynowi, że chociaż być może dzisiaj kilku będzie się śmiało razem z nim, to jutro wielu będzie płakało. Jego żart nie wyda się zabawny tym tysiącom kobiet we Francji, które uczynimy wdowami. Te piłki przeobrazimy w kule armatnie, a wtedy, za łaską Boga, taki set nimi rozegramy we Francji, iż wybijemy na aut koronę jego ojca.

Obelgę i śmiałą na nią odpowiedź powtarzano sobie niebawem wzdłuż i wszerz Anglii. Wzmagał się gniew na Francuzów i popularność króla, który, choć często milkliwy, potrafił w stosownej chwili władać słowami równie biegle, jak mieczem i toporem bojowym.

Prawie do chwili rozpoczęcia wyprawy na Normandię, Henryk podtrzymywał — przynajmniej na eksport — fikcję, iż wyrządzona mu niesprawiedliwość zmusiła go do wojny. Pisał do cesarza rzymskiego narodu niemieckiego Zygmunta i do innych władców katolickich, może zatroskanych o jedność świata chrześcijańskiego, przedstawiając, jak powiada autor „Gęsta Régis Henrici Quinti”, własną wersję konfliktu, „aby cały świat wiedział, jakie krzywdy mu zadali kłamliwi Francuzi, zmuszając go wbrew jego najszczerzym chęciom do podniesienia

sztandaru przeciwko tym rokoszanom".

Sofizmaty, zapewne. Ale każdy wojownik, który nie jest katem — a król Henryk z pewnością nim nie był — chce jakoś usprawiedliwić przelew krwi, przez siebie dokonany. W myślach Henryka zawsze jest przytomna pamięć o ambitnych planach poprowadzenia kiedyś chrześcijańskich książąt Europy na wyprawę krzyżową. I któż będzie winił średniowiecznego władcę za to, iż pragnie przywrócić swemu królestwu jego ..dawną chwałę"?

*Naprzód! Na tronie Francji też zasiądę,*

*Albo i królem Anglii być przestanę.*

### *Rozdział III*

„Do wyłomu!"

Król Henryk wydaje się wszędzie obecny. Osobiście dogląda każdego szczegółu zaciągów i przygotowań do zaokrętowania. Jeździ na wschód i zachód od portu Southampton, lustruje większe i mniejsze statki, zapełniające zatokę i zalew. Nie pozostawia innym niczego, co zdoła sam wykonać w ciągu pracowitego dnia. Chętnie szuka porady u starszych członków swojej rady, u kapitanów, u doświadczonych rzemieślników i majstrów; ale podejmuje samodzielne decyzje, odtrącając tych, których uważa za nazbyt lękliwych lub nazbyt śmiałych. Narzuca własną, zdecydowaną politykę. Wbrew stosunkowo młodym latom, Henryk ma już duże doświadczenie wojenne. Pozwala sobie na spoczynek tylko przez pięć godzin na dobę. Wczesny letni świt zastaje go na nogach. Jada, co mu podadzą, nie zwraca uwagi na potrawy, ale nigdy nie narzeka na ich smak.

Wydaje się, że nie folguje sobie pod żadnym względem.

Po krótkim wyjeździe do Londynu, by złożyć błagalne ofiary w katedrze Św. Pawła i innych kościołach, król sporządza testament, kończąc go słowami: „Najświętsza Mario Panno, Twojej pieczy się polecam." I dnia 10. sierpnia 1415 roku wstępuje do szalupy, która go zawiezie na pokład okrętu flagowego, „Trinité Royale", pięćsettonowego, najwspanialszego z całej floty.

Mimo wielkiej liczby statków, jest ich jeszcze za mało, jak się okazuje, by przewieźć tysiące ludzi, koni, broń, działa oblężnicze, zamówiony i dostarczony prowiant. Pozostawiono na brzegu sporo ekwipunku, ale ani jednego żołnierza.

Na maszcie „Trinité Royale" powiewa sztandar z wyhaftowanymi wizerunkami Świętej Trójcy, Matki Boskiej, świętego Jerzego i herbami Anglii. Nad kasztelem zatknięto koronę z połączonej miedzi; na kabestanie berło z rzeźbionymi liliami, królewskim herbem Francji. Jak przystało okrętowi flagowemu monarchy, „Trinité" jest najwspanialej udekorowana i obwieszona flagami, ale wszystkie statki, czekające na rozkaz wybicia kotwic są bogato przystrojone: ich żagle chełpią się łabędziami, antylopami, węzami, ptakami i różnymi innymi heraldycznymi znakami, sztandary i insygnia puszyste od piór, bulwarki pomalowane jaskrawymi barwami i obwieszane tarczami rycerzy jako osłoną przed strzałami, którymi zapewne Francuzi powitają ich zbliżanie się do lądu.

Tłumnie zgromadzeni na pokładach wojownicy przystroili się równie

kolorowo. Zwłaszcza młodzi rycerze mają przypięte do zbroi lub hełmu upominki, po ostatniej pożegnalnej nocy, wręczone im przez żony lub kochanki: podwiązki, rękawiczki, lok często całowanych włosów.

Przywitawszy kapitana „Trinité” i szlachtę, zgromadzoną na pokładzie okrętu flagowego, król wydaje rozkaz:

— Podnieść grot do połowy masztu!

Jest to sygnał dla wszystkich innych jednostek, by wyszły na morze i utworzyły ścisły szyk armady.

Statki ruszają z wolna, łagodna bryza unosi rozdwojone języki bander i kwadratowe płachty chorągwi na masztach, mieniające się kolorowo w słońcu. Większa część tego dnia mija na formowaniu konwoju: każdy statek musiał zająć ściśle określoną pozycję w szyku. Wspaniały widok.

Przypatrują mu się tysiące z wysokiej skarpy nadbrzeżnej, fetując i wiwatując.

Na jednym ze statków wybucha pożar. Płomienie przerzucają się na jeszcze dwa inne, manewrujące obok. Wszystkie trzy trzeba opuścić.

Ludzi ocalono, ale ekwipunek — stracony. Pewien

marynarz — zabobonny jak wszyscy marynarze — mówi do kapelana:

— Zły to omen, pożar! Na miejscu miłościwego pana jeszcze bym dwa razy pomyślał, nim opuścimy naszą przytulną wyspę.

Kapelan śpieszy do Henryka, powtarza, co słyszał i potrząsając żałośnie głową dodaje:

— Najpierw spisek hrabiego Cambridge'a, teraz ten nieszczęsny

pożar! Zaklinam waszą królewską moc, proszę jeszcze raz rozważyć... to z pewnością Pan Bóg ostrzega...

— A więc dziękuję Bogu — odpowiada Henryk ze śmiechem — iż mnie ostrzegł, że jeden z moich kapelanów dostał mdłości na morzu i wolałby się znaleźć w stallach katedry, na wygodnej drzemce. Co do pożaru — zwykły traf. Czy nigdy się nie zdarzają w kościołach, probostwach, klasztorach? — Odwraca się, teraz surowy, do kapitana: •—

Tego tchórzliwego księdza kazać wysadzić na ląd. Nie wyprawimy się z nikim, kto nie jest naszej myśli, a Bóg nam sprzyja i nas nie opuści.

Następnego dnia, w niedzielę, o godzinie trzeciej po południu, przy donośnych dźwiękach trąb i warkocie bębnow, wśród okrzyków marynarzy i żołnierzy — wielka armada rozwija żagle i pod wodzą królewskiego stryja, admirała Exetera, bierze kurs na ujście Sekwany.

Tymczasem Delfin zawezwał feudalnych wasali — z których nie wszyscy zechcieli się stawić. Poza tym nie czyni się we Francji żadnych właściwie przygotowań do odparcia inwazji. Delfinowi i Armaniakom brak gotówki. Ludność, wymęczona kolejnymi podatkami, ucieka wraz z bydłem do lasów na wieść o nadejściu poborców. Toteż Anglików nie spotykają przy lądowaniu oczekiwane oddziały żołnierzy, mierzące do najeźdźców z kuszy, ulubionej broni francuskich łuczników. Lądowanie na północnym brzegu u ujścia Sekwany nie napotyka na żaden opór.

Armia z całym taborem ląduje prawie bez strat.

Jednym z pierwszych, który stawia stopę na francuskiej zie-

mi w Normandii, jest król Henryk. Pada na kolana i modli się głośno :

— Boże, z którego łaski płyną wszystkie wiktorie, i który widzisz serca wszystkich ludzi, Ty wiesz, że jestem Twoim pokornym sługą. Spraw, abym na tej ziemi, którą władali angielscy monarchowie od czasów mego przodka, Wilhelma normandzkiego a króla Anglii, nie uczynił nic, co by nie służyło Twojej chwale i wypełnieniu sprawiedliwości.

Wątpliwe, czy Bogu potrzebna była ta powtórka z historii, ale czas pokaże, że pojęcie sprawiedliwości Henryka nie różni się od boskiego. Wraz z królem do Francji przybyli prawie wszyscy parowie Anglii, których w owym czasie było ledwie ponad czterdziestu. Trzech tylko hrabiów brak: Westmorelanda, posłanego, by strzegł północnej granicy przed Szkotami, Warwicka, mianowanego komendantem Calais (posiadłości angielskiej) i Devonshire'a, za starego, by mógł brać udział w kampanii.

Jądro armii angielskiej stanowią łucznicy, postrach wroga, którym nikt w Europie nie może dorównać. Doskonałość ich kunsztu wymaga ciągłego ćwiczenia, a do tego potrzebny dość kosztowny ekwipunek. Tak więc bezpieczeństwo Anglii i możliwość wojennych podbojów zawisły od dobrej woli prostych ludzi — dworskiej służby, najmowanych parobków, wolnych kmiaci — i od tego, czy stać ich na kupowanie łuków i strzał oraz na grubą skórzaną odzież.

Drugim ważnym składnikiem armii są wojownicy i ich elita — rycerze. Od stóp do głów przybrani w kowane zbroje, każda stalowa blacha nasunięta na poprzednią, rycerze i wojownicy dźwigają na sobie ogromny ciężar. Ich pancerze, jeżeli dobre, opierają się nawet młotowi

kowalskiemu. Ale nie wszyscy mogą sobie pozwolić na kupno najlepszych zbroi. Niejednemu z Anglików w ciągu najbliższych paru miesięcy mocny cios rozłupie tandetny hełm. Jednakże największym niebezpieczeństwem dla męża w zbroi — za owych czasów zwykle walczącego na piechotę — grozi upadek. Leżąc na ziemi jest bezsilny, jak przewrócony do góry nogami żółw. Trzeba dwóch ludzi, by go postawić z powrotem na nogi, a zanim ci się znajdą, nieprzyjaciół może przemocą otworzyć przyłbicę i zasztyletować go; zdarza się też, że rycerz, leżący na ziemi, udusi się w upale gorącego lata. Temu podwójnemu trzonowi armii towarzyszy olbrzymia liczba czeladzi i służby. Noszą oni zapasową broń wojowników, pomagają im przywdziać zbroje, podsadzają na wierzchowce przed pochodem, pilnują koni, gdy ich panowie walczą pieszo. Kapelani, lekarze, minstrele, trubadurzy, rzeźnicy, piekarze, muzykanci — setki ich zabrano na statki w Southampton i wysadzono w Normandii.

Nie lada kłopotów przysparzał furaz dla dwudziestu pięciu tysięcy koni, które obciążyły też znacznie statki transportowe przy przeprawie przez Kanał. Oprócz koni jucznych każdy diuk miał pięćdziesiąt koni na własny użytek, każdy hrabia dwadzieścia cztery, każdy rycerz sześć, każdy wojownik cztery, a każdy łucznik, co najmniej jednego.

Gdy wojsko ląduje, rozbija obozowisko i zabiera się do posiłku, król, dobrze świadomy zachowania żołnierzy podczas kampanii, ogłasza surowy regulamin. Kara śmierci za zabicie lub zgwałcenie kobiety. Jeżeli żołnierz, wchodząc do pomieszczenia, gdzie się znajduje ciężarna kobieta, narazi na

niebezpieczeństwo życie jej lub dziecka, utraci „całe swoje mienie, z czego połowę na rzecz oskarżyciela, a połowę na rzecz dowódcy oddziału, oraz poniesie karę śmierci, o ile król nie okaże mu łaski”. Kara śmierci także za zabranie z kościoła „poświęconych naczyń albo ozdób należących do ołtarza, ksiąg lub innych przedmiotów, do odprawiania mszy służących”. A każdy, kto znieważy sakrament przenajświętszy, pójdzie na tortury przed powieszeniem.

Nie wolno zabierać od mieszkańców wozów ani wołów, ani brać do niewoli za okupem dziecka poniżej lat czternastu. Każdy musi nosić stale na piersi i na plecach wielki czerwony krzyż świętego Jerzego celem rozpoznania. Ostrzega się kobiety lek-

kiego prowadzenia — bardzo to niezwykle — iż jeżeli podejną do angielskiego obozu na odległość mniejszą niż 5 km, spotkają się z upomnieniem, a za drugim razem — będzie im wyłamane lewe ramię.

Dyżenterya zbiera już dość bogate żniwo w wojsku angielskim: król nie chce ryzykować narażania swoich ludzi na inne jeszcze choroby.

Posłuch i subordynacja są konieczne nie tylko dla ego, ponieważ zbieranie ludzi, zwerbowanych ze wszystkich stron Anglii trzeba przekuć na jednolite, zdyscyplinowane wojsko, ale także dlatego, aby ludność Normandii nie ulegała panice, lecz bez lęku, choć z respektem przyjmowała najeźdźców.

— Przybyliśmy — rzecze król — by wojować z żołnierzami, którzy opór dadzą, którzy zastąpią drogę nam i sprawiedliwości. Niech Bóg zachowa, abyśmy wojowali z księżmi, niewiastami, starcami i dziećmi.



Ale i ci ucierpią w nadchodzącej wojnie.

Sprawne i bezkrwawe wylądowanie w Normandii jest samo w sobie nie lada osiągnięciem. Ale to tylko pierwszy krok — do czego? Henryk V, wódz wypróbowany, jak stał sprawdzona w ogniu, nie po to przewycięża olbrzymie trudności przewiezienia dziesięciu tysięcy żołnierzy z końmi i ekwipunkiem przez Kanał, by nie wiedział, co ma z nimi później robić.

— Najpierw umocnimy nasze władanie w Normandii — zapowiada radzie koronnej. — Francuzi, gdy wreszcie się wynurzą, a wynurzyć się muszą, ze swych nor, będą walczyli blisko własnych baz. My, w miarę posuwania się w głąb lądu, będziemy się coraz bardziej oddalali od naszych baz, które leżą po drugiej stronie morza. Musimy więc mieć port, do którego bezpiecznie będziemy mogli przywozić oddziały posiłkowe i dostawy, a zabierać stamtąd rannych i jeńców, czekających wykupu.

Z tego też powodu król skierował flotę do ujścia Sekwany. Na północnym brzegu tej rzeki leży silnie ufortyfikowane miasto handlowe Harfleur. W owych czasach, gdy Le Havre liczy się za wioskę rybacką, Harfleur jest bogatym i ruchliwym ośrodkiem, uważanym za strategiczny klucz do Normandii. Wzniesione po obu brzegach strumienia Stradling, dopływu Sekwany, rozporządza stale świeżą wodą, o dużym znaczeniu dla prosperujących w mieście farbiarni, zakładów przerobu ryb oraz doków okrętowych. W głębi lądu, za murami, nisko położone pola można zalać, wznosząc tamę na strumieniu. Widziane od strony obozowiska miasto jest niezwykle piękne — z okrążającymi je murami, bastionami i wieżami, z barwnymi sztandarami rozwiniętymi w

słońcu, na tle ciemnej zieleni zalesionych wzgórz.

Być może król i jego doradcy nie doceniają w tej chwili malowniczego piękna Harfleur, gdyż utkwili wzrok w potężnych fortyfikacjach. Miasto otaczają dookoła masywne mury, wzmocnione aż dwudziestusześcioma wieżami. Do wewnątrz prowadzą trzy bramy, każda broniona fosą, mostem zwodzonym, spuszczaną kratą i dwiema wieżami. Podejście do bram utrudniają szańce ziemne. I to miasto nie zaniedbało przygotowań do odparcia ataku. Południowo-Zachodniej bramy — a od tej strony nieprzyjacielowi najłatwiej byłoby podejść, bo pozostałe bramy wychodzą na zalaną wodą dolinę — strzeże okrągły barbakan, wzmocniony faszynami i pniami drzew, powiązanych razem za pomocą żelaznych obręczy. Jak we wszystkich wieżach, tak i w barbakanie porobiono wąskie otwory strzelnicze, przez które obrońcy mogą, nie narażając się sami, strzelać z dział i kusz do wroga.

Załoga pod dowództwem pana de Gaucourt, który świeżo nadciągnął do miasta z posiłkami w liczbie trzystu żołnierzy, nie jest liczna. Jednakże zarówno obrońcy Harfleur jak i jego mieszkańcy uważają miasto za niemożliwą do zdobycia fortecę. A w każdym razie wierzą, że potrafią się bronić przynajmniej tak długo, dopóki Delfin nic zgromadzi i nie wyśle armii na odsiecz.

Wielu panów z otoczenia Henryka jest tego samego zdania. Potrzęsają posępnie głowami i doradzają, by ominąć Harfleur i zająć pozycję, umożliwiającą wydanie bitwy Francuzom, nadciągającym z odsieczą.

Jeżeli wówczas Bóg da zwycięstwo An-

glikom, Harfleur może się podda. Król nie chce o tym słyszeć. Niejedna niezdobyta na pozór forteca uległa przed taktyką i upartą determinacją Henryka.

—• Nie, przyjaciele. Port nam potrzebny i port zdobędziemy. Najpierw odetniemy miasto od wszelkich dostaw i zobaczymy, co jego mieszkańcy powiedzą w obliczu głodu.

Wysłała brata, księcia Clarence, na pozycje od strony lądu, by czuwał, czy nie nadciąga odsiecz. Następnie każe drażyć tunele i podkopy, aby wysadzić w powietrze część murów i uczynić w nich wyłom. Angielskie działa oblężnicze, bardzo ciężkie, z największym wysiłkiem wlecze się aż do fosy.

Księżę Clarence zagarnia konwój z dostawami: „działa, beczki z prochem, strzały i kusze w wielkiej ilości”. Flota angielska nie dopuszcza statków do ujścia Sekwany. Henryk zajął pozycje na północ od miasta, hrabia Stafford na zachód, a Clarence na wschód. Harfleur jest odcięte od świata. Ale nie zraża to załogi ani mieszkańców. Król wysłała herolda z wezwaniem do poddania miasta:

— Księstwo Normandii jest nasze według praw boskich i ludzkich.

Miasto

Harfleur,

z

dawna

nam

odebrane,

musi

wrócić

do prawowitego pana i władcy.

De Gaucourt odpowiada pogardliwie:

— Vous ne nous avez rien donné a garder, nous n'avons rien à vous rendre.

— Czelne słowa! — zauważa Henryk. — Każemy mu je zjeść.

Niezdługo będzie rad, że ma choćby to do zjedzenia.

Rozpoczyna się oblężenie. Początkowo rozmieszczenie ciężkich dział okazuje się niezbyt fortunate; drążenie podkopów też się nie udaje. Jako osłonę przed pociskami oblężonych trzeba wznieść wysokie parkany sporządzone ze ściśle dopasowanych desek, przymocowanych zawiasami do wbitych w ziemię pali. Dopiero wtedy cieśle z pomocą ciurów obozowych budują podstawy pod angielskie działa. Gdy dział jest już na swoim miejscu, parkan dzięki zawiasom można otwierać przed wystrzałem, a potem znowu zamykać, aby kanonierzy mogli swobodnie zająć się długim i skomplikowanym procesem nabijania. Mimo tych zabezpieczeń, niejeden Anglik postradał życie, nim wciągnięto i umieszczono na pozycji pierwsze z ciężkich dział oblężniczych. Francuzi dokonują częstych wycieczek przez bramy i napadają Anglików, zatrudnionych przy linach i dźwigniach. Trzech rycerzy porwano do niewoli i zawleczono wewnątrz murów Harfleur.

Francuzi replikują na drążenie podkopów jeszcze głębszymi podkopami. Gdy się spotykają, wybuchają pod ziemią gwałtowne

utarczki.

Ale gdy wreszcie ciężkie działa znalazły się na pozycjach, zadają poważne szkody w murach i na wieżach. Trzy największe działa, o lufach czterometrowej długości, a kalibrze około 70 cm, angielscy żołnierze przewali „Posłaniec”, „Londyn” i „Królewska Górka”. Przy każdym strzale, wśród ogłuszającego huku, jak podaje kronikarz, działa „wydmuchują kamienie siłą zapalonych prochów”. Kanonierzy, strzelający nocą, polewają smołą kamienne kule — ważące do 250 kg — i podpalają je przed wepchnięciem w głąb lufy. Takie pociski wznecają pożary drewnianych części konstrukcji obronnych i burzą fortyfikacje z hałasem, budzącym trwogę w sercach mieszczan.

Kanonada trwa bez przestanku przez cały tydzień. Ale obrońcy pośpiesznie naprawiają uszkodzenia. Kilkakrotnie nieliczne grupy Anglików próbują odważnie wdrzeć się na mury, ale za każdym razem odparto ich, rzucając wprost w twarze napastników siarkę, wapno, gorącą oliwę i rozżarzone cegły.

Działa nadal kruszą mury, ale Anglicy tracą więcej ludzi, niż oblężeni.

Obrońcy Harfleur odpowiadają na bombardowanie kulami, wyrzucanymi ze swych dział, a także zapalonymi strzałami, owiniętymi w kłaki, umaczone w żywicy. Jeden z kapelanów, który brał udział w oblężeniu, zanotuje :

„Nie przemilczę cnót nieprzyjaciela. Nie mógł on odpierać naszych ataków z większą odwagą, determinacją i umiejętnością”.

Angielscy łucznicy każą zawracać wycieczkom, czynionym

przez obleżonych, chmurami celnych strzał. Ale obleżenie nie jest właściwym żywiołem łuczników. W pełni mogą dowieść swej wybornej umiejętności dopiero na otwartym polu bitwy, przeciw żołnierzom konnym lub pieszym, idącym na nich falami ściśniętych szeregów. Nieznużony król Henryk nie traci ducha. Od rozpoczęcia obleżenia mało kiedy odpoczywa. Czerpiąc ze swego bogatego doświadczenia, układa coraz to nowe plany i fortele, nakazuje nowe sposoby atakowania. Dogląda szczegółów administracyjnych, sprawdza zwłaszcza, co żołnierze dostają do jedzenia i gdzie sypiają. Często osobiście prowadzi zwiady, dając przykład odwagi graniczącej z lekceważeniem własnego życia. Ocenia rozmiary szkód, zadanych fortyfikacjom Harfleur, ogląda szanice pod działaniami. Wytyka błędy, chwali zaradność i odwagę. Nocą czujni wartownicy często dostrzegają jego wysoką, szczupłą postać. Podchodzi do żołnierzy bez ceremonii, wdaje się w rozmowy, wypytuje i zachęca, obiecuje chlubne zwycięstwo, o którym opowieści będą powtarzane dzieciom i wnukom.

Jest jednakże wróg, z którym Henryk nie spotkał się poprzednio, a który zagraża poważnym niebezpieczeństwem i nawet jego niespożyta energia mało przeciw niemu może wskórać: dyzenteria. Upały panują nieznośne, powietrze ciężkie i wilgotne od stojących wód zalewu. Muchy krążą wokół odkrytych latryn i zagród dla koni, przenoszą zarazki na żywność, przygotowywaną i zjadaną pod gołym niebem. Nie sposób przeszkodzić spożywaniu niedojrzałych winogron i innych owoców, ani też różnych małży, od których się roi w błotnistych strumykach. Żołnierze

piją też galonami młode, kwaśne wino, sprzedawane im przez

wieśniaków.

Pod koniec drugiego tygodnia oblężenia ludzie umierają tuzinami na

krwawą biegunkę. Rozlegają się głosy, że nie Francuzi ich zwyciężą, ale

choroba. Król nie słucha panikarzy. Waży się na wiele, ale cofa się przed

jednym: nie może sobie wyobrazić porażki. Postawił na zwycięstwo, na

przywrócenie An-

glii jej dawnej chwały. Gdyby wrócił do kraju pokonany —Szkoci,

Walijczycy i magnaci, dziś lojalni, bo to się im opłacało, sprzymierzyliby

się na jego zgubę. *Na tronie Francji też zasiądę, albo i królem Anglii być*

*przestanę.* A prócz tego, Henryk chce dowieść świata, że jest wodzem,

który mógłby poprowadzić książąt Europy na nową wyprawę krzyżową.

Podtrzymuje go na duchu świadomość, że w oblężonym mieście

warunki muszą być jeszcze gorsze, niż w obozie. Wie, że i tam szaleje

dyzenteria, a zapasy się kończą, zwłaszcza strzał. Wartownicy nieustannie

wypatrują z murów w kierunku •wschodnim i południowym, czy nie

nadciąga upragniona odsiecz. Rycerstwo francuskie zbiera się podobno w

Rouen i w Paryżu. Wielki Konetabl, Charles d'Albret usiłuje zgromadzić

wojsko w Honfleur na południowym brzegu ujścia Sekwany, a marszałek

Boucicaut — w Caudebec, o jakieś 50 km lotem ptaka na wschód od

Harfleur. Żaden z nich nie ma ochoty zmierzyć się w otwartym polu z

Henrykiem. Książę Burgundii, nie przyznając się jawnie do zawartego z

Anglią przymierza, obiecał nadesłać pomoc oblężonemu miastu, ale

próbuję dotrzymać warunków tajnej umowy z Henrykiem, wynajdując

wciąż nowe powody odwlekania tej pomocy. Tak więc znikąd nie widać odsieczy, a w mieście jest coraz gorzej.

Francuską załogę ogarnia rozpacz. Jeden z tych zbrojnych wypadów za bramy miasta, przyczyniających wojsku Henryka niemało kłopotów i zadających Anglikom niemało strat, okazał się tym razem momentem zwrotnym w całym oblężeniu. Dnia 17. września Francuzi wypadli i zaatakowali odcinek wojsk angielskich, dowodzony przez młodego kapitana, Sir Johna Hollanda. Jego ludzie odpędzają Francuzów.

— Za nimi, przyjaciele! — woła Holland i sam pierwszy biegnie, z mieczem w ręku, za cofającym się napastnikiem.

Jego wojownicy, rwąc się do walki jak i on, śpieszą, o ile mogą w swych ciężkich zbrojach ku barbakanowi, podpalonemu przez „Królewską Córkę”. Łucznicy, obnażeni do pasa i zbrojni w pałki i sztylety, przyłączają się do walki. Przedosta-

r, :?

ją się przez fosę po wiązkach chrustu, przełazą przez resztki pogruchotanej palisady. Ci z żołnierzy, którzy mogli sobie pozwolić na kupienie tylko najlichszej zbroi, padają od ciosów Francuzów. Pozostali prą naprzód, dostają się do środka płonącego barbakanu. Wielu Francuzów ginie od mieczy, toporów, pałek, sztyletów; reszta ucieka przez otwartą bramę za mury.

Sir John Holland dobrze wykorzystał sposobność. Dzięki niemu Anglicy zawładnęli barbakanem i dwiema wieżami po obu stronach. Ojciec młodzieńca, hrabia Huntingdon, utracił tytuł i dobra za zdradę



podczas panowania poprzedniego króla. Jego syn za okazaną pod Harfleur dzielność odzyska z powrotem hrabstwo Huntingdon.

Teraz można ciężkie armaty angielskie podciągnąć bliżej murów, można wrzucać kamienne pociski w samo serce miasta, napełniać przerażeniem nieugiętych do tej pory mieszkańców. Zasobne kamienice obrócone w ruiny; wszystkie budynki dygocą, jakby się miały lada chwila zawalić.

Raz jeszcze król Henryk wzywa de Gaucourta, by poddał miasto. I znowu komendant załogi odrzuca propozycję. Co prawda, Henryk jest z tego tylko rad. Jego krew szybciej krąży w żyłach na myśl, że jak wielekroć dawniej, znowu poprowadzi żołnierzy do szturm na zażarcie bronione mury.

— A więc na jutro wyznaczam szturm! — rzecze. — Jutro ukarzymy tych upartych Francuzów za to, że opóźniają pochód angielskiego wojska, zdążającego na podbój!

Aby zatrwożyć załogę i mieszczan, każe otrąbić głośno przed szeregami swego wojska, że wszyscy mają się gotować do szturm i wzięcia miasta w dniu jutrzejszym. Przez całą noc grzmia działa. Najgwałtowniejsze to bombardowanie, jakiego dotychczas Harfleur zaznało. Padają w gruzy mury, kamienice; powybijano dziury w wieżach kościoła Św. Marcina. Załoga i mieszkańcy boją się wychylić na ulice, gdzie ranni leżą bez pomocy między zabitymi.

A w obozie angielskim wałą młoty: to cieśle śpieszą, by sporządzić drabiny do generalnego szturm.

O świcie król Henryk przemawia do wojska: wzywa, by walczyli jak nigdy jeszcze, by się stali podobni tygrysom, przerażającym wroga. Jest to jedno z tych pamiętnych przemówień, które, przeobrażone w poezję czarodziejskim piórem Szekspira, pozostaną drogie sercu każdego

Anglika:

*Raz, przyjaciele, jeszcze do wyłomu,*

*Lub go zatkajmy trupami Anglików!*

Przemawia do rycerzy:

*Na honor matek nie rzucajcie płamy,*

*Dowiedźcie światu, że ci was spłodzili,*

*Których ojcami z dumą nazywacie.*

*Bądźcie przykładem dla krwi pośledniejszej*

*Jak walczyć trzeba, nauczcie ją teraz!*

I do łuczników:

*A wy, żołnierze, których członki były*

*Lepione w Anglii, pokażcie nam tutaj,*

*Jaki lud rośnie na angielskiej roli...*

*Każdy z was stoi niby chart na smyczy*

*Rwie się na pole!*

I ostateczny okrzyk:

*Bóg jest za Henrykiem! Anglia i święty Jerzy!*

Tym razem, skończyło się na przemowie. Jak głosy trąb i bębnow

Izraelitów, maszerujących wokół Jerycha, głos Henryka wystarczył do

zdobycia Harfleur. Nikt więcej nie ruszał „naprzód do wyłomu!” Ledwie

głos królewski przebrzmiał, gdy z bram miasta pośpieszyli posłowie, by pertraktować o warunki poddania.

Warunki są takie, jak zazwyczaj w owych czasach, kiedy duch rycerskości jeszcze nie zamarł. Pozwolono wysłać delegację mieszczan do Delfina do Rouen, z prośbą o natychmiastową pomoc. Jeżeli ta pomoc nie nadejdzie do dnia 22. września, Harfleur podda się Anglikom. Aż do tej pory nie będzie walk, bombardowania, łucznicy odłożą strzały. Dwudziestu czterech co znaczniejszych mieszczan ma się stawić w charakterze zakładników w obozie angielskim. Gdyby Francuzi naruszyli warunki podpisanego rozejmu, zakładników może spotkać śmierć.

Rankiem następnego dnia po zawarciu rozejmu biskup Ban-goru Benedykt Nichols w szatach pontyfikalnych prowadzi pod mury, poprzez jeszcze dymiący barbakan, procesję trzydziestu dwóch kapelanów, przybranych w białe komże i ornaty ze złocistego brokatu oraz trzydziestu dwóch rycerzy z zapalonymi pochodniami. Biskup niesie Eucharystię, na którą Francuzi i Anglicy zaprzysięgają dotrzymać wszystkich warunków rozejmu. Z kolei podchodzą zakładnicy, w liczbie dwudziestu czterech. Anglicy otaczają ich natychmiast. Jeńcy, co dość zrozumiało, spoglądają na nich nieufnie. Biskup uspokaja:

— Nie bójcie się, bo nic wam się nie stanie, o ile wiernie zostaną wypełnione warunki rozejmu. Nasz suweren i władca, król Anglii, nie przybył do Francji, by krzywdzić kraj, który z prawa należy do niego. Nie zachowa się w Harfleur tak, jak wasi rodacy się zachowali w Soissons.

Jesteśmy dobrymi chrześcijanami.

Wzmianka o Soissons odnosi się do dawniejszego wydarzenia, kiedy to angielscy zakładnicy, oddani Francuzom, zostali zamordowani co do jednego, ponoć bez powodu.

Dla Anglików zaczął się teraz czas męczącej bezczynności; dla mieszkańców Harfleur — niespokojnej nadziei i powątpiewam Działa milczą. Oblężeni grzebią swoich zabitych, często poszarpanych, bez głów.

Po obu stronach fosy szerzy się dyzenteria. Wydaje się, że w tej sprawie Stwórca zapomniał opiekować się swym sługą (czy doradcą?) Henrykiem.

W drugiej połowie września choroba, nie rozróżniając szlachty od wolnych kmiaci, zmniejszyła siły angielskie o ponad dwa tysiące ludzi.

Zmarł hrabia Suffolk. Książę Clarence, hrabiowie March

i Arundel ledwie wyżyli. Henryk własnoręcznie zamknął oczy

Ryszardowi Courtney, biskupowi Norwich, serdecznemu przyjacielowi.

W wilgotnym, ciężkim upale każdy dzień przynosi nowe pogrzeby, coraz nowi chorzy ulegają epidemii.

Wreszcie poselstwo, wysłane do Delfina, wraca, by oznajmić głodującym, wycieńczonym mieszczanom, że...

W niedzielę Henryk udaje się do ogromnego, jedwabnego namiotu, wzniesionego na skraju obozu, na wzgórzu naprzeciwko Harfleur. Wokół tronu, udrapowanego złotogłowiem, zebrali się angielscy rycerze, a wszyscy bogato przystrojeni, by wywrzeć wrażenie na pokonanym nieprzyjacielu. Tylko twarz królewska nie wyraża ani dumy, ani triumfu czy pogardy; raczej skromność i powagę. Nie po raz pierwszy będzie

przyjmował poddającą się załogę twierdzy.

Między dwuszeregiem angielskich wojowników idzie ku królowi de Gaucourt, niosąc klucze Harfleur, a za nim dwudziestu czterech zakładników, którzy spędzili cztery dni w angielskim obozie. Każdy musiał się upokorzyć, wkładając włosiennicę; wokół szyi każdego zawiązano sznur. Przed nimi idzie ksiądz z hostią.

Rozkazano im uklęknąć. Król nadal rozmawia z rycerzami ze swojej świty. Celowo ignoruje jeńców, by pojęli, jak mało są ważni. Muszą klęczeć przez dobrych kilka minut, gołymi kolanami na ziemi. Wreszcie zwraca się ku nim poważne spojrzenie. Twarz spokojna, sugeruje zamyślenie. Henryk prostuje ramiona, podnosi nieco głowę, jakby zdawał sobie sprawę, że ma do wypełnienia królewski obowiązek. Daje znak hrabiemu Dorset, by wziął klucze — i wreszcie zaczyna mówić, spokojnie, ale z naciskiem.

— Wbrew wszelkiej sprawiedliwości wzbranialiście nam dostępu do naszego miasta Harfleur, które wraz z Normandią i całą monarchią Francji aż do jej najdalszych granic, jest naszym z prawa; a Waszą upartą rebelią przyprawiliście o śmierć setki własnych rodaków, jako też i naszych żołnierzy. W obliczu takich zbrodni, obciążających wasze sumienia, jaką karę, nie z zemsty lecz po sprawiedliwości, my, wasz prawowity królewski władca, winniśmy wam wymierzyć?

— Powiemy wam — ciągnie król — jaka należy się kara według prawa: oto, aby owe sznury na waszych szyjach zaciągnąć, dopóki ostatni

dech nie opuści waszych ciał, które winny być wrzucone do morza na żer rybom i na zgniliznę. Ale najpierw surowa sprawiedliwość wymaga, by wasze miasto wydać na łup niecierpliwemu żołnierstwu, wykrwawionemu przez wasze buntownicze strzały, poszarpanemu przez wasze zdradzieckie armaty, okaleczonemu przez wasze rebelianckie miecze. A wówczas, nim zginiecie, będziecie patrzeć jak ludzie, pozbawieni zmysłów w dozwolonym upojeniu, będą gwałcić wasze dziewicze córki, rozpryskiwać o mury mózgi waszych starców, nadziewać na dzidy wasze niemowlęta.

— Cóż więc powiadacie? Czy to nie jest sprawiedliwość?

Czy *to* nie zasłużona kara za wasze zbrodnie, za zdradę i rebelię przeciwko nam, waszemu prawowitemu władcy? Odpowiedzcie mi...

Jedyną odpowiedzią jest milczenie. De Gaucourt patrzy wyzywająco w twarz królowi. Ale inni jeńcy zwiesili głowy, nie we wstydzie za swoje uczynki — bo walczyli w obronie własnej — ale we wstydzie z powodu klęski i upokorzenia.

Henryk grał główną rolę na niejednej wojennej scenie. Jest niepoślednim aktorem. Zachowuje surowość. Deklamował dźwięcznie, groźnie błyskał oczyma, potrząsał głową w pozornym gniewie, gestykulował otwartą dłonią. Teraz długą chwilę milczy. Cień uśmiechu rozchyła jego wargi, uśmiechu pobłażliwego, jak u ojca na widok psotnego dziecka. Pochyla się naprzód :

— Zdaliście się na naszą łaskę i niełaskę. Zrozumieliście na reszcie błąd i jałowość waszego buntu, chociaż musieliśmy prochem i kulami

wbijać

wam

to

zrozumienie

do

głów,

twardych

jak mury Harfleur. Prosilicie o miłosierdzie. Istotnie, miłosierdzie

przystoi suwerennemu władcy.

Znowu pauza, zamyślenie. I ostateczne słowa:

— Nie odmówimy miłosierdzia...

W końcu biedakom wolno powstać z klęczek. Henryk mówi teraz

rozkazującym, stanowczym tonem:

— Zdjąć im sznury, dać przystojną odzież.

De Gaucourt i byli zakładnicy przystrajają się w jedwabie, zasiadają do

wystawnej uczy, a jedzą z zapalem ludzi od dawna głodujących. Są teraz

traktowani z należnymi im względami, jak honorowi jeńcy. Wszystko to

było z góry wyreżyserowane: przemowa i upokorzenie należały do

dramatu.

W poniedziałek Henryk oznajmia o swoich dalszych dowodach

miłosierdzia. Nie potraktuje Harfleur tak, jak jego pradziad zwykł

traktować inne zdobywane miasta, o czym pisał Jean Froissart, kronikarz z

XIV wieku:

„(Anglicy) przybyli do bogatego miasta nazwanego Cher

bourg; zdobyli je i złupili, po części spalili ..... Tym sposobem popalili wiele miast w tym kraju i zgromadzili nadzwyczajne bogactwa. I nadeszli do wielkiego miasta nazwanego Careuban.... Anglicy rabowali do woli miasto i zamek, a później ogień podłożyli i spalili wszystko. Nic to dziwnego, że wieśniacy żyli w trwodze przed nimi ..... uciekali, zostawiając domy i stodoły pełne zboża..."

Harfleur nie będzie wydane na łup niepohamowanej grabieży i gwałtów, zwyczajnych w owych czasach. Zażądano jednak od mieszkańców, by zadeklarowali swoje mienie, bowiem tradycyjnie wszelkie ruchomości przypadły w udziale zwycięskim wojskom, wśród których rozdzielano je — pod nadzorem króla Henryka — bardzo skrupulatnie „według rangi i zasług”. Kilka najcenniejszych przedmiotów, przeznaczonych dla ozdoby królewskich pałaców, załadowano na okręt flagowy „Trinité Royale”.

Powtórzono znowu surowe rozkazy, zabraniające molestowania kobiet i księży, a także zabierania czegokolwiek z kościołów; przypomniano, że



za niesubordynację czeka kara śmierci.

— Co? Król chciałby, żebyśmy siedzieli w mieście i żadnej dzierlatce nie zadarli spódniczki? — pyta swych kompanów młody łucznik, wyrażając powszechne niezadowolenie.

— Naucz się zalecać do francuskiej dziewczyny tak samo, jak do angielskiej — odpowiada mu stary wyga, weteran niejednej kampanii. — I pamiętaj, że król dotrzymuje słowa i biada takiemu, który nie usłucha!

— Gdybym wiedział, to byłoby o jednego ochotnika mniej do tej wyprawy — narzeka jeszcze trzeci. — Myślałem, że te regulaminy to takie sobie zwykłe bajanie, żeby król mógł później wyprzeć się odpowiedzialności.

— Nie ten król. On bierze na siebie odpowiedzialność za wszystkich.

Ale czego narzekasz? My tu długo nie zmitrzymy, możesz być pewien.

Nie przyszliśmy po to, by zdobyć jedno miasto. A ci, co zostaną, jako załoga, przekonają się, że Francuzki, jak inne dziewczęta, ulegają gładkim słówkom, grubaśnemu woreczkowi albo srebrnej monecie. Tak jest wszędzie na świecie.

Henryk zamierza przekształcić Harfleur w miasto angielskie, na wzór Calais, zdobytego przez Edwarda III i później zasiedlonego w znacznej części przez Anglików. Mianuje gubernatorem hrabiego Dorset. Kto z obecnych mieszkańców chce pozostać, musi złożyć przysięgę na wierność „prawowitemu władcy”. Wyjątek stanowią najbogatsi — tych wysyła się do Anglii, dopóki krewni i przyjaciele nie zapłacą za nich okupu — oraz starcy, chorzy i żebracy, dla których przygraniczna twierdza nie jest

odpowiednim miejscem zamieszkania.

De Gaucourta z sześćdziesięciu rycerzami i dwustu szlachcicami  
zwolniono na parol, ponieważ ma zająć się oceną dobytku i okupami.

Zbiórkę ruchomości przeprowadza się o wiele łagodniej, niż zwykle.

Żaden rozsądny człowiek nie zechce zubożyć swojej własności, a Henryk  
za taką uważa całą Normandię. Proklamuje się wzdłuż i wszerz Anglii, że  
kupcy i rzemieślnicy, którzy przyjadą osiedlić się w Harfleur, otrzymają  
na

własność po wsze czasy dom dla siebie i swoich potomków. Wielu

Anglików korzysta z tej oferty. Przy naprawie zrujnowanych

bombardowaniem kamienic zatrudnia się murarzy, cieśli i innych

robotników. Z Anglii napływają statki z prowiantem i różnymi towarami.

Hrabia Dorset niebawem zakomunikuje, że Harfleur powraca do  
pokojowego dobrobytu.

Najgorzej się wiedzie starcom i ubogim, których wysłano z miasta z

takim tylko dobytkiem, jaki sami zdołają unieść. A oni właśnie najmniej

przyczynili się do oporu przeciwko najeźdźcy. Tę patetyczną, kulejącą,

plączącą procesję napadają jeszcze francuscy bandyci, pozbawiając ich  
skąpego dobytku, a nawet obdzierając z odzieży.

Tymczasem odbywa się uroczysty wjazd króla do Harfleur. W takich

sytuacjach przydają mu się jego aktorskie talenty. Czasem po zwycięstwie

przedstawia siebie jako pokornego sługę bożego, bosy i z głową posypaną  
popiołem; kiedy indziej paraduje w ostentacyjnej pompie jako karząca

ręka boskiej sprawiedliwości. Tym razem Henryk wybrał sobie tę

pierwszą rolę. Rankiem w poniedziałek jedzie ze szczupłą świtą, głównie księży i biskupów ku południowo-zachodniej bramie Harfleur, nad którą już powiewa sztandar ze świętym Jerzym. Zsiada z konia, zdejmuje obuwie i tak idzie do nadwyreżonego bombardowaniem kościoła Św. Marcina. Tam przepędza dwie godziny na modlitwie, dziękując za wiktoryę i prosząc o pomoc Boga, by wysłać dalsze setki do pomnożenia niebiańskich zastępów.

Zwycięstwo nad niezdobytym rzekomo Harfleur, odniesione przez tak szczupłe siły, jakie król Henryk przywiózł do Normandii, było istotnie wielkim triumfem. Henryk przypisał zwycięstwo łaskawemu (dla niego) Stwórcy, nie zapominając wszakże o zasługach swej nielicznej, a zdyscyplinowanej i wiernej armii. Ale to on sam natchnął żołnierzy zapalem, narzucił dyscyplinę. On sam kierował organizacją wyprawy i oblężeniem, on nadzorował administrację, on planował taktykę i skuteczne fortele. Cechuje go talent wielkiego wodza, ale także i wielkie doświadczenie bojowe. Król Henryk dowiódł mistrzostwa w prowadzeniu wojny, a zwłaszcza w oblężeniu, które jest może jedną z najtrudniejszych ze wszystkich ofensywnych operacji. Gdzie, zanim ukończył dwudziesty ósmy rok życia, nauczył się sztuki wojowania? Jak zdobył to mistrzostwo? Skąd ma doświadczenie?

#### *Rozdział IV*

### **SZKOŁA KRÓLA-WOJOWNIKA**

Pod koniec września 1387 roku w komnacie wieży zamku Mon-mouth siedemnastoletnia

hrabina

Mary

Hereford,

pochodząca

z

arystokratycznego anglo-normandzkiego rodu de Bohunów, żona Henryka Bolingbroke, wydała na świat pierworodnego syna. Nawet średniowieczni kronikarze, zawsze w poszukiwaniu nadprzyrodzonych zjawisk, nie zanotowali owego dnia żadnych niezwykłych znaków na niebie ani na ziemi — nie było grzmotów ani błyskawic, nie urodziły się dwugłowe cielęta, nie zdarzyło się zaćmienie słońca ani księżyca, groźne komety nie rozzarzyły nieba o północy. A jednak chłopiec, którym hrabina obdarzyła swego męża, miał zostać jednym z najpopularniejszych w Anglii i najświetniejszych królów-wojowników.

Bolingbroke poślubił Mary, gdy liczyła dziesięć lat. Nie było to więc małżeństwo z miłości. Ale młodociana dziedziczka, której ojciec nie miał męskiego potomstwa, przyniosła w wianie Bolingbroke'owi, podówczas, trzynastoletniemu hrabiemu Derby, połowę olbrzymich dóbr de Bohunów — drugą połowę dostała jej siostra — oraz hrabstwa Hereford, Essex i Northampton.

Zawieranie małżeństw było jednym z głównych sposobów, przy pomocy których średniowieczni magnaci pomnażali swoje włości. Więcej ziemi, to więcej pieniędzy. A więcej pieniędzy, użytych na budowę zamków i opłacanie zbrojnych pocztów,

oznaczało większą potęgę. Nabywano również ziemię za łupy wojenne, często zdobywane w wyprawach. Albo też — dzięki dworskim intrygom. Współczesny Francuz pisał, iż „my na dworze jesteśmy kupcami wysokiej klasy: kupujemy innych ludzi, a czasem, za ich pieniądze sprzedajemy im nasze własne człowieczeństwo.” I jeszcze: ziemię i władzę można było mieć dzięki królewskiej łasce, zyskanej zasługami wojennymi, talentem politycznym lub administracyjnym, zręcznym wyborem właściwego patrona w waśni domowej, albo schlebaniem. Ale to, co król dał, król mógł odebrać — jak się przekonał Bolingbroke.

Dopełniwszy pierwszego obowiązku żony magnata — wzbogacenia — Mary de Bohun od pierwszej chwili, gdy jej małżeństwo mogło być skonsumowane, wywiązywała się w pełni z drugiego obowiązku: dostarczenia mężowi dziedziców fortuny i nazwiska. Bolingbroke, o duszy awanturniczej i przedsiębiorczej, odwiedzał żonę dość rzadko, ale z pożądanymi rezultatami: czterech synów i dwie córki przyszły na świat, zanim w dwudziestym piątym roku życia Mary de Bohun zmarła w kolejnym połogu.

Z przyjściem na świat Henryka Monmoutha wiąże się tylko jedno trochę nadzwyczajne wydarzenie, a mianowicie goniec, który wiozł wiadomość ojcu, spadł z konia i zabił się. Bolingbroke był podówczas przy wojsku Ryszarda II, przygotowując się do odparcia grożącej inwazji francuskiej. Ale Francuzom, jak tylekroć później, w ostatniej chwili zabrakło ducha. Projektowaną inwazję odwołano, a Bolingbroke pojechał do Monmouth, by unieść w ramionach swego dziedzica i przepędzić parę

tygodni z młodocianą żoną, grając z nią w szachy i zapładniając na nowo.

Młody Henryk Monmouth, straciwszy matkę w siódmym roku życia, wychowywał się wśród mężczyzn. Gdy tylko chłopiec mógł jeździć konno, Bolingbroke zabierał go ze sobą w objazdy swoich daleko rozrzuconych zamków i dóbr. Takie odwiedziny przypominały dzierżawcom i dworzanom — od których wierności w znacznej mierze zawisły znaczenie i wpływy ich pana — jak potężnym i wspaniałym jest ich feudalny władca. Chłopiec podróżował wraz z licznym orszakiem żołnierzy, muzykantów, przygrywających dla rozrywki i służby. Liczbę dworzan powiększała drobniejsza szlachta, garnąca się pod opiekę możnego lorda w podróżach po niebezpiecznych w owych czasach gościńcach. Przodem wysyłano oddział heroldów i zbrojnych jeźdźców, by oczyszczali drogę z ewentualnych zasadzek rozbójników i oznajmiali o nadciąganiu hrabiego. Nie wszystkie zamki Bolingbroke'a — wznoszone niegdyś z myślą o obronie — nadawały się do wygodnego zamieszkania. Na końcu kawalkady jechały więc podwody z żywnością, opałem, statkami domowymi, winem, makatami a nawet meblami, by wyekwipować puste mury.

Wychowywany wśród dorosłych, bez towarzyszy we własnym wieku, młody Henryk rozwija się przedwcześnie. Jadąc konno obok ojca albo z rycerzami, obserwuje uważnie. Nie trzeba szczególnej spostrzegawczości, by przerazić się stanem dróg. Zimą — kałuże i błoto. Jeźdźcy skręcali na pola, nie dbając o szkody czynione w zasiewach, ale podwody czasem

grzęzły tak głęboko, że trzeba je było wyładowywać i puste zostawiać do czasu, aż letnie słońce wysuszy gościniec. Taka kawalkada jak Bolingbroke'a, nie mogła się przeprowiać przez góry: trzeba je było okrążyć. Podobnie przy przeprowie przez rzeki należało szukać brodu. W takich warunkach nie przebywano więcej, jak 30 km dziennie. Na podróż z Londynu do granicy szkockiej przeznaczano czterdzieści dni.

Z wiosek całymi miesiącami nie można było dojechać na targ. Płody rolne gniły w jednej miejscowości, gdy brak ich było o kilka mil dalej. Wiele ważnych miejscowości było w Anglii przez sporą część roku tak niedostępnych dla pojazdów, jakby to były szkockie góry. Przy nadmiernie wysokich kosztach transportu wozami — osiem koni ciągnęło dwutonowy ładunek — przewożono węgiel, ziarno i nawóz na grzbietach wołów. Baronowie i opaci, nominalnie utrzymujący gościniec we właściwym stanie, ściągali wysokie podatki drogowe i rogatkowe, dodatkowo obciążając transport i handel. Kupcom lepiej się opłacało eksportować towary za morze, niż przewozić je z północy na południe Anglii lub odwrotnie.

Stopniowo przebudowywano obronne zamki, gdzie zatrzymywali się Bolingbroke, jego syn i świta, we wspaniałe pałace. Po jednej stronie wewnętrznego dziedzińca, pod osłoną wartowni, mieściły się apartamenty hrabiego; po drugiej — stajnie i kwatery dla skromniejszych członków kawalkady. Ośrodkiem pomieszczeń hrabiowskich będzie wielki hall, z którym łączą się kuchnie i spiżarnie, a naprzeciwko apartamenty prywatne. Wygoda i światło stają się ważniejsze od obronności. Coraz

częściej w hallu i apartamentach pojawiają się kosztowne meble i obrazy.

Młodemu Henrykowi ojciec pozwala przysłuchiwać się, gdy w wielkim hallu starostowie i rządcy składają sprawozdania i rachunki. Kiedy indziej Bolingbroke rozstrzyga waśnie, starając się każdą załagodzić ku zadowoleniu obu stron, ponieważ skłóceni wasale osłabiają jego własną pozycję. W wielkim hallu odbywają się również uczyty. Chłopcu nie przypadają do gustu rozliczne ciężkie i ostro przyprawione potrawy, natomiast bawi się doskonale popisami trubadurów, komediantów i tresowanych niedźwiedzi.

Nie brak chłopcu ruchu na świeżym powietrzu i ćwiczeń rycerskich.

Zaledwie dziesięcioletni Henryk włada już zręcznie mieczem o wadze stosownej do jego wieku. Doskonale pływa i jeździ konno, a później nauczy się jeszcze strzelać z łuku z celnością wyższą od przeciętnej.

Kocha się w polowaniach na jelenia lub dzika. Mawiano podówczas, że do tego sportu chłopiec winien się wzwyczajać od siódmego lub ósmego roku życia. Ludzie pobożni też do tego sportu zachęcali, gdyż odciągał jurną młodzież od gorąckrwistych psot. Wstawszy razem ze świtem na jasnym niebie i śpiewem skowronka, wracali zmęczeni o zmierzchu, by „obmyć stopy i nogi, a niekiedy całe ciało”.

Wszystko to było nieodzowną częścią edukacji chłopca, który sam będzie kiedyś panem wielkich włości. Musi nimi zarządzać sprawnie i mądrze, aby go nie przechytrzone. I musi podejmować szlachetnych gości, zabawiając ich wesołymi ucztami i polowaniem.

Jednakże Bolingbroke, w przeciwieństwie do wielu ówczesnych



magnatów, życzył sobie, by jego syn wyrósł na człowieka

wszechstronnego. Zaangażował guwernerów i zlecił im, aby uczyli swego

pupila nawet wtedy, gdy zaledwie dwunastoletni chłopiec wyruszył na

wojenną kampanię. Pierwszym nauczycielem był stryj chłopca, biskup

Henryk Beaufort, jeden z najświetniejszych umysłów epoki. Tak więc

Henryk nauczył się czytać, pisać i przyswoił sobie bardzo wcześnie

znajomość łaciny i greki.

Historii i geografii uczył się także, dorywczo w podróżach z jednego

zamku do drugiego, rozpytując rycerzy, którzy wyprawiali się za morza z

tym niespokojnym duchem, jego ojcem, hrabią Bolingbroke.

Nikt, kto nie był w kupieckich miastach Italii — opowiadał jeden z

rycerzy — nie może sobie nawet wyobrazić ich bogactw, wspaniałych

budowli, mauzoleów, wznoszonych przez książąt i dożów...

-» A Francja?

— O, i we Francji są także bogate miasta — odrzekł opowiadający —

ale jednak nie takie, jak w Italii. Francuzi ciągle walczą między sobą, a to

przeszkadza rozwojowi...

— A wiesz, chłopcze, że twój rodzony pradziadek, król Edward III,

zgłaszał pretensje do tronu Francji...

— Angielski król Francji zaraz by tam porządek zaprowadził —

zauważył miody Henryk, wywołując uśmiechy na twarzach rycerzy. —

Ale czy król Anglii ma prawo do tronu Francji?

— To bardzo skomplikowane i trudne do wyjaśnienia — mruknął

rycerz. — Niechaj ci wystarczy, że gdyby król Ryszard zechciał się

upomnieć o swoje prawo z bronią w ręku, poszedłbym z nim wojować i to z ochotą. Może Francja nie

dorównuje Italii, ale tam też można łupów pięknych nazbierać i pieniędzy za okupy, a i kobiet nie brak po zwycięskiej bitwie... ale kobiety jeszcze ciebie nie obchodzą.

W tym znaczeniu, jakie miał na myśli rycerz, kobiety nie miały nigdy interesować Henryka.

Do rozmowy wmieszał się benedyktyn, jadący w pobliżu:

— Nie sędzę, aby angielscy królowie chcieli się jeszcze upominać o tron francuski. Król Ryszard podpisał traktat pokojowy z francuskim suwerenem. A taki pobożny młodzik, jak nasz młody Henryk, powinien by raczej swoje myśli skierować ku Ziemi Świętej : Nazaret, gdzie Jezus spędził młodość, Jerozolima, z Drogą Krzyżową i pamiątkami Jego męki...

— A każdego żołnierza zaciekawiają fortyfikacje Jerozolimy — wtrącił pierwszy rycerz — po wielekroć burzone, po wiele-kroć odbudowywane przez Żydów, Rzymian, chrześcijan, Egipcjan i Turków...

— Czemuż to nie urodziłem się w czasach wypraw krzyżowych — westchnął Henryk Monmouth. — Zostałbym krzyżowcem, może bym nawet przewodził...

— Jeszcze pora, by wielki chrześcijański książę to uczynił — powiedział benedyktyn. — Potęga Porty Otomańskiej przysnęła, ale nie jest złamana. Znowu powstanie...

Henryk milczał, ale jego młodzieńczą, romantyczną, przedwcześnie rozwiniętą wyobraźnię zapłodniły idee, które wydadzą owoce. Jego dziad

zgłaszał pretensje do tronu Francji, a wielki książę chrześcijański mógłby poprowadzić nową wyprawę krzyżową...

Gdy miał dziesięć lat, pierworodny syn Bolingbroke'a grał na harfie i cechowało go już umiłowanie muzyki, które miało przetrwać przez całe życie. Księża uczyli chłopca katechizmu, wszczepili mu pobożność.

Benedyktyn, pozostający blisko osoby Henryka w jego młodości, zaświadczał, że chłopiec wcześniej nabrał zwyczaju regularnie spowiadać się, pilnie uczęszczać na nabożeństwa i że zawsze zostawał na mszy aż do końca.

Spoglądając z perspektywy późniejszych epok, edukacja tego, który miał zostać królem Henrykiem V, może się wydawać skąpa.

Jednakże posiadał głębsze wykształcenie od większości potomków ówczesnych szlacheckich rodów.

Jedna forma edukacji miała mu się przydać więcej, niż ktokolwiek mógł na razie przewidzieć. Zainteresowanie, okazywane chłopcu przez

Ryszarda sprawiło, że Henryk przebywał wiele na królewskim dworze. A nie był to dwór, uformowany na dawną modłę angielską, a raczej naśladujący wzory kontynentalne. Wpływ wywarły tutaj kobiety: pierwsza żona Ryszarda, Czeszka i druga, Francuzka. Obie królowe przywiozły ze sobą liczne świty i wprowadzały nowy obyczaj. Rycerz-wojownik, przy pasie i w ostrogach, niezbyt okrzęsany, o słownictwie bogatym w przekleństwa, teraz musiał ustąpić miejsca rycerzowi--dworzaninowi, bardziej ogładzonemu, choć może mniej szczeremu. Rozwijała się kultura, bardziej intelektualne zajęcia wypierały prymitywne. Geoffrey Chaucer,

autor „Opowieści Kanterburyjskich”, był jednym z poetów, którzy deklamowali swe utwory przed królem Ryszardem. Wysoko ceniono rękodzielników-artystów, jak jubilerów, iluminatorów manuskryptów, tkaczy gobelinów, malarzy miniatur. Do głosu doszły kobiety, zachęcając do rozwoju muzyki, tańca, pieśni.

Król, który zrażał do siebie magnatów, zagarniając stopniowo w swe ręce despotyczną władzę, jednocześnie przejawiał coraz większe zamiłowanie do przepychu w strojach, dworskich ceremoniach, wykwintnych ucztach. Z całej Europy sprowadzał nowe przepisy kulinarne, które kazał spisać w jedną księgę: mielony bązant gotowany w greckim winie, z cynamonem, goździkami, imbirem i cukrem; ostrygi w winie; konfitura z morwy w miodzie. Odmienne to były potrawy od głowy dzika i pieczonych ćwierci wołowych, pojawiających się na królewskich ucztach przed panowaniem Ryszarda.

Dworska ogłada, której nabył Henryk Monmouth, przyda mu się, gdy będzie później podejmował w Londynie cesarza Zygmunta i jeszcze później, gdy będzie odgrywał pierwszą rolę w Paryżu i w Troyes. Poznał użytek przepychu, chociaż sam nie będzie przejawiał zamiłowania do splendoru ani uroczystego ceremoniału.

Po wygnaniu z kraju ojca Henryka, Bolingbroke'a, Ryszard obdarzał chłopca jeszcze większym przywiązaniem i wszelkimi faworami. Przy jakiejś okazji, w obecności całego dworu, król wypowiedział zdumiewającą przepowiednię :

— Mawiano niegdyś, dawno temu, że w Anglii narodzi się księżę imieniem Henryk, który dzięki szlachetności charakteru i wspaniałym osiągnięciom ozdobi cały świat promieniami swej chwały. — Król przerwał i wskazując na chłopca, dokończył:

— Wierzę zaiste, że będzie nim ten nasz młody Henryk.

Galerie i korytarze królewskiego pałacu zaszumiały, zaroily się zdumionymi dworzanami:

— Jak to by się mogło zdarzyć?

— Prawda, że król nie ma potomka, ale przecież młody, ma ledwie ponad trzydziestkę. Królewska małżonka (Izabella, księżniczka Francji, poślubiona Ryszardowi w roku 1396, gdy miała zaledwie siedem lat) jest jeszcze dzieckiem, małżeństwo nie mogło być skonsumowane, ale dość czasu, by mu dała następcę tronu. Jakim więc sposobem ten młodzik...?

— W żyłach Henryka płynie krew królewska... to prawnuk królewskiego dziada... jeżeli król umrze bezpotomnie...

— Ależ ten Henryk wcale nie jest w prostej linii następstwa tronu!

Wnuk czwartego syna. A jego ojciec — banita...

Inni wzruszali ramionami:

— Żyjemy w dziwnym kraju. Wszystko może się zdarzyć...

— Dynastie nie trwają wiecznie, nawet w Anglii...

W krótkim czasie po uzurpacji tronu przez Bolingbroke'a, gdy przepowiednia Ryszarda nabrała rumieńców życia i prawdopodobieństwa, młodego Henryka rzucono w wir innego rodzaju edukacji — jako wojownika i wodza. Przeciw nowemu królowi Anglii wybuchł bunt w

Walii.

Pięćdziesięcioletni Owain Glyn Dwr (wymawia się: Dur) był najmocniejszym Walijszym swoim czasem, panem rozległych włości w północnej Walii w hrabstwie Pembroke na krańcu południowo-zachodnim. W Anglii studiował prawo i służył za młodu w wojsku, później w swym zamku Sycherth podejmował licznych przyjaciół. Dwór jego wyróżniał się kulturą i wykwintem. Miał jednak rywala pod względem potęgi i bogactw — lorda Greya of Ruthin, Anglika którego ziemie od północy sąsiadowały z dobrami Glyn Dwra i który był osobistym przyjacielem dawnego Bolingbroke'a, obecnego króla Henryka IV. Dwaj magnaci pokłócili się o jakieś pograniczne ziemie. Angielskie sądy wydały wyrok na korzyść Lorda Greya, ale Glyn Dwr utrzymywał — zapewne nie bez słuszności — że wyrok narzucił sam król. Walijszyk poprowadził więc swoich ludzi na dobra Greya, złupił je i zniszczył, po czym przeszedłszy granicę angielską wkroczył na teren hrabstwa Shropshire, łupiąc i paląc po drodze. Angielscy lordowie zebrali swoje zbrojne poczty i przepędzili go z powrotem za granicę. Wówczas Glyn Dwr wykorzystał tradycyjną nienawiść do Anglików, zawsze tłącą wśród jego rodaków i dał hasło do ogólnego powstania.

Kiedy Glyn Dwr podniósł starożytny sztandar Walii — z czerwonym smokiem — z całego kraju pośpieszyli do niego zbrojni ludzie. Wśród rebeliantów znaleźli się dwaj bracia, rycerze z Anglesey, wyspy w pobliżu północno-zachodnich wybrzeży Walii, o rodowym nazwisku Tudor. Ich krew miała płynąć w żyłach pięciu monarchów Anglii, od Henryka VII do

Elżbiety I. Buntownicy skoncentrowali swoje siły w górskich okolicach, wokół szczytu, zwanego Snowdon i stąd najeżdżali, rabując i paląc ziemie panów angielskich i tych z Walijszyków, którzy nie przyłączyli się do powstania. Król Henryk posłał po swego syna i następcę: — Walia jest twoim księstwem. Pokaż się swym poddanym, przywołaj ich do posłuszeństwa i lojalności. A jeśli będą mieli sztywne karki, musisz je ugiąć.

Chłopiec, podówczas zaledwie trzynastoletni, ucieszył się, ale zarazem był zaskoczony :

— Lordowie i rycerze, którzy oparli się Glynowi Dwrowi... czy zechcą mnie...?

— Z początku będziesz tylko nominalnie wodzem. Syn hrabiego

Northumberland, Henryk Percy, przezwiskiem Hotspur, którego znasz jako doświadczonego żołnierza, będzie twoim opiekunem i rzeczywistym wodzem. Jak prędko potrafisz narzucić swoją własną wolę, będzie zależało wyłącznie od twego postępowania. Słuchaj, co ci będą doradzać, ale w towarzystwie lordów i rycerzy pamiętaj, żeś jest księciem. Postępuj tak, by każdy o tym pamiętał.

Jakby ktoś rzucił owieczkę w dżunglę i kazał jej oswoić jej mieszkańców. Ale król postanowił, że jego pierworodny syn wcześniej musi się nauczyć walczyć o swoje dziedzictwo i dowieść, co jest wart. A Henryk Monmouth nie był owieczką.

Glyn. Dwr zwrócił się do Irlandczyków, Szkotów, a nawet Francuzów, zawsze gotowych przyczyniać kłopotów odwiecznemu wrogowi. Obiecali

przysłać wojsko na pomoc powstańcom.

Walijski wódz, jak i inni magnaci, wciągnięci przez niego nadziejami na rozszerzenie swoich włości kosztem angielskiej szlachty, był przede wszystkim oportunistą. I nie pierwszym tego rodzaju. Rodziło się w Walii wielu ambitnych ludzi, dążących do bogactw i władzy. Niektórzy walczyli między sobą. Niektórzy układali się z Anglikami, zadowalał ich stan feudalnego wasalstwa i — jak Glyn Dwr za młodu — z Anglii czerpali wykształcenie i wiedzę. Ale skromniejsi stronnicy Głyna Dwra rzeczywiście odnosili się z niechęcią do Anglików. Nie dlatego, iżby im bardzo zależało na autonomicznym rządzie walijskim. Ich kraj składał się przeważnie z małych, rozproszonych osiedli, rządzących się własnymi prawami, ale złączonych wspólnotą języka, tradycji i kultury.

Zamieszkujący je ludzie chcieli mówić tym językiem, zachowywać dawne zwyczaje, rozwijać kulturę bez interwencji ze strony angielskich urzędników, sędziów i żołnierzy, usiłujących im narzucić obcy obyczaj i obcy język. Walijszczyk woleli swój plemienny styl życia od feudalnego i gotowi byli o niego walczyć.

W uporządkowanym sprawiedliwym świecie pozostawiono by ich praktykowaniu tego, co woleli. Gdyby nic innego, jak tylko ich własny plemienny sposób życia wchodził w grę, może nawet królowie Anglii daliby im spokój. Ale tu zaważyły jeszcze inne czynniki. Rzymianie, najeżdżający wyspę jeszcze przed erą chrześcijańską, pierwsi zrozumieli, że Walia była kluczem obronności Anglii. W Walii stanęły garnizonami



rzymskie legiony. Normandzki najezdźca, Wilhelm I, pojął tę samą prawdę w XI wieku i posłał swych awanturnicznych rycerzy, by podbili plemiona walijskie, co tylko w części zostało osiągnięte.

W Walii mogli lądować wrogowie Anglii z kontynentu. Co więcej, królowie angielscy zasiadali na tronie niezbyt pewnie, a Walia każdej chwili mogła stać się bazą dla wojennych operacji rywali do korony.

Nigdy król Anglii nie mógł spać spokojnie, dopóki w Walii wrogi wódz zyskiwał na sile. Plemiona walijskie padły ofiarą położenia geograficznego.

Młody książę Walii jeszcze się nad tym nie zastanawiał. Jego królewski ojciec wydał rozkaz — wykona go, jak najlepiej potrafi. A potrafił coraz lepiej.

Główną kwaterę założył w Chester, koło granicy walijskiej. Wszystkim powstańcom, którzy by tam się zgłosili i złożyli mu należny hołd do dnia 30. listopada roku 1400, przyrzeczono darowanie winy i kary. Mało kto skorzystał z tej oferty. Wędrowni pieśniarze chodzili teraz od wsi do wsi, zachęcając do walki starymi legendami i balladami o dawnych bohaterach Walii. W Oksfordzie walijska młodzież porzucała studia, rzemieślnicy opuszczali dobrze płatne zajęcia w Anglii, wszyscy śpieszyli do kraju, by przyłączyć się do Glyna Dwra, który ogłosił, że jest prawowitym władcą Walii. Ale Walia była krajem małym i ubogim, do wojny nie przysposobionym, a Anglia stosunkowo dużym i zamożnym. Anglicy mieli skąd czerpać posiłki, w ich rękę były też liczne zamki na pograniczu walijskim,

skąd można było czynić wypady i wycofywać się w razie niepowodzenia.

Hotspur, sławny i doświadczony wojownik, blisko czterdziestoletni, opiekun księcia Walii i stojący na czele jego rady w Chester, zdobył swoje przezwisko z racji junackiej odwagi, z którą ponoć łączył wysokie poczucie rycerskości. Spotkał się z Glynem Dwrem w nadziei przywołania go na powrót do obowiązków lojalnego wasala. Walijski wódz zażądał obietnicy przebaczenia, a w dowód królewskiej dobrej woli — przyznania częściowej przynajmniej autonomii Walii. Rada uznała, że nie przystoi majestatowi wybaczyć tak wielkie zbrodnie takiego złoczyńcy. Hotspur musiał się zgodzić, ale gdy ktoś nikczemnie podszeptał, że Glyn Dwr mógłby przypadkiem zginąć podczas pertraktacji, odpowiedział gniewnie: — Poręczyłem własnym rycerskim słowem za jego bezpieczeństwo !

Chociaż honoru rycerza nie ceniono już tak wysoko, jak za czasów legendarnego króla Artura, jednakże złamanie danego słowa uważane było powszechnie za największą zbrodnię — większą nawet od złamania wierności wobec króla lub Kościoła.

Pierwsze doświadczenia' księcia Henryka w wojnie pogranicznej mogły istotnie wyćwiczyć pojętnego ucznia w odnoszeniu niełatwych zwycięstw.

Hotspur wprowadził do Walii znaczną armię. Ale zwykłą taktyką niewiele można było wskórać przeciw zręcznemu'wrogowi, działającemu na własnym terenie, gdzie znał każdy zakątek, każde stosowne do zasadzki miejsce. Glyn Dwr wycofał się do górskiej twierdzy i stamtąd wysyłał niewielkie, szybkie oddziały, które napadały angielskie tabory i zabijały maruderów.

Hotspur był wojownikiem, doświadczonym w klasycznej wojnie.

Rozkoszował się zadawaniem ciosów swym dwuręcznym mieczem w gęstwie walnej bitwy. Ten rodzaj polowania na lisy, do którego zmuszali go Walijszczy, nie odpowiadał ani jego talentom, ani zwyczajom. W roku 1403 zrzekł się dowódz-

twa. Na księcia Henryka, którego Hotspur gorąco wychwalał w raportach do króla, spadło główne dowództwo w tej wojnie, wraz z władzą, upoważniającą do karania rebeliantów, a wybaczenia tym, którzy podporządkują się autorytetowi.

Szesnastolatkowi mogło się łatwo przewrócić w głowie. Ale księżę przyjął spokojnie swe obowiązki i zabrał się do ich wypełniania z energią i pomysłowością. Dowiedziawszy się, że Glyn Dwyr zgromadził większość swoich popleczników do walnej wyprawy przeciw angielskim twierdzom, Henryk postanowił uprzedzić ten atak. Wkrótce pisał do królewskiej rady koronnej :

„ .... z naszymi ludźmi pomaszerowaliśmy do umocnionych kwater rzezonego Owaina Glyna Dwra, do niedawna jego głównej kwatery, gdzie sądziliśmy, iż , go znajdziemy, jeżeli by chciał walczyć, jako rzekł. Nie znaleźliśmy wszelako ani żywego ducha, więc spaliliśmy budowlę, a także domy jego dzierżawców w całej okolicy. A następnie pomaszerowaliśmy do jego drugiego schronienia w Północnej Walii, by go odnaleźć; i tam spaliliśmy obronną budowlę w parku i całą okolicę... Ludzie nasi wyprawili się stamtąd i porwali do niewoli znacznego wielmożę, jednego z kapitanów Owaina. Ten wielmoża ofiarował sumę

pięciuset funtów tytułem okupu i zobowiązał się spłacić ją w ciągu dwóch tygodni. Ale nie przyjęliśmy od niego żadnego okupu i poniósł śmierć wraz z innymi kompanami, których wzięto tego samego dnia. A następnie pomaszerowaliśmy do doliny Edeyrnion i tam w perz obróciliśmy dobrze zasiedloną okolicę..."

List zdradza bezwzględność, która chyba nie była obliczona na ułagodzenie walijskiej wrogości wobec Anglików. Tej lekcji ksiązę nie zmarnował. Gdy sam został królem i wojował we Francji, początkowo nie pozwalał na tak surowe okrucieństwo.

Palenie osad i zrównywanie z ziemią kwitnącej krainy mogło być uważane za pewnego rodzaju sukces, ale wcale nie przyspieszało końca rebelii. Ksiązę wciąż wyprawiał się w tę lub inną okolicę z całym dość licznym wojskiem, obciążonym tabo-

rami. Glyn Dwr bez trudu wymykał się powolnie idącym oddziałom, nieprzywykłym do prowadzenia wojny w górskich terenach, wreszcie pomaszerował na południe, gdzie zdobył kilka angielskich zamków, odizolowanych na nieprzyjacielskim terytorium. Młody Henryk nie mógł za nim pociągnąć, bo tymczasem jego wojsko zaczęło mu się buntować.

Król i rada koronna od początku rebelii opóźniali się z wysyłaniem księciu pieniędzy na żołd i utrzymanie jego armii. W dwa tygodnie po poprzednim liście Henryk, wycofawszy się chwilowo do Shrewsbury — nadal blisko granicy, ale dalej na południe niż Chester — pisał znowu do rady koronnej w Londynie:

„Żołnierze nasi życzą sobie wiedzieć, czy otrzymają żołd za trzeci

miesiące bieżącego kwartału i powiadają nam, że nie będą czekać tutaj bez należnej im według kontraktu werbunkowego zapłaty, zaczęli należeć natychmiast zarządzić polecenie wysłania pieniędzy... albowiem rebelianci codziennie słyszą wątpliwości, czy żołd będzie zapłacony czy nie, a dobrze wiedzą, że bez zapłaty nie możemy tu zostawać.... Gdy nasi żołnierze się wycofają, musimy i my się wycofać w głąb Anglii... A jako, że teraz przedstawiłem dokładnie nasze położenie w tych stronach, wydajcie zarządzenia w sposób, który będzie się wydawał najskuteczniejszy dla zachowania przy nas tych ziem... Winnicie teraz zrozumieć w pełni niebezpieczeństwo, które tu może grozić, więc radzę szybko zastosować środki zaradcze, inaczej źle będzie..."

Energiczne słowa ze strony szesnastolatka do ludzi, którzy pod egidą króla rządzą Anglią. W ciągu całego swego życia Henryk będzie zawsze mówił prosto i bez ogródek.

Zanim rada miała czas, by „odwrócić niebezpieczeństwo w tych stronach”, inne, jeszcze większe niebezpieczeństwo zagrozi tronowi Henryka IV, a młodociany książę odegra główną rolę w jego odwróceniu. „Rycerski” Hotspur ujawnił prawdziwy powód, dla którego porzucił dowództwo wojsk w Walii. Ród Percych, dopomógł-szy Henrykowi IV do zdobycia tronu, teraz doszedł do przekonania, że nie dość otrzymał nagród za te usługi, a także, że pupil okazał się mniej uległy, niż oczekiwali i wcale nie poddaje się ich wpływowi. Głowa rodu, stary hrabia Northumberland, postanowił więc przeprowadzić jeszcze jedną zmianę na tronie. Percy'owie zaczęli rozpowszechniać pogłoskę, że Ryszard II nadal

żyje, i że oni zamierzają przywrócić mu koronę. W rzeczywistości chcieli osadzić na tronie Hotspura. Uzurpacja pozbawiła koronę świętości: teraz każdy ufny w swoje siły mógł pretendować do niej. A w owych czasach lojalność wobec własnego rodu i przyjaciół, a nawet gościa, spoczywającego przez jedną noc pod dachem domu, brała pierwszeństwo przed lojalnością nawet w stosunku do dziedzicznego suwerena, a cóż dopiero w stosunku do uzurpatora.

Dla większej chwały rodu Percych, Hotspur gotów był zwrócić się przeciw człowiekowi, któremu dopomógł do zdobycia korony. Trzymał u siebie dla okupu kilku wybitnych jeńców szkockich, wziętych do niewoli w najazdach na północną granicę, włącznie z hrabią Douglasem, wodzem klanu tradycyjnych rodowych nieprzyjaciół. Tych namówił, by się do niego przyłączyli w zamian za obietnicę wolności i nagród, gdyby rewolta się udała. Hotspur i jego stronnicy, zbierając jeszcze po drodze różne niespokojne duchy, wyprawili się do Shrewsbury, gdzie jego stryj, Thomas Percy hrabia Worcester, miał go spotkać z silną armią. Razem zamierzali porwać księcia Walii. Trzymając w niewoli takiego zakładnika i grożąc jego śmiercią, gdyby król ich zaatakował, mogli spokojnie siedzieć za ufortyfikowanymi murami Shrewsbury, dopóki stary hrabia Northumberland nie nadszedłby od północy, a Glyn Dwr, którego również wciągnięto do spisku, od strony Walii. Ich połączone siły wystarczyłyby do pokonania każdej armii, którą uzurpator mógłby wystawić. Taki był plan. Ale nie doceniono energii i szybkości działania króla Henryka. Skoro tylko zorientował się w powadze zagrożenia, król rozkazał

księciu czekać w Shrewsbury, nie wydając bitwy, nawet gdyby Hotspur już się zbliżał do twierdzy. A jednocześnie ponaglał swoje wojsko do największego pośpiechu w marszu z Londynu przez środkową Anglię. Po drodze rósł w siły, ściągając zewsząd dodatkowe oddziały. Trudny to był wyścig. Hotspur i Worcester z czternastoma, tysiącami żołnierzy dotarli do Shrewsbury zaledwie w parę godzin po nadejściu króla, dnia 20. lipca. Buntownicy wycofali się wówczas na mądrze wybraną pozycję — na północ od miasta, koło wsi zwanej Berwick. Ich prawe skrzydło osłaniała szeroka rzeka Severn, na tyłach wznosiły się wzgórza, a od czoła szereg stawów utrudniało atak. Tam zamierzali oczekiwać nadejścia

Northumberlanda i Glyn Dwra. Ale tymczasem, by skrócić nudne dni czekania, Hotspur i Worcester wysyłają do króla heroldów z wyzwaniem:

— Zamierzamy osobiście stanąć przeciwko tobie, Henryko wi diukowi Lancaster, niesłusznie uzurpującemu tytuł króla Anglii, bez żadnego prawa, a tylko z chytrności.

Swoją drogą, była to bezczelność ze strony ludzi, którzy sami opuścili Ryszarda i dopomogli Bolingbroke'owi do wstąpienia na tron.

— Nie traćmy czasu, panie mój i ojczyzna — nalegał książę Walii.

— Wydać bitwę i pokonać ich, zanim nadciągną posiłki !

Magnaci i rycerze poparli chłopca. Królewskie wojska zajęły pozycję do bitwy naprzeciwko Hotspura. Książę dowodził lewym skrzydłem Anglików, hrabia Stafford prawym, a król osobiście stanął na czele

głównych sił środka. Wysłano Thomasa Westbury, opata Shrewsbury, by zaofiarował buntownikom przebaczenie i rozważenie ich żądań, o ile rozejdą się w pokoju. Około trzech godzin zmarnowano na pertraktacje. Książę się niecierpliwił, pojechał do ojca, by nalegać na przyspieszenie bitwy.

— Oni chcą tylko zyskać na czasie — mówił. — Każdej chwili może nadciągnąć stary hrabia albo Walińczycy z siłami, które podwoją liczbę żołnierzy Hotspura.

Rzeczywiście, pertraktacje do niczego nie doprowadziły. Hot-spur i Worcester twierdzili, że nie ufają obietnicom króla. A w każdym razie król nie obiecywał im tego, co było ich celem — korony.

— Jesteśmy gotowi rozstrzygnąć nasz spór z bronią w ręku w walnej bitwie — rzekł Hotspur. — I dzisiejszego dnia Percy zerwie koronę z głowy uzurpatora, który Percymi wzgardził.

Tak więc w szesnastym roku życia książę Henryk sprawował ważne dowództwo w pierwszej z dwóch wielkich bitew, jakie miały się zdarzyć w ciągu jego wojennej kariery.

Nietrudno było przewidzieć, że Hotspur i Worcester, obaj nieulękli i straszni w ręcznym boju rycerze, będą próbować osobiście zetrzeć się z człowiekiem, o którego tron im chodziło. Król Henryk wezwał więc ochotników, którzy przywdziali opończę podobną do jego własnej — czerwoną, haftowaną w złote lwy, z błękitnymi polami haftowanymi w lilie — a innych, by nieśli fałszywy sztandar królewski.

— Czy honor rycerski zezwala na to? — odważył się zapro



testować księżę Walii. — Król Artur, jak sądzę, nie chwyciłby się takiego fortelu.

Ale z uzurpacją wiąże się raczej realizm, niż romantyczna rycerskość, toteż ojciec mu odpowiedział:

— Gdybym padł w zwyczajnej wojnie, ty, mój syn i następcą, objąłbyś od razu tron po mnie. Ale gdyby tu mnie zabito, to wątpię, czy ty byś długo mnie przeżył. A jeśli obaj przeżyjemy i zwyciężymy, utrwalimy naszą dynastię.

Przeciw armii, dowodzonej przez swego do niedawna obdarzanego respektem i przywiązaniem opiekuna, księżę poprowadził lewe skrzydło wojsk królewskich. Szli nieco pod górę, zasypywani strzałami przez najlepszych na świecie łuczników, z których wielu nosiło na piersi godło zmarłego Ryszarda II — białego jelenia.

Od południa do zmierzchu toczyła się zażarta bitwa. Hotspur z garścią rycerzy kilkakroć przedarł się do królewskiego sztandaru i królewskich szat. Nigdy nie dotarł do króla, dobrze strzeżonego.

Strzała zraniła księcia Henryka w policzek. Krwawił obficie.

— Chodź, niech cię opatrzę! Zejdź z pola! — nalegał jeden ze starszych towarzyszy księcia.

Henryk odparł gniewnie:

— Wolę zginąć niż splamić mój żołnierski honor ucieczką z pola walki!

Na razie zyskał na reputacji. Potrafił natchnąć swoich żołnierzy takim zapałem do walki, że wbrew śmiertelnie ostrzaskanym strzałom wdarli się na

wzgórze i wraz z rannym księciem na czele odrzucili prawe skrzydło buntowników, spychając ich na oddziały królewskie. Trup padał gęsto, wrzawa bitewna ogłuszała; trzask mieczy i toporów o tarcze i zbroje, krzyki rannych, jęki umierających. Nagle późnym popołudniem buntownicy wznieśli żalospny okrzyk, dosłyszalny ponad hałasem bitwy: — Hotspur zabity!

Tego ranka, przed bitwą, Hotspur zażądał, by mu podano jego ulubiony miecz. Powiedziano mu, że miecz został w Berwick, wsi, gdzie spędził poprzednią noc.

— Jeśli tak, to źle z nami — rzekł — gdyż pewien czarownik ostrzegł mnie, iż umrę w Berwick.

Zabito go w chwili, gdy przerwał na moment walkę, by otrzeć twarz zalaną potem. Uniósł przyłbicę, a wtedy nieznana ręka wbiła mu koniec miecza w oko.

Śmierć słynnego z odwagi i dzielności głównego wodza odebrała jego stronnikom chęć do dalszej walki. Zachwiali się. Księżę Walii na lewym skrzydle, a na prawym Stafford — który niebawem miał odnieść śmiertelną ranę — jęli zachęcać rojalistów do ostatecznego wysiłku.

Zamknęli przeciwnika jakby w kleszcze, a w samym środku główne siły królewskie zbierały straszliwe żniwo mieczem, toporem i dzidą.

Zapadający zmierzch okrył ciemnością oba wojska, do cna wycieńczone bitwą, którą współczesny kronikarz nazwał :

„... jedną z najkrwawszych, jakie się toczyły na angielskich ziemiach, i najokrutniejszą. A tak było pole zasłane trupami, że gdy dwie armie się

rozdzieliły, żadna nie wiedziała, przy kim jest zwycięstwo; a trupy leży stosami, a żywi leżeli między zabitymi, znużeni i skrwawieni".

Rankiem buntownicy złożyli broń, zgłosivszy się do najbliższych oddziałów królewskich. Ponieśli zupełną klęskę. Głowę Hotspura zatknięto na bramie miasta York, we własnych ziemiach rodu Percych, a głowę wziętego do niewoli hrabiego Worceстера, ściętą przez kata, wystawiono na pokaz przy Moście Londyńskim. Glyn Dwr, jeszcze w Walii, posłyszawszy o klęsce, wstrzymał pochód. Stary hrabia Northumberland, który też śpieszył na odsiecz synowi, zawrócił do York i tam uzyskał przebaczenie od króla Henryka, wbrew przezornym radom królewskich dygnitarzy. W pozornej zgodzie „diuk Lancaster, niesłusznie zwący się królem Anglii" oraz zdradziecki hrabia wyjechali strzemię przy strzemienu z miasta York pod gnijącą głową Hotspura, syna i następcy rodu Percych. Stary hrabia ocalił tym razem swoją własną głowę, ale nie na długo: miał wkrótce zginąć w ponownie wznieconej rebelii przeciw królowi, który mu raz przebaczył.

Król znał już dobrze przymioty charakteru księcia Walii.

— Szczęśliwy człowiek, z gminu, szlachty, czy też suveren —

powiedział — który ma takiego syna. Nie pod Shrewsbury zdobyłeś rycerskie ostrogi, boś je zdobył już po wielokroć w Walii. Walczyłeś odważnie i dzielnie prowadziłeś żołnierzy. Uczyniłeś więcej od niejednego, by się przyczynić do wiktorii. Wiesz, jaka jest nagroda za taką wierność?

— Taka, jaką podyktuje wielkoduszność mego miłościwego pana —

odparł księżę. — Mnie dość, że jestem synem mego ojca.

Wbrew skromnym słowom, spodziewał się po wielkodusz-

ności swego ojca innej nagrody od tej, jaką otrzymał. Bo król rozkazał :

— .Wracasz do Walii. Dokończ dzieła, któreś dobrze zaczął. Daję ci nieograniczone pełnomocnictwo. Dowiedź, żeś tego wart.

Istotnie, młody księżę dowiódł swej wartości. Wieści o zwycięstwie

pod Shrewsbury, do którego się walnie przyczynił, poprzedziły go w

Walii, napełniając tamtejszych rebeliantów respektem, jeśli nie strachem.

Prócz tego, księżę skorzystał wiele ze swych poprzednich doświadczeń w

wojnie podjazdowej. Nie próbował już wraz z całym wojskiem ścigać

przeciwnika, nie grzął z taborami po bagnistych drogach, nie wystawiał

swoich oddziałów na zasadzki walijskich górali, nocami wynurzających

się z ukrycia, by napadać na obóz wojsk królewskich, podcinać gardła

śpiących, okradać namioty i wozy. Anglicy, podzieleni na małe, zwrotne i

szybkie oddziały, nauczyli się zasad wojny podjazdowej i odpowiadali

wet za wet. Księżę znowu zaproponował wielkoduszne warunki

wszystkim, którzy by złożyli broń.

Ale i przy nowej taktyce pieniądze były po staremu potrzebne. Król i

rada znowu zwlekali z ich przysłaniem. Do ojca księżę pisał w czerwcu

1404 roku z należną rewerencją:

„Mój wielce miłościwy ojcze i panie, polecam się unieźlenie i posłuszenie

łasce Waszej wysokości, ze stałym i niezmiennym pragnieniem zasłużenia

sobie na błogosławieństwo... Uczynię wszystko, co w mojej skromnej

mocy, by zachować ziemie angielskie... Ale jako, że nie mogę

kontynuować wojny tutaj bez wypłaty żołdu, i ponieważ nie poradzę obciążeniom spoczywającym na mnie, błagam, byś zechciał, najmiłościwszy panie i ojczyźnie, wydać rozkaz, aby bez odwlekania przesłano mi to, co najkonieczniej potrzebne, bym mógł wywiązywać się ze służby mojej tutaj zaszczytnie dla honoru króla i kraju..."

Natomiast do rady koronnej pisał w ostrzejszym tonie:

„...winniście wiedzieć, że nie zdołalibyśmy utrzymać się tutaj w ogóle, gdybyśmy nie zastawili naszych ubogich sreber i klejnotów, aby uzyskać gotówkę. A to nam pozwoli prowadzić walkę tylko przez krótki przeciąg czasu i jeżeli później nie zaopatrzą nas, będziemy musieli odejść stąd we wstydzie i pohańbieniu, a kraj będzie zgubiony, od czego niechaj Bóg uchowa... Modlimy się do Boga, abyście zaopatrzenie dosłali na czas dla uratowania króla i całego królestwa. Oby nasz Pan na niebiesiech — tu książę pozwala sobie na pewien sarkazm kosztem dygnitarzy — dał wam łaskę sprawienia się dobrze”.

Może się zzymano na sarkazm, ale poskutkował. Bo po tych dwóch epistołach książę dostał tysiąc funtów —• wielka suma w owych czasach — i oficjalne podziękowanie rady koronnej „jako że się dobrze zasłużył ojczyźnie”.

Z początkiem roku 1405 młody wódz zadał jeden po drugim kilka ciosów tak dotkliwych, że powstanie Glyna Dwra nigdy się już po nich nie pozbierało. W marcu z niewielkimi siłami książę osobiście poprowadził atak na ośmiotysięczne wojsko Walińczyków, z których tysiąc padło na polu bitwy. Lord Talbot, któremu książę powierzył dowództwo nad

drugim oddziałem angielskim dalej na północy, również rozbił siły przeciwnika. W tym czasie wylądowała w Walii ekspedycja francuska z posiłkami dla Glyn Dwra; ale już było za późno. Wielu powstańców zdecydowało się teraz skorzystać z amnestii raczej, aniżeli kontynuować wyczerpującą wojnę, której w obliczu tak energicznego i mądrego przeciwnika, nie mieli nadziei wygrać.

Wojując bez przestanku, książę Henryk znajdował przecież, czas, by zatroszczyć się o sprawy ludzi ze swego otoczenia. W listach do ojca prosi o pas rycerski dla tego lub innego ze swoich podkomendnych, w nagrodę za odwagę i „wojenne fortele”, w listach do biskupów życzy sobie nadania beneficjów kapelanom za pilne sekretarzowanie, pisze do pewnego opata, by zechciał przyjąć niejakiego Williama de Ferraby w charakterze gościa w opactwie znanym ze sposobów leczenia reumatyzmu — dolegliwości rozpowszechnionej wśród żołnierzy, którzy brali udział w kampanii walijskiej, wśród bagnistych dolin i spowitych w mgły gór tej krainy.

Francuzi, nieprzywykli do warunków partyzantki w prymitywnym kraju o surowym klimacie, a przekonawszy się, że łupów ani krzty się nie znajdzie w okolicach, które zniszczyła wojna domowa trwająca od pięciu lat — bardzo prędko wrócili do siebie. Wówczas książę uderzył znowu — celnie i skutecznie.

Dnia 5 maja rozbił silny oddział powstańców pod Usk, o jakieś 30 km na południowy zachód od Monmouth, zabijając półtora tysiąca, i biorąc do niewoli między innymi syna Owaina Glyn Dwra. W dwa tygodnie później kolejne zwycięstwo, a wśród jeńców — kanclerz rebelianckiego

dworu. O tej wiktorii i innych pisał do ojca w stylu, który później stał się jego przyzwyczajeniem :

„Wiadomo, że wiktorii nie odnosi się przeważającymi siłami, lecz mocą Pana Zastępów; a tego dowiodły ostatnie nasze sukcesy”.

Powstańcy,' nie zgadzając się z tezą, że Bóg ich opuścił, inaczej tłumaczyli swoje klęski:

„Książę wywachuje nasze kryjówki jak fretka: sam diabeł musi mu chyba pomagać!”

Glyna Dwra okrążono teraz w środkowej i zachodniej części Walii.

Pomału przypierano go do morza. Ale uparty był z niego człowiek. Miał jeszcze w rękach silne twierdze. Zebrał pewnych, wybranych żołnierzy i obsadził najsilniejszą z nich w nadziei, że w końcu znuży nieprzyjaciela.

Książę Henryk zabrał się więc do nauki sztuki oblegania fortec. Uczył się w najtrudniejszy sposób: popełniając błędy i ponosząc ich skutki.

Rozpoczął oblężenie nadbrzeżnej fortecy Aberystwyth, sprowadził morzem działa. Ale potężne mury oparły się najcięższym nawet pociskom artyleryjskim. Rycerze ze świty książęcej nalegali na szturm.

•— Wyłomu nie możemy uczynić, jak się zdaje — odparł Henryk, —

A bez wyłomu szturm, nawet jeśli zwycięski, co wątpliwe, kosztowałby nas zbyt wiele ofiar w ludziach. Nie, przyjaciele, jeden jest tylko sposób: wziąć ich głodem.

Unikanie lekkomyślnego narażania życia żołnierzy — to motyw, który później powtarza się często w kampaniach Henryka.

Glyn Dwr, który sam nie był w fortecy, przysłał garnizonowi rozkaz,

aby się poddał. Ustalono zwykle warunki: o ile do określonej daty nie nadejdzie odsiecz, załoga podda fortecę. Podstęp — a książę Hneryk dał się nabrać. Nie upomniał się o zakładników i sam ze znaczną częścią swego wojska oddalił się nieco na wschód, do wygodniejszych kwater i bliżej baz z zaopatrzeniem.

— Żadna odsiecz nie może nadejść — rzekł. — Wrócimy tu, by otrzymać klucze od bram.

Dokładnie tak, jak Glyn Dwr przewidział. Przemycił do zamku posiłki, żołnierzy i prowiant. Załoga z nowym zapalem przystąpiła do dalszej obrony. Książę musiał zaczynać oblężenie od nowa i minęło jeszcze parę miesięcy, zanim w końcu zdobył Aberystwyth.

Jednakże ostateczny upadek tej twierdzy oraz innych fortec rebeliantów — między innymi zamku Harlech, gdzie przebywała żona Owaina Glyn Dwra z córkami i wnukami — przypieczętował ostatecznie los powstania.

Był to ostatni poważniejszy zryw zbrojny plemion walijskich przeciw Anglikom. Upadek tego powstania pozostawił społeczność walijską w ruinie i chaosie, z których dźwigała się bardzo powoli. Ale w roku 1485 Henryk Tudor, urodzony Walijszyk, pretendujący do tronu, ponieważ jego matka, Małgorzata Beaufort wywodziła się od Jana z Gandawy — został królem Anglii. Od początków XVI wieku Walijszczyki wysyłali już swoich przedstawicieli do parlamentu angielskiego, a w sto lat później brali udział w angielskiej wojnie domowej po stronie króla Karola. Wprawdzie ich plemienny styl życia nie ostatecznie się pod naporem rewolucji przemysłowej, ale język i kultura, zazdrośnie strzeżone, przetrwają, i wyłonią narodową



odrębność, domagającą się autonomii.

Samego Owaina Glyn Dwra Anglicy nigdy nie dostali w swe ręce. Z garstką lojalnych stronników ukrywał się jeszcze przez wiele miesięcy w niedostępnych górach walijskich, aż wreszcie zmarł z wyczerpania i głodu. Późniejsze pokolenia zasłużenie czciły jako bohatera narodowego tego wodza, który przez siedem lat opierał się wszelkim siłom, jakie Henryk IV mógł przeciw niemu wysłać i doprowadził Walię bliżej niepodległości, niż jakikolwiek inny zryw w ciągu trzech wieków periodycznie wznawianej walki o samodzielność narodową. Owain Glyn Dwr był bez wątpienia doskonałym wodzem, zwłaszcza w wojnie podjazdowej toczonej we własnym, dobrze znanym kraju. Sławie jego wcale też nie zaszkodził — raczej przeciwnie — fakt, że oprócz rodziny, złożonej z kilkorga dzieci i wnuków, pozostawił rozproszonych po całym kraju niepoliczonych bastardów.

Walijski wódz dobrze się przysłużył księciu Henrykowi, sam o tym nie wiedząc. W walkach z Glynem Dwrem hartowała się stal jego miecza, który miał go uczynić największym wojownikiem i wodzem tej epoki. Nauczył się, jak obsadzać, zaopatrywać w prowiant i utrzymywać załogi twierdz na nieprzyjacielskim terytorium, zrozumiał, jak trudno jest zachować ducha bojowego żołnierzy w ciągu długiej, zmudnej kampanii; pojął konieczność punktualnego wypłacania żołdu, by zapobiec dezercjom; docenił znaczenie szybkości w przemieszczaniu oddziałów, eliminowania wszystkiego, co opóźniało pochód, zapewniania dostaw i zabezpieczania łączności. I chociaż miał zaledwie dwadzieścia jeden lat,

Henryk zdołał pozyskać zaufanie, a nawet podziw wielu spośród najwybitniejszych wojowników swoich czasów.

Może najużyteczniejsze w jego późniejszych kampaniach we Francji okazało się doświadczenie, jakie zyskał w obleganiu i zdobywaniu fortec. Wiedzę, spryt, taktykę, jakich się nauczył pod Hariech, Aberystwyth i innymi obleganymi twierdzami wykorzystał, zdobywając miasta francuskie. A pierwszym z nich — Harfleur.

## *Rozdział V*

### **„ZWALCIE JE NA KRÓLA”**

„Henryk z łaski Boga król Anglii i Francji, suweren Irlandii, do księcia możnego i potężnego, Delfina z Vienne, naszego Kuzyna, a najstarszego Syna możnego i potężnego księcia, naszego Kuzyna i adwersarza francuskiego. Korząc się przed Bogiem i krwi rozlania chcąc -uniknąć, po wielokroć i wieloma sposobami szukaliśmy pokoju, a chociaż osiągnąć go nie mogliśmy, wszelako Nasze życzenie trwa niezachwianie. A pomnąc, że rezultatem wojen jest śmierć ludzi, zniszczenie krajów, żałoba kobiet i tyle wszelakiego zła, iż musi wzbudzać żal i litość w duszy każdego dobrego chrześcijanina... szukamy pilnie wszelkich środków, by uniknąć pomienionego zła i nieszczęść, a zyskać aprobatę Boga i pochwałę świata. Jako że rozważaliśmy, iż podobało się Bogu nawiedzić Naszego pomienionego Kuzyna a Waszego Ojca nieporadnością, przy Nas i przy Was leży remedium, a więc aby każdemu widno było, iż tego nie unikamy, życzymy sobie oddać Naszą sprawę pod Sąd Boży, między Naszą osobą a Waszą... Oznajmiamy i deklarujemy, że jeżeli zechcecie

przyjąć Nasze wyzwanie, to przyzwolimy, aby Nasz pomieniony Kuzyn, jako pomazaniec Boga, przed którym się korzimy, mógł korzystać z tego, co teraz posiada aż do końca swego życia, cokolwiek się stanie z woli Boga między Nami a Wami... Tak więc, jeśli Bóg da Nam zwycięstwo, korona Francji, ze wszystkim co do niej z prawa należy, będzie natychmiast po jego zgonie Nam wręczona bez żadnych przeszkód... Bo lepiej byłoby dla Nas obu. Kuzynie, rozstrzygnąć raz na zawsze tę wojnę osobiście w pojedynczej walce między dwoma osobami, niżby za sprawą naszej kłótni cierpiało chrześcijaństwo, nasza Matka, Kościół Święty miała rozdarte łono, a ludzie w Boga wierzący zabijali jeden drugiego... Zapewniamy, iż posyłając to Nasze wyzwanie czynimy to ze czci i obawy Boga i z powodów wyszczególnionych, z Naszej własnej woli, a w przytomności lojalnych krewnych, doradców i poddanych, którzy w tak ważnej materii nie wazyli się Nam niczego doradzać..."

Wyzwanie Delfina do pojedynku król Henryk V kreśli własnoręcznie, natychmiast po formalnym objęciu w posiadanie zdobytego Harfleur. Henryk ma lat dwadzieścia osiem, w pełni sił męskich, jest wypróbowanym żołnierzem i jeźdźcem, wybornie władającym wszelką bronią, zahartowanym w wielu kampaniach i łowach, ufny we własne siły i w pewność boskiej opieki. Mało który ze sławnych i doświadczonych rycerzy nie zadrżałby stając do, pojedynku z takim przeciwnikiem.

Ludwik, Delfin Francji, nie jest wytrawnym wojownikiem. Po ojcu,

Karolu VI, wziął członki słabe, zdegenerowane. Rycerskie ćwiczenia i rozrywki nigdy go nie pociągały. Wątpliwe, czy kiedykolwiek brał udział w turnieju. Otacza się komfortem, kocha się w muzyce, zwłaszcza organowej. Jego dwór ogniskuje ludzi, parających się sztukami pięknymi — a nie łącząc tego z zajęciami, które bardziej mężczyznom przystoją, nikt tu nie ma ambicji do przymiotów wojennych.

Toteż wyzwanie, posłane przez Henryka, może się wydawać tak mało rycerskie, jak gdyby lew pozwał jagnię na udeptaną ziemię. Ale nikt tego w ten sposób nie ocenia — prócz może samego Delfina. Pojedynek nie tyle jest uważany za próbę odwagi, zręczności i siły, ile za „sąd Boży”, w którym Bóg da zwycięstwo temu, czyja sprawa jest słuszna. Porażkę Delfina, gdyby przyjął wyzwanie i stanął do walki, uznaliby i Francuzi i Anglicy, a nawet cała Europa za dowód, iż słuszność jest po stronie króla Anglii. Zarozumiałość Henryka nie polegała na zaufaniu we własne siły i umiejętności, lecz na szczerym przekonaniu, że on sam i jego sprawa są pod szczególną opieką Boga. Niejeden w owych czasach ostentacyjnie głosi podobne poglądy, aby zachęcić swych stronników, ale mało kto jest ich tak pewien, jak Henryk.

Trudno oczekiwać, aby to wyzwanie zostało przyjęte. Ludzie, świadomi niejakej słabości w prawym ramieniu, mniej są skłonni w pojedynku spodziewać się wiele po Bogu.

Król Henryk posługuje się de Gaucourtem w charakterze posłańca, niosącego wyzwanie i zapewnia go:

— Będziemy przez osiem dni czekali w Harf leur na odpowiedź.

A tymczasem zapuszcza się w gorące dyskusje. Jakie ma być następne posunięcie? Król sam już podjął decyzję, wówczas, gdy jego ciężkie działa burzyły mury Harfleur, ale jego postanowienie wydaje się niektórym z jego świty nazbyt zuchwałe. Musi ich przekonać, że to jedyny sposób zaspokojenia honoru i udowodnienia Europie, że jego aspiracje do korony Francji są przemyślane i realne.

— Pali mnie chęć ujrzenia ziem i miast, które są moim dziedzictwem — mówi do panów ze swego otoczenia.

Młodzi i żądni przygód radośnie podchwytyją tę zapowiedź; starsi nie kryją obaw. Po wyznaczeniu ludzi do załogi pozostającej w Harfleur, nie więcej jak pięć tysięcy łuczników i tysiąc żołnierzy, z łącznej liczby dziesięciu tysięcy, którzy przed paru tygodniami wylądowali w Normandii, jest teraz jako tako zdolnych do pochodu i bitwy. A w tym zawierają się posiłki, świeżo przybyłe z Anglii: pięciuset łuczników nadesłała Walia w dowód respektu i lojalności dla króla, który jeszcze jako następca tronu, łącząc odwagę z gotowością do przebaczenia, stłumił rebelię i pozyskał sobie wiernych poddanych.

Hrabia Arundel zaniemógł ciężko i teraz tylko czeka, by go zabrano do Anglii, bo tam chce umrzeć. Ale jeszcze protestuje:

— Jeżeli miłościwy pan pójdzie z Harfleur w głąb lądu, Burgundczyk nie będzie się dłużej wahał, lecz rzuci wszystkie swe siły przeciw nam. Inni magnaci, którzy do tej pory nie stawili się na wezwanie Karola, mogą pośpieszyć, by bronić kraju.

— Pociągnę z wojskiem wzdłuż wybrzeża do Calais — rzecze

Henryk. — Wierzę diukowi Burgundii. Będzie nadal upewniał francuskiego króla o swojej przyjaźni, obiecywał pomoc w przyszłości — i na tym się skończy. I tak będzie z innymi we Francji. Nie ruszyli palcem, by ratować Harfleur. I teraz się nie ruszą, o ile nie pójdziemy na Paryż, a tego nie zamierzam — na razie.

— Dokądkolwiek miłościwy pan by się nie skierował — upiera się Arundel — tam wszędzie Francuzi zagrodzą mu drogę, i to w przeważającej sile. Zdobyliśmy ważne miasto. Obsadzić je silnym garnizonem, zasiedlić angielskimi osadnikami, przekształcić w drugie Calais! To zaspokoi honor miłościwego pana, to wystarczy, dopóki w Anglii nie uda się zebrać więcej żołnierzy i pieniędzy...

— A ile pieniędzy i żołnierzy da mi Anglia za zdobycie jednego jedyne miasta? Nie, moi przyjaciele! Musimy się wykazać naszą dzielnością, naszą wyższością w boju i łaską, jaką Bóg nas obdarza.

Wtedy pozyskamy sobie serca naszych rodaków, wtedy chętnie rozwiążą sakiewki ku większej chwale Anglii i świętego Jerzego.

Hrabia Dorset, jako gubernator Harfleur wolałby, żeby główne siły wojsk nie oddalały się od miasta i nie szukały ryzyka. Popiera Arundela:

— Jak z tą garstką żołnierzy miłościwy pan zaryzykuje otwartą bitwę z Francuzami, którzy przecież o pochodzie od razu się dowiedzą?

— Calais leży w odległości stu sześćdziesięciu mil od Harfleur — wyjaśnia cierpliwie

Henryk.

—

Delfin

jest

w

Vernon,

o 150 mil od Calais. D'Albret siedzi w Rouen — mil 140.

Boucicault w Honfleur, a to dalej od Calais, niż my teraz je

steśmy. Pójdziemy bez obciążenia, spiesznie. Nikt z nieprzyjaciół

nie odgadnie celu naszej wyprawy, dopóki nie wyprzedzimy ich co

najmniej o jeden dzień drogi.

— Każdy z tych trzech francuskich wodzów, których miłościwy pan

wymienił

tutaj

—

wtrąca

Arundel

—

przewyższa

nas liczebnością. A co będzie, jak się połączą?

Król się śmieje.

— Nie wypatruj złego! To nie sposób zdobycia sławy, ani

tronu. — Zaraz poważnieje i mówi dalej : — Nawet gdyby na

si wrogowie zwerbowali najliczniejsze wojska, ja pokładam

ufnosć w Bogu, a bez Jego woli włos nam z głowy nie spadnie.

Nie pozwolę im, wbitym w pychę, radować się w swojej nieprawości i dzierżyć to, co jest moim. Umyśliłem sobie, przyjaciele, stawić czoła wszelkim niebezpieczeństwom. Z łaską Boga przejdziemy swobodnie, a jeśli popróbują nas zatrzymać, zwyciężymy ich z chwałą.

Słuchający go znają ten ton w jego głosie. Kiedy król powiada:

„Umyśliłem sobie”, wówczas kończy się wszelka dyskusja. A przyznać trzeba, że Henryk rzadko decyduje bez przemyślenia sprawy, i ma zwyczaj starannie obliczać ewentualne ryzyko. Właśnie dlatego jest tak groźnym adwersarzem, iż z odwagą łączy przezorną ocenę szans.

W dwa dni później Henryk i jego nieliczna armia opuszczają Harfleur.

Przy dźwięku trąb i bębnow, pod powiewającymi sztandarami, wyruszają na wschód, gościńcem do Calais w pochód, który jest pomyślany głównie jako brawurowy gest. Nie zabierają ze sobą ciężkich dział i tyle tylko wozów taborowych, by pomieścić prowiant na osiem dni. Ciężkie zbroje rycerzy i wojowników załadowano na grzbiety koni jucznych, razem z koroną i mieczem królewskim oraz pieczęciami koronnymi, a także srebrną zastawą stołową — nawet podczas wyprawy król musi być gotów do podejmowania gości w wielkim stylu — naczyniami kościelnymi i relikwią krzyża świętego, przywiezioną przed laty z Ziemi Świętej.

Główną naturalną przeszkodę w tym pochodzie stanowi rzeka Somma.

W pobliżu jej ujścia znajduje się szeroki bród dla

bydła, więc król przez umyślonych gońców rozkazał załodze twierdzy



Calais wysłać tam swoich żołnierzy. Mają pilnować, aby bród był dla wojsk króla każdej chwili dostępny.

Wojsko uformowano do pochodu w szyk potrójny prócz oddziałów, pilnujących na poboczach. Nad strażą przednią dowództwo objął sir Gilbert Umfraville i sir John Cornwall; dowództwo nad strażą tylną — książę York i hrabia Oxford. Na czele głównych sił stanęli król, jego brat książę Gloucester i sir John Holland.

Początkowo posuwają się szybko, po 30 km dziennie. Pewien kronikarz francuski dowodzi, że w Fécamp, o 40 km na północ od Harfleur, gdzie właściwie wojska Henryka nie napotkały żadnego oporu, Anglicy podpalili miasto, a gdy mieszkańcy „schronili się wraz z dobytkiem w opactwie, angielscy żołnierze bluźnierczo w stajnie wszystkie kaplice przemienili, siłą kufrы otwierali i zabierali rzeczy, wyciągali z opactwa kobiety, by je gwałcić." Żołnierze wojując w obcym kraju, a czasem i we własnym, bywają skłonni do brutalności i barbarzyństwa. Ale Henryk imponował wrogom i przyjaciołom nie tylko zwycięstwami, ale również organizacją i zdyscyplinowaniem swoich wojsk — a to pierwsze w znacznej mierze wynikało z drugiego. Przed opuszczeniem Harfleur ponowił najsurowsze rozkazy, zabraniając żołnierzom tykać kobiet, starców i dzieci, nakazując respektować budynki poświęcone służbie bożej. W zakończeniu ogłoszono:

„Tacy przestępcy spotkają się z najsurowszymi karami. Upominamy też, aby w czasie naszego pochodu nie brano niczego przemocą, nie brano niczego, za co by nie zapłacono, nie nadużywano dobrej woli

mieszkańców, albowiem gdy miłosierdzie i okrucieństwo rywalizują o królestwo, wygrywa łagodniejszy."

Oczywiście, zdarzają się tacy, którzy nigdy nie słuchają rozkazów. Ale za brak subordynacji w wojsku Henryka kara bywa szybka i nieubłagana. Żołnierza, który ukradł z kościoła puszkę na komunikanty, powieszono z osobistego rozkazu króla, a całe wojsko przemaszerowało pod jego zwłokami w mil-

czeniu. Trudno więc uwierzyć w opowieści francuskiego kronikarza o łupiestwie, świętokradztwie i brutalności. I rzeczywiście, inny z francuskich kronikarzy twierdzi, że czasami przestępstwa, składane na karb Anglików, bywały w istocie rzeczy popełniane przez wojska francuskie, o wiele mniej zdyscyplinowane.

Na pierwszy poważniejszy opór Anglicy natknęli się w Arques, o parę kilometrów na południowy wschód od Dieppe. Odmówiono im przejścia przez rzekę Béthune. Zwracając się do kasztelana tonem, jaki przystoi suwerenowi wobec opornego poddanego, Henryk rozkazuje :

— Przepuście nasze wojska, abym zaś nie był zmuszony zetrzeć z powierzchni ziemi waszego miasta.

Kasztelan nie tylko odwołuje swój poprzedni rozkaz, ale jeszcze posyła Anglikom znaczne dostawy chleba i wina — aby przy sposobności kupowania prowiantu nie zaspakajali w mieście innych swoich apetytów.

Następnego dnia przebyto trzydzieści kilometrów, ale koło Eu nad rzeką Bresle jazda francuska w znacznej sile wypada z bram miasta i atakuje przednią straż Anglików, dowodzoną przez Umfraville'a i

Cornwalla. W krótkim ale zaciętym starciu obie strony ponoszą straty, nim Francuzów zmuszono do odwrotu.

Razem wzięwszy, do tej pory wyprawa posuwa się bez większych przeszkód, tempem dobrym, nie ponosi poważnych strat. Somma jest już tylko o dwadzieścia kilometrów, a na brodzie Anglicy oczekują połączenia z wojskiem, wysłanym im na spotkanie z Calais. Dalej za rzeką powinno już gładko pójść. Król jest w doskonałym humorze i przy obiedzie mówi do członków swojej świty:

— Więc tak, jak mówiłem, przyjaciele, Francuzi nie ośmielą się zagrozić nam drogi w większej sile. Nasi rodacy pojmą teraz, że z większymi siłami i większymi pieniędzmi można będzie całą Francję dołączyć do królestwa angielskiego.

Rycerze chętnie przyznają królowi rzekomo lepszą umiejętność przewidywania. Następnego dnia wczesnie ruszają w drogę, by kamienistym normandzkim gościńcem dojść do Blanche--Taque, gdzie ujście Sommy podczas odpływu jest tak płytkie, że dwunastu ludzi może je przejść szeregiem. Połowa drogi — ani śladu nieprzyjaciela. Nie napotkano żadnego Francuza, wieśniaka czy kupca. Straż przednia zaczyna zjeżdżać ze wzgórz w dolinę rzeki. Wszyscy śpiewają głośno, niecierpliwie wypatrując spotkania z rodakami, którzy musieli już nadciągnąć z angielskiego Calais. A tymczasem...

Tego wieczoru autor kroniki „Henrici Quinti” zanotuje:

„Ja, który zapisuję, i wielu innych, wznosimy z gorzkim błaganiem oczy do nieba, zaklinając Wszechmogącego, by się zmiłował nad nami. I

modlimy się do Najświętszej Marii Panny i do świętego Jerzego, pod którego szczególną protekcją niezwyciężona korona angielska rozkwitała niegdyś, aby wstawili się za naszym biednym narodem do Boga miłosiernego..."

Istotnie, zdawać by się mogło, że Bóg zapomniał o swoich obowiązkach wobec Henryka. Ten, który nosi koronę Anglii, wcale teraz nie wydaje się niezwyciężonym, ani Anglikom, ani Francuzom.

O jakieś dziewięć kilometrów przed Blanche-Taque, sir John Cornwall podjechał galopem do króla.

— Miłościwy panie, proszę nakazać postój. Mam złowrogie wieści !

Henryk wstrzymuje konia i patrzy pytająco na rycerza:

— Złowrogie wieści? A to jak? Nie słychać było odgłosów żadnej walki. Wyjaśnijcie, sir Johnie!

Rycerz przyzywa skinieniem ręki dwóch wojowników, między którymi jedzie trzeci jeździec, w zwykłej cywilnej odzieży. Jego konia jeden z Anglików prowadzi za uzdę.

— Lepiej będzie, jeśli ten jeniec wyjaśni, miłościwy panie.

Natknęliśmy się na niego na gościńcu, jak jechał w naszą stronę, zabraliśmy go i wy pytali.

Król przygląda się bacznie chudemu, ponuremu mężczyźnie, o twarzy z dwudniowym zarostem.

— Mów! — rozkazuje król. — Twój język nam nieobcy, zrozumiemy cię.

— A ile razy mam to gadać? Już przecież...

Jeden z żołnierzy uderzył jeńca płazem miecza przez plecy.

— Król Anglii wyrządza ci ten zaszczyt, że chce ciebie wysłuchać! Masz mówić: miłościwy panie...

Jeniec aż się skręcił z bólu od uderzenia. Wreszcie zaczął:

— Jeśli to król, jak powiadasz, moje wiadomości nie przydadną mu do smaku... — Jeszcze jeden raz w plecy, Więzień zwinął się w siodle, najwidoczniej w wielkim bólu. Żołnierz powtórzył :

— Masz mówić : miłościwy panie !

— Jego wiadomości nam potrzebne, nie jego komplementy — wmieszał się z irytacją król. — Ale dlaczego takie lekkie uderzenia sprawiają mu tyle bólu?

Francuz wyprostował się z wysiłkiem i odparł :

— Marszałek kazał mnie wychłostać dziś rano za to, że się nie ogoliłem...

— Marszałek! Jaki marszałek? — spytał szybko, ostro Henryk.

— No, ten, u którego jestem na służbie... Boucicault się nazywa, niechby z piekła nie wyrzał za swoje złe humory... nie pobłaża nawet mnie, choć tyle razy stopy mu umywałem i do łóżka kładłem, kiedy się spał...

— Boucicault? A gdzie on jest?

Więzień wskazał ręką w kierunku Sommy.

— Tam, gdzie i ja bym był dzisiaj, gdyby nie jego chłosta, zamiast tu

ostrzegać was, Anglików, byście go omijali... stoi w dole, przy brodzie...

— Przy brodzie? Jak tam się dostał? Jakże ma siły?

— A ze sześć tysięcy...

— Łżesz, jak najęty! Przecież to niemożliwe! Aby marszałek z całym wojskiem dotarł do Blanche-Taque prztd nami?

— Jeszcze zanim wy, Anglicy, ruszyliście w drogę, myśmy z Honfleur poszli do Rouen. A stamtąd marszałek poganiał nas, jak bydło... Kazał batami ćwiczyć maruderów... Spaliśmy wszystkiego może dwanaście godzin od... nie wiem już, od ilu dni... straciłem rachubę... A jakeśmy tu nadciągnęli, musieliśmy najpierw wypędzić tamtych Anglików znad brodu...

Nie czekając nawet, by jeniec dokończył, król zwrócił się do Gornwalla

- Czy Francuzi nad brodem widzieli was?

— Nie, miłościwy panie. Do rzeki zjeżdża się przez las. A kiedyśmy usłyszeli, co on opowiada, nakazałem wstrzymać konie, a sir Gilbert wysłał mnie tu z powrotem...

— Ludzi na zwiady pošlij natychmiast... A jeśli ten Francuz okaże się łgarzem, zapłaci głową...

— No, to moja głowa bezpieczna — mruknął lokaj marszałka.

Henryk nie słuchał go. Odjechał już, i zaraz wezwał rycerzy ze swojej świty.

—

Wydać im bitwę przy brodzie! — nalegali co młodsi.

Król kazał przywołać francuskiego sługę raz jeszcze i zapytał o poziom

wody w ujściu.

— Przyptyw jest — odrzekł jeniec. — Za dwie godziny będzie najwyższy stan. Wy... to znaczy, miłościwy pan... nie przeprawicie się przez rzekę brodem... bo to pod samym nosem ludzi marszałka...

Odesłano go, a jeden ze starszych magnatów rzekł nie bez cienia satysfakcji w głosie:

— Teraz musimy wracać do Harfleur. Nie powinniśmy byli wcale stamtąd wyruszać.

Henryk odparł:

— Powiem wam, co zrobimy. Zwrócimy się na wschód, wzdłuż rzeki, dopóki nie znajdziemy zdatnego do przeprawy miejsca.

— A jeśli Francuzi będą szli w ślad za nami tamtym brzegiem?

— Na Boga! — wykrzyknął król. — Jak prędko mdleją słabe serca!

Skoro tylko nasi zwiadowcy potwierdzą wiadomości tego zdrajcy francuskiego, ruszamy w dalszą drogę. A kto chce wracać do Harfleur, niechaj wraca! Dostanie wolny przejazd do Anglii i do swoich kobiet, tylko że ich może tak tchórzliwy cherlak nie zaspokoi!

Lokaj marszałka ocalił głowę i puszczono go wolno. Anglicy zwrócili się na wschód wzdłuż południowego brzegu rzeki. Ale wesoły humor, podniecany nadzieją, że niebawem znajdą się w Calais, teraz ich opuścił. Wzywają „Najświętszą Marię Pannę i świętego Jerzego”. Są pomęczeni. Pogoda się popsuła, wzniesione „z gorzkim błaganiem oczy do nieba”, wywołały tylko ulewny deszcz. Następnego dnia ich położenie jeszcze się

pogarsza. Oto Francuzi — w znacznej sile, wyraźnie przewyższającej ich własną — posuwają się w ślad za nimi przeciwległym brzegiem i obserwują ich bacznie.

Dalej, w głąb wrogiego kraju. Mijają Abbeville, mijają Pont Remy.

Oddalają się od Calais. Przez Crouy i Pequiny, o dwanaście km na północ od Amiens. Domy i gospodarstwa przy drogach zamknięte na głucho i milczące, wszędzie pustki, kraj ogołcony z wszelkiej wiewdy i furazu.

Głodni i gniewni, Anglicy podpalają zabudowania tak, że ich szlak znaczą pożary. Noce są teraz zimne. Żywność, zabrana z Harfleur, już się prawie kończy. Po drodze zdobywają co najwyżej orzechy. Ludzie ledwie mają siły i konie ledwie się wloką. Brody na Sommie są wszystkie zagrodzone wbitymi w dno palami i strzeżone. Mosty porozbijane i też bronione silnymi oddziałami żołnierzy. Stało się, jak przewidywał ciężko chory hrabia Arundel: upadek Harfleur obudził patriotyczne uczucia Francuzów.

Kilku książąt, między innymi Orleańczyk i Burbon, wreszcie usłuchało wezwań swego suwerena. Diuk Bretanii, który początkowo odmówił udziału w obronie kraju, teraz nadesłał sam jeden wojsko dwakroć liczniejsze od angielskiego. Nawet z Burgundii nadciągnęły oddziały rycerzy i wojowników ignorujących dyplomatyczne wahania swego księcia. Król Karol i Delfin postanowili nie przyłączać się własnymi osobami do armii, ciągnącej przeciw Anglikom. Tylko by przeszkadzali wodzom:

marszałkom Boucicault i d'Albret, książętom orleańskiemu i burbońskiemu.



W całej Francji umacnia się mury obronne miast, obsadza fortece załogami i zaopatruje w prowiant na wypadek oblężenia. Wieśniacy i rzemieślnicy, żołnierze i kuszniczy zgłaszają się na ochotnika. Paryż wystawił sześć tysięcy dobrze uzbrojonego żołnierza. Tych rycerze francuscy traktują wzgardliwie, przezywając ich „sklepikarzami”, zlecając im tylko takie obowiązki, jak czeladzi i ciurom. Ale w każdym razie pomnażają oni liczbę wojsk, zagradzających drogę do Calais coraz szczuplejszej garstce Anglików. Główne siły francuskie ściągają do Péronne, gdzie przypuszczalnie najeźdźca będzie musiał w końcu spróbować przepłynąć się przez rzekę, lub nakazać odwrót — a w każdym razie jak strudzona gonitwą zwierzyna, padnie łatwym łupem dziesiątków tysięcy francuskich myśliwych.

Ludzie króla Henryka są zaiste w opresji. Przygnębieni, wyczerpani, mają przed sobą nieprzebytą rzekę i wielokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela. Tylko król nie upada na duchu, a przynajmniej zachowuje pozory. Dygnitarze z jego otoczenia tak samo, jak żołnierze przeważnie wątpią o wyniku tej hazardowej, albo, jak mówią niektórzy, wariackiej wyprawy. Ale chociaż nie potrafią okazywać wesołego oblicza, to jednak nie ośmielają się otwarcie narzekać. Kiedy wcześniej jeszcze któryś rycerz uskarżał się zobaczywszy, że nie można będzie przejść brodu, król Henryk zwrócił się do niego bardzo ostro:

— Jeśli chcesz, by ci fortuna sprzyjała, to witaj ją z głową wysoko i dumnie podniesioną, cokolwiek by ci w rękę przynosiła!

On sam nosi głowę wysoko i dumnie, to prawda. Ale mniej teraz mówi

o łasce boskiej, która wydaje się głęboko schowana, a więcej o uśmiechu fortuny, koncepcji jeszcze bardziej abstrakcyjnej.

W Boves, o jakieś dziesięć kilometrów na zachód od Amiens, Somma skręca ostro z południowego wschodu na północny wschód. Tutaj wystawiona na długotrwałą próbę subordynacja żołnierzy Henryka chwilowo się załamuje. Mieszczanie przed opuszczeniem miasta zaniechali zabrać czy też zniszczyć sporych zapasów wina. Łucznicy rzucają się na trunek. Wielu się upija. Widzieli siebie i swoich kompanów jako głupców, którzy idą w ślad za największym głupcem na śmierć z głodu i chorób. Próbują utopić tę wizję w sfermentowanym winnym gronie. Król widzi siebie i ich inaczej — jako wojownika prowadzący armię, która z łaską i pomocą Boga zdobędzie sławę dla Henryka, Anglii i świętego Jerzego. Skoro tylko dostrzeże, co się dzieje, ostro przywołuje żołnierzy do porządku, rozkazuje, by ani kropli więcej nie wypito. Każdy kapitan i sierżant ma pilnować, by rozkazu usłuchano.

— Może miłościwy pan zezwoli, by ludzie swoje flaszki napełnili — proponuje nieśmiało hrabia March.

— Więc niech napełniają flaszki, ale większość już własne brzuchy we flaszki obróciła! — odpowiada Henryk.

Taki jest królewski autorytet, że żołnierze usłuchali rozkazu, choć nie bez szemrania. Ale niebawem łucznicy mają nowy powód do narzekania. Wojsko maszeruje na wschód wzdłuż koryta rzeki i dociera do miasta Corbie. Z bram miejskich wypada silny oddział jazdy francuskiej,

galopuje po moście, atakuje grupę angielskich zwiadowców. Sir John

Cornwall spieszy na pomoc z wojownikami ściągniętymi ze straży przedniej, odpędza Francuzów, bierze do niewoli kilkunastu jeńców.

Jeden z tych jeńców informuje króla Henryka — może chciałby go zniechęcić, nakłonić do odwrotu? — tonem chełpliwej czelności:

— Wasza królewska mość idzie prosto w pułapkę. Prawie pięćdziesiąt tysięcy moich rodaków czeka na waszej drodze.

A my, rycerze, postanowiliśmy dać nauczkę waszym łucznikom.

Podczas waszego pochodu moi druhowie napadną pełnym galopem i stratują ich, zanim zdążą strzałę z kołczanu wyciągnąć!

Henryk nie zna, co trwoga — a w każdym razie nie okazuje tego.

Powtarza, co już mówił do swoich żołnierzy:

— Wyprawiliśmy się w pochód przez ziemie, z prawa nam przynależne.

Nie zawróćcie nas z drogi waszą liczebnością.

Jednakże bierze pod uwagę niebezpieczeństwo, grożące ze strony nagłego ataku jazdy i spróbuje mu skutecznie zapobiec. Rozkazuje swoim kapitanom:

— Niechaj każdy łucznik wytnie sobie drąg długości sześciu stóp, i zaostrzy go z obu końców. W momencie, gdy francuscy jeźdźcy się pojawiają, drągi wbić w ziemię ukośnie, jednym zaostrzonym końcem w stronę przeciwnika. Za osłoną takich „chevaux de frise”, łucznicy będą mogli strzelać spokojnie, bo nawet jeśli jeźdźcom nie zabraknie śmiałości, by najechać, ich konie nadzieją się na drągi.

Dobry pomysł, zwycięski pomysł. Ale łucznicy, dopóki nie sprawdzą

jego skuteczności, narzekają między sobą:

— Jeszcze jeden ciężar mamy dźwigać...

— I kto wie, jak długo...?

— Może i tydzień zejdzie, zanim dotrzemy do Calais...

— Coś ty, dłużej! Znacznie dłużej! Z tym tłumem Francuzów po

tamtej

stronie

— gest ręki w kierunku przeciwnego

brzegu rzeki — będziemy szli, póki nie dojdziemy do źródeł

Sommy...

— Wszyscy święci, dopomóżcie! A cały czas oddalamy się od Calais...

— I od Anglii, a to mnie trapi...

— Czasem wątpię, czy w ogóle...

— Te drażni ciężkie, jak lichy...

Nie będzie tak źle, jak łucznicy przewidują. „Wysoko i dumnie

podniesiona głowa" króla Henryka skłania jednak fortunę do uśmiechu.

Somma serpentynami skręca w Corbie dalej na wschód, po czym koło

Péronne zawraca ostro na południe. Henryk postanawia skrócić drogę

pochodu po przekątnej do miejscowości zwanej Nesle.

— Francuzi, idąc w ślad za nami — powiada — będą mu

sieli przejść dwa boki trójkąta. Dotrzemy pierwsi do Nesle

i może uda się nam zaskoczyć straż przy tamtejszym brodzie czy moście.

Francuzi nie połapali się zrazu w zamierzeniach Henryka. A nawet, gdy

już wiedzą, w jakim kierunku Anglicy się udali, wysyłają za nimi tylko

nieeliczny oddział jazdy, który musi przebyć drogę po dwóch bokach trójkąta. Gdy reszta zmęczonego, zniechęconego wojska Henryka zatrzymuje się na krótką chwilę wytchnienia, zwiadowcy donoszą radośnie, że na rzece są dwa brody: jeden prosto na północ koło Béthencourt, drugi trochę dalej na wschód, koło Voyennes. Nie są w ogóle strzeżone, ale poniszczono groble przez mokradła, prowadzące do brodów.

— Wspaniałe wieści, moi przyjaciele! — woła król. — Pobudka przed świtem! Żołnierze i łucznicy do Voyennes. Juczne konie i wozy do Béthencourt.

Jednakże przeprawa nie przebiega łatwo. Trzeba najpierw wysłać łuczników. Przełazą przez rozwalone kamienie grobli, grzęzną po kolana w mokradle, potem po pas w wodzie, przechodząc wplaw przez bród.

Wbijają drągi przed sobą i formują przyczółek, którego mają bronić za cenę życia przed ewentualnym atakiem. Pozostali po tamtej stronie rzeki żołnierze ścinają drzewa w lesie, ściągają deski z dachów i zabierają drzwi domostw — budują groblę.

Około godziny pierwszej Sir Gilbert Umfraville i Sir John Gornwall schodzą do rzeki na czele straży przedniej. Król stoi osobiście u wejścia na groblę koło Voyennes, kieruje żołnierzami, zachęca i ponagla.

Miejscami ludzie muszą iść gęsiego po chwiejącej się grobli. W Béthencourt dwaj rycerze doglądają przeprawy koni jucznych i podwód. I nagle jazda francuska zjeżdża galopem, atakuje przyczółek koło Voyennes. Aie drągi wytrzymują próbę. Łucznicy będą musieli przyznać,

że fortel ich wodza ocalił im życie; a kosztował życie niejednego Francuza. Kilkanaście koni nadziewa się na drągi, ich jeźdźcy spadają przesycając strzałami. Reszta wstrzymuje rozpędzone wierzchowce, a zanim się zabiorą do następnego ataku, pierwsi żołnierze ze straży przedniej są już na brzegu z toporami, mieczami i pałkami, gotowymi do walki. Francuzi, uznawszy, że przezorność jest większą cnotą od odwagi, odjeżdżają. Henryk oddycha z ulgą:

— Stracili sposobność. Cały dzień zmagaliśmy się z tą prawą. Gdyby Francuzi najechali większą siłą naszych, jeszcze grzebiących się przy przeprawie, rozbiliby nas w puch. Dzięki niech będą Bogu, który powstrzymał wzniesioną rękę naszych nieprzyjaciół.

Na godzinę przed zachodem słońca dokończono obu przepraw. Wojsko jest na drugim brzegu Sommy. Henryk raduje się, chociaż od Calais dzieli ich jeszcze sto mil. Na drodze ich pochodu są jeszcze dwie rzeki, Authie i Ternoise, ale obie małe, nie powinny nastęczać trudności. Rozbijając na noc obóz w ulewnym deszczu, jego żołnierze są w mniej radosnym nastroju. Wiedzą dobrze, że w Péronne, nie dalej, jak o tuzin kilometrów na północ od Voyennes zbiera się olbrzymia armia francuska. Tej szczupłej garstce żołnierzy Henryka wydaje się, że tylko zamienili obawę przed głodem i chorobą we wrogim kraju na perspektywę, że zostaną wycięci w pień, może już za parę godzin.

Przybycie do Péronne nie rozprasza ich niepokojów. W niedzielę, dnia

20. października, pozwolono im na parę godzin postoj, by wysłuchać mszy i wysuszyć odzież. Trzej heroldowie francuscy przybywają do obozowiska. Ich rzecznik, Montjoie, przekazuje wyzwanie książąt orleańskiego i burbońskiego:

— Można księżę, wielka i szlachetna jest twoja monarsza potęga, jak wiadomo naszym panom. Słyszeli oni, że zamierzy łoś ze swoimi wojskami podbić miasta, zamki i twierdze królestwa Francji... Dlatego też zawiadamiają ciebie moimi ustami, że zanim dojdiesz do Calais, spotkają cię, by walczyć z tobą, i wziąć pomstę za to, coś uczynił.

Król Henryk spogląda na niego z pogodnym obliczem. Wie, że prędzej czy później musi dojść do bitwy. Może lepiej teraz, zanim jego żołnierze jeszcze bardziej osłabną z głodu i zmęczenia.

Odpowiada obojętnie:

— Wszystko jest w ręku Boga.

— A dalej mamy zapytać — ciągnie Montjoie — jaką drogę Wasza królewska mość obierze?

Śmieszne pytanie, na które pada prosta i w danych okolicznościach zuchwała odpowiedź:

— Prosto do Calais, a jeżeli nasi nieprzyjaciele poważą się opóźniać nasz pochód, narażą się sami na niebezpieczeństwo.

Nie zamierzamy ich szukać, ale też nie będziemy z obawy przed nimi posuwać się ani wolniej, ani szybciej, niż zaplanowaliśmy.

Radzimy im ponownie, by nie próbowali przerywać naszego

pochodu, ani szukać konsekwencji takiego przerwania: wiel

kiego przelewu krwi chrześcijańskiej.

Heroldowie otrzymują każdy, według zwyczaju, po sto francuskich

koron i odjeżdżają. Spodziewając się, że może trzeba będzie wydać bitwę

następnego dnia, Henryk rozkazuje wojsku zająć dobrze wybraną pozycję

obronną naprzeciw Pécron-ne; a wiedząc, że jego żołnierze mają

zdecydowane zdanie co do tego, czyja to „chrześcijańska krew” będzie się

prawdopodobnie lała w największej obfitości w razie bitwy, przemawia do

nich, jak notuje kronikarz, „podniosłe i serdecznie”. Wszystko

przedwcześnie. Zwiadowcy donoszą, że Francuzi w Pécronne zwijają obóz

i zamierzają się wycofać.

— Odwagę Francuzów jeszcze wypróbujemy — rzecze Henryk — ale

ich taktyka nie zasługuje na zwycięstwo. Tu, w Pécronne, mieli wyśmienitą

pozycję:

rzeka

na

ich

prawym

skrzydle,

wzgórze na lewym, pośrodku dość dużo miejsca do manewrowania ich

licznymi

wojskami,

a

ufortyfikowane



miasto

na

ty

łach. Mało prawdopodobne, by znaleźli po raz drugi tak korzystne dla nich pole bitwy. A nasze szanse znacznie wzrastają.

Boucicaut i d'Albret rozumowali inaczej. Orleańczyk i Bur-bon chcieli wydać bitwę zaraz, bez zwłoki. Dwaj marszałkowie argumentowali przeciw temu, nadal dążąc do pokonania wroga głodem i chorobami, które, jak przypuszczają, muszą dziesiątkować wojsko angielskie. Bitwę można będzie jeszcze wydać bliżej Calais. Książęta nie dają się przekonać; wobec czego marszałkowie wycofują część armii francuskiej do Ba-paume, dalej na północy, a książęta, nie chcąc mierzyć się z Henrykiem tylko o własnych siłach, muszą udać się w ślad za nimi.

Rankiem dnia 21. Angliki idą na północo-zachód, w kierunku Albert.

Pada ulewny deszcz. Przez trzy dni oba wojska posuwają się prawie równolegle, ale rzadko mogą się nawzajem dostrzec z powodu dzielących je niskich wzgórz. Żołnierze Henryka nie zyskali na duchu z powodu odłożenia bitwy. Wiedzą, że musi nadejść, że ich pięć tysięcy musi się zmierzyć z blisko dziesięciokrotną liczbą Francuzów. Autor kroniki „Henricus Quintus”, uczestnik wyprawy zapisuje wieczorami, przy łożowej świeczce:

„Kapelani wznoszą oczy i serca ku niebu, wołając wielkimi głosami do Boga, by się zmiłował nad nami i w swojej nieskończonej dobroci

odwrócił od nas potęgę Francuzów."

Król, rycerze i żołnierze są teraz w zbrojach, gotowi do bitwy. Henryk w pewnej chwili zmylił drogę i minął wioskę, gdzie przygotowano dla niego kwatery na nocleg. Nie zgadza się zawrócić, powiadając:

— Bogu nie spodobałoby się, gdybym teraz zawracał, bo noszę mój herb na zbroi.

Często własnym przesądom nadaje się pozory religijności.

Zbliża się chwila rozrachunku. Dnia 24. Anglicy przeprawiają się koło Blangy przez rzeczułkę Ternoise, wspinają się na dalsze wzgórza i podchodzą do wsi, zwanej Maisoncelles. Nie dalej, jak o milę cała armia francuska, której liczebność zatrważa wszystkich, prócz najodważniejszych, zajmuje pozycje na gościńcu do Calais.

Król Henryk wstrzymuje na wierzchołku wzgórza wierzchowca i przypatruje się nieprzyjacielowi, który najwidoczniej szykuje się do bitwy. Obiektywnie, doświadczonego okiem wodza, ocenia siłę i słabość przeciwnika.

— Tak, jak przewidywałem — mówi. — Zajęli mniej korzystną dla siebie pozycję od tej, którą mogli mieć pod Péronne. Ich nieudolność będzie naszym zyskiem. Holland! Czy widzisz te lasy na obu krańcach pól

oziminy? Wydaje się, że w każdym z nich kryje się wioska. (Agincourt na zachód, Tramecourt na wschód.) Jakby ujęły w kleszcze to pole pośrodku. Tam tak znaczne siły, jak Francuzów, nie będą się mogły swobodnie rozwinąć. Pójdą na nas tylko wąskim frontem, odpowiednim dla naszej, mniejszej liczby. A jeśli odrzucimy do tyłu ich pierwsze szeregi, w środku wyniknie zamieszanie.

Oddziały angielskie, w miarę nadciągania, pośpiesznie ustawiają się w szyku na wzgórzu: łucznicy na czele, wszyscy konni zsiadają. Księża idą wzdłuż szeregów, słuchając spowiedzi tych, którzy pragną się oczyścić z grzechów, nim staną twarz w twarz ze swoim Stwórcą.

Jest późne popołudnie. Wkrótce zrobi się ciemno. Henryk czeka na atak Francuzów. Ale księżę orleański i burboński, d'Albret i Boucicaut znają prawa ówczesnej wojny. Nie po rycersku jest atakować nieprzyjaciela nocą — zwłaszcza, jeśli są przekonani, że tym pewniej zwyciężą go za dnia. Gdy między zastępami nieprzyjaciela rozbłyskują ogniska, Henryk prowadzi swoich ludzi w okolice Maisoncelles.

Wbrew pozorom zuchwałości i ostentacyjnie głoszonej wierze w opiekę boską, Henryk umie trzeźwo kalkulować i brać pod uwagę wszelkie ewentualności. Sam w ubogiej izbie, przysposobionej dla niego w winiarni, rozmyśla.

— Czy za późno, by uniknąć rozstrzygnięcia? A gdyby zwrócić Harfleur w zamian za wolną drogę do Calais? Jest ich bardzo wielu, może pięćdziesiąt tysięcy, a czterdzieści na pewno... Czy mogę moje szczupłe siły, teraz ledwie pięć tysięcy, postawić przeciw takiej liczbie? Jaką

nadzieję

zwycięstwa

mają

moi

chłopcy,

by

zrównoważyć

prawdopodobieństwo śmierci? A jednak — przyszli za królem, czy nie

powinni walczyć za króla? Oddać Harfleur... A co wtedy z moimi

pretensjami do tronu Francji? Czy londyńscy kupcy dadzą pieniądze na

na-

stępłą wyprawę, bym mógł znowu zdobyć Harfleur — i znowu je oddać?

Który z cudzoziemskich książąt zechce się wtedy ze mną sprzymierzyć? A

moi wrogowie w Anglii, a może i tu ze mną, tylko zamaskowani, czy nie

rzucą się wówczas na mnie? Nie, lepsza śmierć wielu, aniżeli hańba

wszystkich. W twoje ręce, o Boże... niech się spełni wola Twoja! Nie będę

królem Anglii, jeśli nie będę królem Francji...

Wstaje, prostuje chude ramiona, podnosi wyzywająco głowę i

wychodzi do obozu, aby jego widok przywracał odwagę tym, którym jej

może zabraknie.

Jest już ciemno, pada deszcz, chmury kłębią się nisko, a pierwsze

słowa, jakie król usłyszy, będą wypowiedziane przez łucznika irlandzkim

akcentem:

— Na świętego Patryka, ależ w tym kraju leje jeszcze więcej, niż u

nas, tylko nie jest tak zielono!

Anglicy przygotowują się do niespokojnej nocy pod wątlą osłoną prawie bezlistnych drzew, w rowach albo na otwartym polu. Żołnierze przejechali czterysta km od Harfleur, ale wielu z łuczników przeszło tę drogę pieszo, niosąc kołczany z czterdziestu lub pięćdziesięciu strzałami, a pod koniec również drągi. Siedemnaście dni, z tego tylko jeden dzień odpoczynku. Ich odzież jest mokra, obszarpana, ramiona obolałe. Wielu jest przeziębionych, niejeden cierpi na dyzenterię. Orzechy laskowe stanowią od trzech dni ich główne pożywienie. Ci łucznicy, rdzeń siły militarnej, jaką Anglia posiada, wydają się zbyt żalosną garstką, by zmierzyć się z licznymi zastępami, czekającymi na nich za polem oziminy.

Ludzie kręcą się, szukają pożywienia, miejsca do snu. Płatnerze walą młotami i krzyczą jeden do drugiego. Henryka irytuje ten hałas. Chciałby, żeby żołnierze mogli usnąć.

— Czynimy wszystkim wiadomo — rozkazuje gniewnie —

że kto z rycerzy nie zachowa ciszy, utraci konia i uprząż, a kto z czeladzi — straci prawe ucho !

Żołnierze wiedzą, że król nie wydaje rozkazów na darmo. Głęboka cisza zapada nad obozem. Ludzie klękają na mokrej

106

ziemi, „złożone ręce wznoszą ku niebu, w milczeniu modlą się, by Bóg wziął ich pod opiekę.”

Obóz francuski nadal roi się od ruchu i hałasu. Czeladź biega tam i z

powrotem, szukając słomy dla swoich panów na nocleg.

Niezdyscyplinowani żołnierze wyrzucają pakunki z pod-wód, grabią domostwa w obu wsiach, Tramecourt i Agincourt, a później je podpalają „pour le plaisir de destruire”, jak pisze pewien Francuz. Nikt nie próbuje poskromić wybryków żołnierzy, którzy w ciągu całego pochodu żywili się bardzo dobrze kosztem swoich rodaków. Magnaci i rycerze są pewni i chełpliwi — mają wszelkie racje po temu. Siedzą do późna w noc, sprzecząc się o honor walczenia w pierwszej linii. Kilku rozważniejszych, włącznie z marszałkiem Boucicaut argumentuje, że byłoby przezorniej trzymać się w defensywie. Ale młodzi zapaleńcy nie chcą o tym słyszeć. Rozprawiają o okupach, jakich zażądają od wysoko urodzonych jeńców, których wezmą nazajutrz do niewoli. Wydają rozkazy, aby pomalowano wóz, gotowy do zawiezienia skutego króla Anglii w triumfalnym pochodzie do Paryża.

Pomimo nakazanej ciszy, mało kto z Anglików śpi tej nocy. Henryk idzie przez obóz, nasłuchuje, dolatują go urywki przyciszonych rozmów:

— Ile krwawych ramion i nóg zostawimy jutro na polu...?

— A każde będzie przeklinało króla...

— Przeklną go wdowy i sieroty...

— I ci, którzy staną przed Stwórcą, umazani w błocie bitwy...

— Ich dusze też będą skargą na króla...

Henryk podjął już decyzję, nie cofnie się. Skargi żołnierzy obciążają każdego wodza, każdego przedsiębiorczego władcę. Tylko w godzinie zwycięstwa ludzie zapominają na chwilę o swoich strapieniach i

niebezpieczeństwach, zmieniają się w dumne pawie, roztaczające pióra w  
sławie. A przed bitwą:

*Dalej na króla! i życie i dusze,*

*I wasze długi, i stroskane żony,*

*Dzieci, grzechy, zwalcie je na króla.*

*Wszystkim za wszystko musi odpowiadać.*

*Ciężka powinność, wielkości bliźniaczka,*

*Iluz rozkoszy musi król się wyrzec,*

*Których spokojnie prywatny używa...* Gdyby nie uzurpacja tronu

króla Ryszarda przez Bolingbroke'a, może i Henryk zażywałby więcej  
spokoju. Ale jest synem swego zmarłego ojca i wypełni przeznaczenie.

„Za wszystko musi odpowiadać”.

*Rozdział VI*

## **DZIEŃ ŚWIĘTEGO KRYSPINA**

Anglicy mało spali tej nocy, i bardzo niespokojnie. Ale rankiem w dzień  
bitwy wstają z wilgotnych legowisk rześko, a choć nie spodziewają się  
zwyciężyć, postanowili drogo sprzedać życie. Deszcz ustał nareszcie, co  
pozwoli łucznikom celniej strzelać.

Król wstaje o świcie i idzie na pierwszą z trzech mszy, których  
codziennie wysłuchuje.

*...wszystkich żołnierzy moich ostał serca,*

*O, bitew Boże! Oddal od nich trwogę!*

Wkłada przepyszną, lśniącą zbroję i płaszcz, haftowany w lamparty  
angielskie i lilie francuskie.

Gdy ma dosiąść konia, spotyka jednego ze swych rycerzy, Sir Waltera

Hungerforda, który powiada:

— O, panie mój, gdybyśmy tak mogli tu mieć ze sobą jeszcze z  
dziesięć tysięcy dzielnych łuczników z Anglii!

Kronikarze wiernie zapisali charakterystyczną odpowiedź króla :

— Mówisz, jak głupiec! Na Boga, którego łaska mi sprzyja i w którym  
pokładam nadzieję zwycięstwa (Henryk rzeczywiście pokłada nadzieję w  
Bogu; a także w grubym błędzie, jaki Francuzi popełnili, wybierając  
pozycję do bitwy; oraz w ogólnie znanym braku dyscypliny wojsk  
francuskich, zwłaszcza przy tumulcie i ciasnocie), nie chciałbym, gdybym  
nawet mógł, powiększyć liczby moich wojsk o jednego choćby  
żołnierza.

Albowiem tych, których tu mam ze sobą, wybrał Bóg, aby w chwili próby  
stali przy moim boku. Gzy wątpisz, że Wszechmocny z tą skromną  
garstką nie potrafi pokonać tamtych pysznych Francuzów, chełpiących się  
swoją liczbą i siłą?

Sir Walter nie odpowiada. Lęka się o „skromną garstkę”.

Dosiadłszy chwilowo małego siwego konika, Henryk objeżdża szeregi,  
pozdrawia poszczególnych wojowników, przyłącza się do modlitw  
bardziej pobożnych grup. Następnie prowadzi ich, ledwie ponad pięć  
tysięcy wszystkiego razem, na pozycję, którą wybrał, by stawić czoła  
Francuzom.

— Będziemy się bić pomiędzy tymi dwoma lasami — mówi do swego  
najbliższego otoczenia. — W ten sposób nieprzyjaciel nie może nas



zaatakować od flanków. Odległość między lasami wynosi mniej niż milę.

Zajmiemy pozycję na południowym krańcu, wszyscy prócz wozów

taborowych, które zostaną pod strażą jazdy, daleko na tyłach.

Wojownicy walczą pieszo. Stają w szyku: w trzech rotach, każda po

cztery szeregi. Książę Yorku, korpulentny, niemłody już kuzyn króla i

jego przyjaciel jeszcze z czasów panowania Ryszarda II, dowodzi prawym

skrzydłem, Lord Gamoys lewym, a Henryk środkowym. Między rotami i

na flankach umieszczono łuczników, sformowanych w trójkąty, wystające

przed główną linią frontu.

Szyki nieprzyjacielskie, odległe o blisko kilometr, są dłuższe i głębsze.

Ich liczbę rozmaicie się podaje: najczęściej od dwudziestu do trzydziestu

tysięcy, a może i więcej jeszcze. Z całą pewnością przewyższają liczebnie

Anglików co najmniej w stosunku czterech do jednego. Stoją w jednym

długim szyku, głębokim na sześć szeregów; następnie przerwa i dalsze

szeregi, znowu przerwa, znowu szeregi. W obu przerwach między

szeregami pieszych wojowników umieszczono kuszników. W trzeciej

linii, jak też i na skrzydłach, znajduje się jazda. Tę dość dziwną formację

wywołała pogarda, jaką wojownicy francuscy żywią dla chłopów i

„bezużytecznych sklepikarzy”, zbrojnych w kusze. Przed bitwą należało w

pierwszej linii postawić kusz-

ników, by mieli przed sobą swobodne pole do strzału. Taką samą pogardą

obejmują Francuzi również łuczników angielskich, chociaż co najmniej

dwukrotnie w ciągu XIV wieku, w bitwach pod Grecy i pod Poitiers, ich

celne i z wielką siłą wysyłane strzały zadecydowały o zwycięstwie

Anglików.

Król Henryk wzywa księży przed front wojska i rozkazuje im aż do chwili rozpoczęcia bitwy modlić się bez przestanku.

— Wspomnij na nas, o, Boże Zastępów! Nasi nieprzyjaciele zebrali się i chełpią się swoją mocą. Rozprosz ich siły, skrusz ich potęgę, aby poznali, iż nie kto inny, jeno Ty sam, o Boże, walczysz za nas.

— Amen! — woła król, a żołnierze mu wtórują.

Henryk obnaża głowę i w obliczu nieprzyjaciela przyjmuje świętą komunię. Zwyczaj nakazuje takie przygotowania do bitwy. I dopóki nie zostaną ukończone, dopóty według kodeksu rycerskiego żadna strona nie ruszy do ataku, ani nie zacznie strzelać.

Król wstaje, nakłada z powrotem hełm — powleczonej warstwą szczerego złota i otoczony koroną, wysadzaną szafirami, rubinami i 128 perłami. Jeden z rubinów, „wielki jak kula armatnia”, przez długie jeszcze wieki, skryte we mgle przyszłych stuleci, będzie noszony w krzyżu na angielskiej koronie imperialnej. Henryk stanowi bardzo wyraźny cel dla nieprzyjaciela: nie zniża się do forteli, używanych przez jego ojca w bitwie pod Shrewsbury, jak przystrajanie kilku rycerzy w szaty identyczne z jego własnymi.

Z mieczem wzniesionym do góry, król przemawia do wojska:

— ...Przybyłem do Francji, aby odzyskać moje prawowite dziedzictwo i słuszna jest moja sprawa... Pamiętajcie, żeście się urodzili w królestwie angielskim, gdzie pozostawiliście wasze

matki i ojców, wasze żony i dzieci... dzisiaj waszym zadaniem jest strzec korony angielskiej i mojej osoby... co do mnie, jako prawy król i rycerz, przysięgam, że Anglia nigdy okupu za mnie nie zapłaci, albowiem raczej trupem padnę na tym polu, niż-  
bym się dał wziąć do niewoli moim nieprzyjaciołom. Z sercem skruszonym i ufnym błagam Boga o pomoc i odsiecz... bądźcie dobrej myśli, albowiem dzień będzie wasz i zwycięstwo wasze.

Gdy skończył, żołnierze wznoszą okrzyk:

— Daj Boże zdrowie i wiktoryę naszemu królowi!

Większość sądzi pewno, że Bóg będzie się musiał niemało natrudzić, jeżeli zechce zadość uczynić ich modlitwom.

Żadna ze stron nie kwapi się teraz do pierwszego ruchu. Francuzi woleliby, żeby Anglicy zaatakowali ich głębokie linie obrony, których, jak sądzą z wszelkimi pozorami słuszności, słabsze liczebnie siły nie zdołają pokonać. Wojownicy w pierwszej linii porozsiadali się na wiązkach słomy wokół sztandarów, jedzą i piją, żartują i hałasują. Między pierwszą a drugą formacją pozostawiono sporo miejsca. Po niezdarnych poruszeniach rycerzy pod wodzą d'Albreta i książąt orleańskiego, burbońskiego i andegaweńskiego widać wyraźnie, jak paraliżująco ciężkie są ich zbroje. Na przykład na karku i ramionach rycerza Ferry de Loraine spoczywa ciężar 45 kg — tyle waży jego hełm i pancerz. Ręce są zamknięte w rękawiczkach ze specjalnie wyprawionej skóry, ze stalowymi wierzchami i mankietami; na łokciach i ramionach stalowe naramienniki, ciało chroni jeszcze kolczuga. Dla tak zbrojnego wojownika podniesienie ramienia z

mieczem jest już samo w sobie wyczynem. Rycerze przeważnie poskracali drzewca lanc przewidując, iż trudno im przyjdzie posługiwać się nimi w zgiełku i ciasnocie bitwy — a zważywszy wąską przestrzeń między lasami, ciasno będzie na pewno.

Król Henryk też by wolał nie rozpoczynać bitwy jako pierwszy, aby jego ludzie nie wysunęli się zanadto do przodu, tracąc osłonę, jaką stanowił las po obu stronach szyku. Ale co doświadczeńsi wojownicy spośród jego rycerzy doradzają atakować.

— Łucznicy stracą ducha, jeśli będą tak długo wyczekiwać — mówi książę Yorku po czterech godzinach bezczynności. —

Zmęczył ich głód, choroby, pochód.

— Zaczekamy jeszcze trochę... — zaczyna mówić Henryk. Nim

wyjaśnił swoje powody, od strony francuskiej nadjeżdża trzech jeźdźców.

Na czele — rycerz de Heilly, którego niegdyś Anglicy wzięli do niewoli, ale im uciekł. Podjeżdża wprost do króla i bez zwyczajnych grzecznościowych formułek oznajmia:

— Powiedziano mi, że wy, Anglicy, zarzucacie mi, iż uciekłem od was w sposób, który nie przystoi człowiekowi honoru. Jeśli ktokolwiek, włącznie z tobą, królu, ośmieli się powtórzyć ten zarzut, wyzywam go do boju i dowiodę, że kłamie.

Inaczej to się przedstawia niż wyzwanie, które Henryk przesłał

Delfinowi Francji. Tam król proponował pojedynek następcy tronu, a

korona miała być stawką i nagrodą dla zwycięzcy. I wyzwanie nie zostało rzucone bezpośrednio przed bitwą. Henryk odpowiada łodowatym tonem:

— To nie chwila do załatwiania osobistych porachunków.

Ufam Bogu, że jeśli zniesławileś w jaki bądź sposób honor rycerski, to dnia dzisiejszego albo zginiesz, albo ponownie dostaniesz się do niewoli.

Wracaj do swoich kompanionów i powiedz im, że jeśli nie są tchórzami, to niech zaczynają. A jeśli są tchórzami — niechaj zostawią nam wolne przejście do Calais. My krwi przelewu nie szukamy, ale Bóg obróci się przeciw wam, jeśli nas do przelewu krwi zmusicie.

— Takiego posłania nie powtórzę — odpowiada de Heilly.

— Nie jesteśmy twoimi pacholkami, lecz poddanymi prawdziwego króla

Francji

i

rozpoczniemy

według

naszej

woli,

nie

twojej !

Odwracając się, Henryk rzuca wzgardliwie przez ramię:

— Więc odjeżdżaj do twoich szeregów, a choćbyś bardzo się śpieszył, może się zdarzyć, że my tam będziemy przed tobą.

Nie będzie już dłużej zwlekania. Henryk rozkazuje Sir Tomaszowi Erpinghamowi, dawnemu wiernemu szambelanowi swego ojca, aby sprawdził, czy łucznicy są w gotowości. Ich wygląd niepokoi Sir Tomasza, chociaż nie mówi o tym królowi. Kubraki na nich podarte,

przemoknięte, ochlapane błotem.

Wielu jest boso, wielu nosi na sobie łachmany, ledwie osłaniające ich nagość, mało który ma skórzany hełm, mający chronić przed ciosami.

Tylko jeden przedmiot każdy zachował nietknięty: pas z kołczanem, w którym trzymają strzały. I wszystkim, choć są głodni i zmęczeni, ręce aż świerzbią, by napiąć cięciwę.

W chwilę po powrocie Sir Tomasza król, pieszo na czele wojska, woła:

— Sztandary naprzód! Jezus, Maria, święty Jerzy!

Odpowiada mu potężny okrzyk:

— Hurra! Hurra! Święty Jerzy i nasza wesoła Anglia!

Każdy żołnierz przyklęka, czyni przed sobą znak krzyża, całuje ziemię i wkłada odrobinę mokrej ziemi do ust. Tak, zgodnie z tradycją, wojownik wyraża zgodę na wolę Boga: .....albowiem w proch się obrócisz..." W chwilę później cała linia angielska rusza naprzód. Trąby grzmią, ludzie krzyczą:

— Święty Jerzy! Święty Jerzy! Święty Jerzy!

*Dzisiaj jest święto świętego Kryspina;*

*Kto dziś przeżyje, a do domu wróci,*

*W górę podrośnie na dnia tego wzmiankę,*

*Podniesie głowę na imię Kryspina.*

*Kto dziś przeżyje i dośpi starości,*

*Co rok sąsiadów swoich w wilię racząc,*

*Powie: „Świętego dzień jutro Kryspina”,*

*Zawinie rękaw, swe pokaże rany.*

*Z starością pamięć gaśnie, on jednakże,*

*Choćby o wszystkim zapomniał, spamięta*

*Swoje rycerskie w potrzebie tej czyny... Mokra skiby oziminy*

grzęzną pod mocnymi krokami. Na jakieś trzysta metrów od Francuzów,

w zasięgu strzału z łuku, Anglicy zatrzymują się. Tylko łucznicy

postępują jeszcze o parę kroków dalej i wbijają swoje zaostrzone drągi w

ziemię, tworząc „chevaux de frise”. Każdy łucznik dobywa strzałę z

kołczana za pasem, umieszcza ją w pozycji na posmarowanym tłuszczem

sznurze cięciwy, naciąga tak, iżby gęsie pióra

dotykały jego policzka i celuje. I prawie natychmiast rozlega się szum,

jakby wielkie stado ptaków przelatywało bardzo nisko, a blask dnia — jak

notuje Tomasz de Eltham, kapelan, przypatrujący się rozpoczęciu bitwy

— „przesłaniają niewyciężone strzały, lecące po niebie jak chmura

brzemienna deszczem.” Ale ta chmura jest brzemienna śmiercią.

Teraz nareszcie olbrzymia masa zastępów francuskich gotuje się do

walki i wydaje bojowe okrzyki. Jeźdźcy z prawego i lewego skrzydła,

schylając głowy, by osłonić twarze, pędzą do ataku na angielskich

łuczników. Konie tych nielicznych, którzy przedarli się przez „chmurę

śmierci”, nadzieją się na drągi, zrzucają ciężkozbrojnych jeźdźców pod

nogi łucznikom, którzy chwytają za sztylety, maczugi i dobijają ich.

Spłoszone konie bez jeźdźców galopują z powrotem na ciasne szeregi

francuskich wojowników, gdzie już straszliwe strzały zbierają ponowne

żniwo śmierci. Rycerze spadają, przesycając strzałą, jak nadziane na szpilkę

motyle, kopyta końskie wgniatają ich w mokrą ziemię.

W drugiej linii Francuzi palą się do walki, każdy chce jak najprędzej zewrzeć się z Anglikiem. Ich zapal, większy od ich poczucia taktyki i dyscypliny, sieje ziarno klęski. Rycerze porzucają defensywne pozycje, napierają do przodu, odpychają kuszników na boki. Boucicaut i d'Albret, książęta orleański i burboński, hrabowie Eu i Richemont, wraz z setkami innych rycerzy cisną się do zatłoczonej pierwszej linii.

A na nich lecą chmury za chmurami śmiercionośnych strzał. Oni z trudem za każdym krokiem wyciągają ciężkie nogi z grząskiej ziemi.

D'Albret nawołuje, by się sformować w długie kolumny, nie stanowiące tak łatwego celu dla angielskich łuczników. Nadaremnie. Trójkątny szyk łuczników pozwala każdemu celnie mierzyć.

Nie mogąc rozwinąć szyków z powodu lasów po obu stronach, Francuzi stłaczają się coraz bardziej w samym środku. Nie brak im odwagi ani ufności we własne siły, ale wkłada się zamieszanie. Rycerze starają się przyspieszyć kroku, by z tym

większym impetem wpaść na Anglików. Uderzają o środek szeregów angielskich Henryka, zmuszają ich do cofnięcia się o parę kroków. Ale tylko o parę. Anglicy dotrzykali pola. Ich łucznicy odrzucają teraz łuki i rzucają się do walki wręcz, z mieczem, toporem lub młotem. Wolni chłopcy angielscy dowiodą wyższości swej skromnej czerwonej krwi nad krwią błękitną. Wielu podnosi broń, porzuconą przez odpartą w pierwszym natarciu jazdę nieprzyjacielską.

Francuzi są tak stłoczeni na wąskiej przestrzeni między lasami, że prawie już miejsca nie mają, by bronią obracać. A żądni walki rycerze



wciąż napierają z tyłu, by się jak najprędzej znaleźć oko w oko z przeciwnikiem, nie bacząc na nic innego.

Król Henryk walczy w pierwszych szeregach angielskich, rąbie i siecze, wystawiając się na niebezpieczeństwo, jak każdy inny żołnierz.

Grupa osiemnastu francuskich rycerzy przysięgła, że odrąbią jego głowę, wraz z koroną, od ciała. Udało im się odłamać jeden „fleuron” z korony i ciosem wgiąć jego hełm; ale wszystkich osiemnastu ginie zaraz potem z jego ręki, albo z ręki przybocznych rycerzy.

Francuscy rycerze odmówili swym społecznie niższym, „gorzej urodzonym” kusznikom prawa do walki wręcz z rycerzami angielskimi.

Natomiast obszarpani, ubłoceni, na wpół nadzy łucznicy angielscy sprawiają krwawą rzeź rycerstwu francuskiemu. Zwinni, nieskrępowani ciężarem żadnej zbroi, łucznicy wywijają bronią nad swymi głowami, by uderzać z całą mocą muskularnych ramion w hełmy i zbroje, zanim ich przeciwnik zdoła unieść w górę ciężkie ramię. Podbiegają i uskakują, wszędobylscy i nieuchwytni. A każdego, kto upadnie, dopadają natychmiast: na siłę otwierają przyłbicę, dobijając ciosem sztyletu.

Setki Francuzów wdeptano w błoto, ale tysiące walczą nadal. Odważni i uparci przełazą przez stosy trupów własnych, mniej fortunnych druhów.

Jeden rycerz francuski bije się tak walecznie, że zwycięsko odpiera sam jeden kilkunastu atakujących go Anglików, a następnie, skrzyknąwszy towarzyszy, ru-

sza na księcia Gloucester, którego zranił sztyletem leżący na ziemi

Francuz. Widząc brata w niebezpieczeństwie, król zwołuje rycerzy i toruje

sobie drogę do niego poprzez nieprzyjaciół. Chwytają i odciągają księcia, a francuski rycerz pada, ranny ciosem dwuręcznego miecza Henryka.

Ciężko ranny, nie mogąc już się podnieść, Francuz woła:

— Jestem księciem d'Alençon, poddaję się i zdaję na łaskę waszej królewskiej mości!

Henryk podchodzi, by podnieść pokonanego wroga, ale jeden z jego towarzyszy, obawiając się zdrady, zadaje toporem druzgocący cios i zabija Alençona na miejscu — a Henryk traci bogaty okup.

Nie ma już dwóch linii francuskich. Obie się pomieszały i splątały.

Rzeź trwa dalej, ruchy stłoczonych Francuzów paraliżują teraz jeszcze dodatkowo setki zabitych lub umierających pod ich nogami. W trzech miejscach, głównie w pobliżu króla Henryka, oblanego potem, ale walczącego z nie zmniejszoną zaciętością, stosy martwych i rannych wznoszą się wyżej od głów żywych. Takiej rzezi nikt na tym krwawym polu nie widział jeszcze. Francuzi w trzeciej linii, widząc los swych druhów i pojmując w końcu, że nie sposób skutecznie bić się w tym ścisisku, zaczynają rozglądać się dookoła i — cofać z pola walki.

Anglicy przestają się już troszczyć o walkę, chyba, że ich ktoś zaatakuje, natomiast zabierają się do wyciągania jeszcze żyjących rycerzy ze stosów trupów. Szukają takich, którzy prawdopodobnie zapłacą bogaty okup. Przez blisko dwie godziny trwa ta robota, aż zgromadzono na skraju lasu jeńców wartości dziesięciu tysięcy funtów.

Henryk zdjął hełm i łapiąc z trudem powietrze w płuca, zastanawia się, czy powinien przywołać swoich ludzi i kazać im z powrotem stanąć w

ordynku. Nie chce pozbawiać ich uświęconego zwyczajem wojennego

zysku. Jednakże wraz z rycerzami najbliższego otoczenia obserwuje

bacznie ruchy nieprzyja-

ciela i dostrzega, że niektórzy z francuskich jeźdźców z trzeciej linii ani

nie cofają się, ani też nie posuwają naprzód, by się włączyć do bitwy.

— Trzeba zachować ostrożność — mówi król. — Mogą napaść na

nas, kiedy nasi ludzie zajęci są zbieraniem rannych i grabieżą. Widzicie te

grupy rycerzy i kuszników, które wycofały się z walki i rozproszyły po

polu? W lasach pewno się też ukrywają. A co będzie, jeżeli się sformują

do ponownego bardziej potężnego ataku? Jeńcy, bez mieczy, ale nadal w

zbrojach, z łatwością chwycą broń zabitych i przyłączą się do walki,

zachodząc nas od tyłu. Zabiliśmy niemało Francuzów, ale jeszcze jest ich

dość dużo by nas przewyższać swoją liczebnością.

— D'Albret zabity — mówi Sir John Cornwall. — Marszałek

Boucicaut, książęta orleański i burboński wzięci do niewoli. Któżby więc

stanął na czele takiego ataku, którego najjaśniejszy pan się obawia?

— Niczego się nie obawiam — odpowiada ostro król — ale też nie

dopuszczę do tego, by brak przezorności z mojej strony doprowadził do

wydarcia moim dzielnym chłopcom w ostatniej chwili ich wiktarii, ich

łupów, nawet ich życia!

Ledwie skończył mówić, gdy na trzeciej linii dały się zauważyć

wyraźne przygotowania do wznowienia ataku. Dwaj francuscy rycerze,

hrabia Marle i hrabia [Fauquembergh.es](#), którzy groźbami zdołali zatrzymać przy sobie znaczny oddział uciekających rodaków, formują

jeźdźców w szyk. Angielscy łucznicy są rozproszeni po całym polu, ich

ogromne drągi porzucone, połamane, wdeptane w ziemię. Atak silnego oddziału konnicy może się w tej chwili okazać fatalny.

Jednocześnie gromady francuskich chłopów z pikami, kijami i siekierami, zebrane przez trzech rycerzy, którzy wyrwali się z niewoli napadają na tabor angielski, strzeżony tylko przez kilku chorych angielskich żołnierzy. Te gromady zwyczajnie grabią. Okazuje się później, że z osobistych rzeczy króla skradziono cenny miecz, koronę, klejnoty, złoto i srebro.

Tak, jak Henryk się obawiał, sporo jeńców ucieka i zaczyna organizować bandę grabieżców w coś w rodzaju wojska.

W obliczu zagrożenia z dwóch stron, od tyłu i od przodu, Henryk podejmuje natychmiastową decyzję, którą później niektórzy angielscy historycy określą jako „rzeźnicie okrucieństwo”, a francuscy jako „barbarzyństwo” i „niezmytą plamę na honorze angielskich bohaterów”.

— Zabijać jeńców! — krzyczy. — Zabijać wszystkich, prócz tych najwyższej godności!

Anglików jakby grom poraził. Ale zgroza, jaka ich ogarnęła, nie rodziła się z humanitaryzmu. Jednym z powodów, dla których żołnierze wbrew wszelkim niebezpieczeństwom i trudom chętnie idą na wyprawy wojenne w rodzaju tej do Normandii, jest nadzieja wzięcia jeńca, a za niego wysokiego okupu. Wojownicy łączą się w spółki, by dzielić sumę okupu. Kapitanowie mają prawo do jednej trzeciej zysków żołnierzy ze swojej kompanii, król do jednej trzeciej zysków kapitanów, zastrzegając sobie również prawo przejęcia za rozsądnym wynagrodzeniem jeńców o

politycznym znaczeniu — takich jak Boucicaut, Orleańczyk, Burbon.

Henryk, na którego spada główny ciężar finansowania wojny, ściąga okupy tak chciwie, powiadają jego żołnierze, jak wenecki kupiec długi. Ale przyznają, że kiedy król mówi: „za rozsądnym wynagrodzeniem”, to istotnie wypłaca im pokaźne sumy.

Żołnierze ociągają się. Nieśpieszno im wykonać ten rozkaz.

— Każdego, kto odmówi wykonania mego rozkazu, każę powiesić! — woła król.

Nie pozwoli, by większość zdyscyplinowanych ucierpiała za kilku nieposłusznym. Wyznacza kapitana i dwustu ludzi, by dopilnowali wypełnienia okrutnego rozkazu. Robią to dokładnie. Poderżnięto setki gardeł. Podpalono domostwa, gdzie wniesiono rannych jeńców. Mało kto zdołał się wymknąć z pożogi.

Rozkaz króla przejmuje nas zgrozą. Mniej oburzył jego współczesnych, Francuzów czy Anglików. Francuzi piszą o jego postępkach, jako o podyktowanej koniecznością i przypomną sobie, że oni sami w wilię bitwy pod Nicopolis w roku 1397 kazali zabić tysiąc jeńców, bo nie mieli żołnierzy, by ich pilnować. A czyż sam Karol Wielki nie kazał przez zemstę w roku 782 wyciąć w pień cztery i pół tysiąca saksońskich jeńców?

Henryk, bezwzględny tylko z konieczności, był postawiony w obliczu strasznego zaiste dylematu. Zabić jeńców — czyn nieludzki — czy też ujrzeć swoją małą, do tej pory zwycięską armię, nie tylko pozbawioną nadzwyczajnego triumfu nad czterokrotnie liczniejszym nieprzyjacielem,

ale może również wybitą do nogi, bo przecież w owej chwili żołnierze byli rozproszeni, nie sformowani? Jak innym rycerzom swojej epoki, Henrykowi nie zbywa na poczuciu honoru, nawet idealizmie, ale w czasie wojny jest praktyczny, bezwzględny w dążeniu do zwycięstwa i tak nieubłagany, jak Jehowa ze Starego Testamentu. Bóg Henryka ma więcej cech Jehowy, niż Chrystusa. Jeżeli chodzi o osiągnięcie zamierzonego celu: odwrócenia zagrażającej w ostatniej chwili klęski — rozkaz zabijania- jeńców okazuje się skuteczny. Widząc masakrę, Francuzi z trzeciej linii zmieniają zdanie, odmawiają pójścia do ataku pod wodzą Marlego i Fauquemberghesa, a w chwilę później — uciekają. W ślad za nimi rozpraszają się również zgromadzeni wieśniacy. Niebezpieczeństwo mija, król nakazuje przerwać rzeź.

Historyk francuski, René de Belleval w swoim dziele „La Grande Guerre” (1862) pisze o tej bitwie: „Jamais disastre aussi grand n'avait été infligé à la France”. Ogólna liczba poległych po stronie francuskiej pozostaje i pozostanie nieznana, gdyż nikt się nie kłopotał liczeniem wieśniaków i „nieużytecznych sklepikarzy”, którzy oddali swe życie na tym pobojuwisku. Najwyższa ocena sięga jedenastu tysięcy — z pewnością zawyżona. Najczęściej podaje się liczbę zabitych siedem tysięcy, a nawet najniższa z wymienionych znaczyłaby, że zabitych Francuzów nie było mniej od wszystkich wojsk Henryka. Wśród zabitych są: Charles d'Albret, wielki konetabl Francji; de Dampierre, admirał; Antoni książę Brabantu; Edward książę Bar; Ferry de Lorraine; hrabia de Vaudémont; tuziny innych

magnatów i szlachty. Setki jeńców zabito z zimną krwią, ale jeszcze

zostało przy życiu ponad półtora tysiąca Francuzów w niewoli.

Najwyższa liczba strat po stronie angielskiej, jaką się wymienia,

wynosi pięciuset. Ale najpoważniejsze źródła podają stu — a z tego

więcej rannych, niż zabitych. Księżę Yorku, niemłody i tęgi, upadł i

udusił się w swej zbroi. Zginął młody hrabia Suffolk, którego ojciec zmarł

w Harfleur; a także walijski giermek króla, Dafydd ap Llewelyn ap

Flywel, broniąc swego pana, który konającego chłopca pasował na

rycerza.

Król Henryk był bezwątpienia architektem zwycięstwa. Gdyby nie jego

uparta pewność siebie i wiara w opiekę boską, nigdy by do bitwy nie

doszło. Ale w godzinie chwały Henryk usuwa się skromnie w cień —

może celowo. Biografowie niewiele mają możliwości psychologicznego

pogłębienia jego charakteru. Henryk jest prosty, choć wielki w swych

ambicjach, absolutnie pewien siebie, szczerze przekonany o boskiej

opiece. Dopiero w roli dyplomaty zdobywa się na podstępny, maskuje

szczerłość.

Jego żołnierze znowu krążą po skrwawionym polu oziminy, szukając

wartych okupu rycerzy, jeszcze żyjących pod stosami trupów, zdzierając

cenne zbroje z martwych, zabierając kosztowności. Król z grupą rycerzy

przechodzi przez pobojowisko.

— Taktyka Francuzów nie zasługiwała na sukces — mówi — a ich

dyscyplina jest pożałowania godna. Dzięki niech będą Bogu, iż nam

pozwoił wykorzystać ich słabości. A zaraz po Bogu, najwięcej do

zwycięstwa przyczyniła się umiejętność i odwaga naszych szlache-  
tów, angielskich wolnych chłopów.

Jest to bezsprzecznie prawdą. Wieśniacy, rzemieślnicy i dworska służba  
zwyciężyli kwiat francuskiego rycerstwa. Król dobrze wie, że jego słowa  
będą powtarzane w wojsku, że po ich powrocie rozejdą się po całym  
kraju, zyskując mu serca gmi-

nu. Monarchę owych czasów, w dodatku syna uzurpatora, trudno winić o  
to, iż starał się zaskarbić sobie miłość poddanych.

Jeden z tych łuczników, którzy zyskali najwyższą pochwałę z ust króla,  
podchodzi do niego i przyklękając, powiada:

— Miłościwy panie, gdyśmy stali za naszymi drągami i po  
raz pierwszy cięciwy naciągnęli, moi towarzysze i ja zobaczy-  
liśmy wyraźnie świętego Jerzego na niebie nad nami.

Może te słowa także są nie bez ukrytej intencji. Ale król akceptuje je  
bez zastrzeżeń:

— Mój dzielny przyjacielu, nie ma w tym nic dziwnego.

Nigdy nie wątpiłem, że święty Jerzy będzie tu wraz z nami.

Przywołuje teraz wziętego do niewoli francuskiego herolda Montjoie i  
pyta:

— Jak się zwie ten zamek za lasem?

— To zamek Agincourt, najjaśniejszy panie.

— A więc niechaj ta bitwa teraz i na zawsze znana będzie pod mianem  
Bitwy pod Agincourt.

Słowa monarchów, wypowiedziane w chwili zwycięstwa, są zwykle



dobrze pamiętane.

A ponieważ patronem tego dnia był święty Kryspin, więc Henryk nakazuje, aby codziennie jedną z mszy w jego kaplicy odprawiano ku czci tego świętego.

*I dzień świętego Kryspina nie minie,*

*Od dzisiejszego dnia do końca świata,*

*By imię nasze z ust do ust nie brzmiało,*

*Nas, malej, ale szczęsnej garstki braci...*

*Szlachta, dziś w Anglii w miękkim śpiąca łożu,*

*Przekleństwem swoją nazwie nieobecność.*

W rzeczywistości, późniejszym pokoleniom Anglików nie tyle dzień świętego Kryspina przypominał wielką bitwę, ile rocznica bitwy pod Agincourt .przypominała o świętym Kryspinie, który inaczej uległby zapomnieniu.

Przy wieczerzy, najdostojniejsi z jeńców czekają przed kró-

122

lewskim stołem, aż Henryk łaskawym gestem zaprosi ich, by usiedli wraz z nim.

Wszyscy jeńcy mają być niebawem odesłani do Anglii, gdzie będą czekać na wypłacenie okupu. Niesroga to .niewola, chociaż pozostaną lojalnymi Francuzami i odmówią uznania króla angielskiego swoim suwerenem. Najważniejsi spośród nich będą sypiali w łóżach pod baldachimami, na pościeli z najcieńszych płócien Szampanii, obszywanych jedwabiem. Będą mieli własnych lokai, cyrulików,

sokolników i kapelanów. Będą nawiązywali romanse z angielskimi damami. Książę orleański napisze poezje, które wejdą do literatury jego kraju. Ale pieniądze na ich wykupienie będą napływały bardzo powoli. Zwycięska mała armia odpoczywa tylko przez jedną noc, nim znowu ruszy w pochód, otwartą już teraz przed nimi drogą do Calais. Wielu żołnierzy spędziło tę noc na pobojowisku, jeszcze szukając kosztowności, chociaż okoliczni wieśniacy obojga płci obdarli teraz trupy nawet z ostatnich skrawków odzieży. Anglicy posuwają się powoli. Są obładowani łupami. Ich konie i te ze zdobycznych, jakie zdołali pochwytać, dźwigają zbroje Francuzów i różny ekwipunek wojskowy. Wymęczeni ludzie muszą zdobywać prowiant nie tylko dla siebie, ale i dla swoich zazdrośnie strzeżonych jeńców.

Podczas pochodu król często rozmawia ze swymi wysoko urodzonymi jeńcami, ale wątpliwe, aby te rozmowy mogły ich podnieść na duchu albo zyskać sympatię dla Henryka, który rozprawia z pobożnym namaszczeniem, zadowolony z siebie:

— Wiem — mówi król do księcia orleańskiego — że Bóg w swej wszechmocy zesłał mi to zwycięstwo. Nie zasługuję wprawdzie na nie, ale wierzę mocno, że Bóg chciał pokarać moich nieprzyjaciół, czemu się nie dziwię, bo jeśli prawdą jest to, co słyszałem, to nigdzie nie widziano większych nieprawości, folgowania zmysłom i grzeszności od tego, co teraz rozpanoszyło się we Francji, a o czym słuchać strasznie. Więc cierpliwość boska się wyczerpała.

Tak, Henryk nie folguje sobie w niczym, jest czystych oby-

czajów, wstrzemięźliwy i głęboko religijny. Ale choćby najgłośniej podkreślał swoją skromność — jest odpychająco zarozumiały w swej własnej cnotliwości. Teraz wydaje się twierdzić, że nie jego pretensje do drugiego tronu przywiodły go do Francji, ale karząca ręka Boga, który mu rozkazał zniszczyć nową Sodomę i Gomorę.

W trzy dni Anglicy dochodzą do Calais. Tu nagle bardzo zapragnęli pieniędzy: kobiety, wino! Sprzedają więc jeńców kupcom, pośredniczącym w ściąganiu okupu. Ci z kolei, przetransportowawszy jeńców do Anglii, sprzedają ich na służbę w magnackich pałacach albo opactwach. Jest to jakby jakaś dziwna gra. Jeńcy przechodzą z rąk do rąk po cenie oczywiście dużo niższej od wyznaczonego okupu. Ostatni z kupujących ryzykuje, że wyłożone pieniądze nigdy mu się nie zwrócą, a okup za *co* znamienitszych Francuzów bywa tak wygórowany, że ich rodziny niekiedy nie są w stanie zbierać gotówki — o którą francuscy poborcy podatkowi upominają się surowiej niż zwykle, bo trzeba nowe wojsko wystawić — albo też nie chcą doprowadzać się do bankructwa, by odzyskać syna czy stryja. Książę burboński i marszałek Boucicaut umrą w Anglii z braku pieniędzy na zapłacenie olbrzymiego okupu, wyznaczonego za ich wolność. Nawet książę orleański pozostanie w honorowej niewoli przez dwadzieścia pięć lat — aż w końcu wykupi go Maria Cleves, którą zobowiązał się poślubić. Niepewność dotycząca wypłacenia okupu tłumaczy, dlaczego tak często ostatnich jeńców kupowano w charakterze sług: jeśli okup nigdy nie będzie zapłacony, magnat czy biskup, który ich kupił, będzie miał przynajmniej sługę do końca życia.

Król Henryk odbywa triumfalny wjazd do Calais dnia 29. października 1415 r., w dwadzieścia trzy dni od chwili, gdy wyprowadził swoje nieliczne wojsko z Harfleur. Eskortuje go przy wjeździe jeden z najwaleczniejszych i najślawniejszych rycerzy owej epoki — „przeklinający swój los, ponieważ nie był pod Agincourt” — Ryszard Beauchamp, hrabia Warwick, komendant Calais i od wczesnej młodości bliski przyjaciel Henryka. Księża i kapelani przystrojeni w najbogatsze szaty, intonują „Te Deum laudamus”. Kobiety i dzieci śpiewają pieśni powitalne. Anglicy są tu z pewnością mile widziani. Sklepikarze, oberżysci i inni liczą takie ceny za swoje towary i usługi, że zwycięzcy spod Agincourt muszą często wyprzedawać nie tylko swoich jeńców, ale wszelkie łupy, a nawet własne rzeczy.

Tymczasem wieść o zdumiewającym zwycięstwie pod Agincourt, o pogromie najświetniejszego rycerstwa francuskiego dociera do Anglii, witana spontaniczną, powszechną radością. Dzwony biją z każdej wieży kościelnej w każdej wsi i mieście od świtu do zmroku. A książę Bedford, regent na czas nieobecności swego brata, natychmiast, gdy patriotyczne uniesienie jest u zenitu, przeprowadza w rozentuzjasmowanym parlamencie uchwałę o przyznaniu dużego subsydium. Te pieniądze pójdą na przygotowanie następnej ekspedycji. Obecna kampania normandzka opłaci własne koszty.

Jednym z powodów, a być może powodem najważniejszym, dla którego poddani króla Henryka popierają i będą nadal popierać, nawet

pochwalać jego najazdy na Francję — tak wątpliwe z punktu widzenia politycznego i moralnego — jest fakt, że Henryk posiadał rzadko spotykany talent bogacenia się na wojnach. Zaraz po Agincourt zarządza ściąganie podatków, należnych królowi Francji z Normandii, oraz tenut z dóbr królewskich w tej prowincji, razem z dochodami z posiadłości tych magnatów, którzy nie uznali jego zwierzchnictwa. Prócz tego zyski z wojny obejmują daniny, narzucone miastom, które opierały się pochodowi Anglików, okupy — dzielone z wojskiem — łupy zagrabione zabitym, pieniądze za jeńców. Za parę lat do skarbu Henryka będą napływały z podbitych ziem dochody, sięgające prawie jednej piątej wpływów z całej Anglii-

**Dnia** 15. listopada okręt królewski podchodzi do Dover, przy silnym wietrze i śnieżnej zawiei. Niesprzyjająca pogoda nie przeszkadza tłumom mieszkańców, które wyległy na powitanie zwycięskiego wojownika. Gdy podpływa do brzegu w szalupie, młodzi ludzie rzucają się do lodowatej wody i unosząc króla na ramionach, niosą go triumfalnie na piaszczysty brzeg.

Henryk dobrze odegrał swą rolę wojownika. Teraz zabiera się do następnej roli. Ludność oklaskuje nie tylko jego odwagę, ale również skromność, jaka przystoi chrześcijańskiemu rycerzowi, przypisującemu całą zasługę za zwycięstwo Bogu. Tego właśnie Henryk chce, i tak też jest.

Wzdłuż gościńca z Dover do Londynu gromadzą się mieszkańcy miast i wsi, wiwatują i świętują, nie zaniebują Bachusa ani Venus. W

Ganterbury król idzie do katedry — zbudowanej w XI w., później jeszcze uzupełnianej, w owej epoce uważanej przez wielu podróżnych za dorównującą pięknem architektury arcydziełom Francji i Italii — modli się przy grobowcu Tomasza a Beckett, całuje relikwie.

— Bóg i święty Jerzy zesłali mi wiktoryę; spraw, błogosławiony Tomaszu, abym był jej wart.

Londyn świętuje. Fontanny tryskają winem. Lord Mayor -i rajcy miejscy, w szatach szkarłatnych albo czerwonych z białymi kapturami, wyjeżdżają, by według słów kronikarza „wprowadzić zwycięskiego Cezara”. Kamienice spowito w gałązki laurowe, przyozdobiono hołdowniczymi inskrypcjami, obwieszono gobelinami^ przedstawiającymi dawnych angielskich wodzów i królów. Symboliczne statuy, jaskrawo pomalowane drewniane wieże, bogate barwne flagi znaczą drogę triumfalnego wjazdu. Pośrodku Mostu Londyńskiego wystawiono figurę świętego Jerzego z napisem: „Soli Deo Honor et Gloria”. W Cornhill wieżę udekorowano sztandarem z herbami Anglii, wizerunkiem świętego Jerzego i wersem: „Albowiem król położył ufność w Bogu i miłosierdziu Jego: przeto nie pobłądzi”. W Cheapside dwunastu odpowiednio przystrojonych siwowłosych mężczyzn wyobraża apostołów, a dwunastu młodszych monarchów i męczenników Anglii. Wypuszczane ptaki latają **wkoło stadami**, przysiadają na ramieniu króla. Chór, ubrany w barwy purpurowe i złote, intonuje psalm:

*Nowy monarsze możnemu*

*Rzym zaczniście niebieskiemu.*

*On sam jako Bóg prawdziwy*

*Niepodobne czyni dziwy.*

*Okazał co może bojem*

*Wojując za ludem swoim.*

*Jego to moc jego siła*

*Niewysłowiona sprawiła.*

Wydaje się, że mieszczaństwo londyńskie niedokładnie rozróżnia

Stwórcę od Henryka V.

Zwycięski Cezar idzie ulicami pieszo, pokornie. Wielu jego poddanych, którzy tłumnie przyjechali z dalekich nawet stron, ogląda swego suwerena po raz pierwszy. Ciekawie przypatrują się jego gęstym brunatnym włosom, krótko przystrzyżonym z tyłu i z boków dla większej wygody pod hełmem; jego wargom kształtnym, bardzo czerwonym; nosowi długiemu, prostemu; postaci wysokiej i szczupłej, pobożnemu wyrazowi twarzy, oczom wzniesionym ku niebu, lub skromnie w dół spuszczone, nie krążącym ze świecką lekkomyślnością po tłumach. A tłumy wiedzą, że król nie zezwolił, by tego dnia śpiewano pieśni ku jego czci, nie zgodził się, by niesiono przed nim jego pogięty hełm i skrzywiony miecz, jak planowali rajcy. Ale gdy uroczystości dobiegną końca, nawet królewskie zakazy nie przeszkodzą komponowaniu na jego cześć ballad, śpiewanych wzdłuż i wszerz Anglii i Walii.

Triumfy Henryka w połączeniu z jego ostentacyjną skromnością podbiły serca poddanych. Nigdy przedtem żaden monarcha angielski w tak krótkim czasie nie osiągnął tak wiele, jak ten król w Normandii. Ile by

w zwycięstwie pod Agincourt nie zawdzięczano nierozsądnej taktyce, lekkomyślności i niesubordynacji Francuzów, tym niemniej za sprawą Henryka w ciągu trzech miesięcy położono podwaliny podboju bogatej prowincji, zdobywając ważne miasto i w jednej jedynej bitwie zadając decydującą klęskę przeciwnikowi. Zdumiewa się cały świat chrześcijański, skłonny do wywyższania triumfów wojennych ponad wszelkie inne zalety. Gdy Henryk powróci do Normandii, a już ogłosił, że powróci — uczyni to jako wódz, budzący strach i respekt, wódz, z którym zmierzyć się w walnej bitwie będą się bali nawet najodważniejsi. Syn uzurpatora dowiódł swych walorów jako wojownik i wódz. Jeszcze się okaże, jak będzie rządził krajem i jakim potrafi być dyplomata jako monarcha. Zresztą, nieobce mu są kręte ścieżki, konflikty i podstępny polityki europejskiej.

## *Część druga*

### **KORONA**



# ANGLII

## *Rozdział VII*

### **KSIĄŻĘ W ARESZCIE**

Ubogi krawiec, nazwiskiem John Bradley, leżał na ziemi ze skrepowanymi nogami, a ręko ma przywiązany mi wzduż ciała. Obok niego układano wiązki słomy i chrustu wokół grubego pala. Działo się to w Smithfield. Napierające tłumy odpychało kilku tęgich pacholków, bez ceregieli wymierzając razy kijami. A tłumy zebrały się gęste i jeszcze ich przybywało.

W Smithfield, na przedmieściu Londynu, odbywały się bardzo różnorodne rozrywki, często okrutne i brutalne, jak szczucie niedźwiedzi.

Tego letniego dnia roku 1409 miał się odbyć szczególnie dla wielu podniecający spektakl: palenie na stosie heretyka.

W tłumie nie brakło takich, którzy szli pieszo wiele mil, byle nie pominąć widowiska. Chcieli się na własne oczy przekonać, czy bezsilna ofiara religijnych prześladowań zniesie swój straszliwy los z przerażająco wykrzywioną twarzą, przegryzając do krwi zębami własne usta, by nie krzyczeć; czy może, jakby rzeczywiście podtrzymywana jakąś niewidzialną siłą, będzie spokojnym obliczem i poruszającymi się w modlitwie wargami wyzywać płomienie, skaczące ku piersi, jak jadowite węże; czy też, gdy koszula już się obróci w popiół, stopy w węgiel, a skóra czernieje, będzie za późno nieludzkim wrzaskiem odwoływać swoje wierzenia, uznane za heretyckie.

Nie wszyscy w tłumie byli po stronie katów. Tu i ówdzie

zaczerwienione oczy, ukryte w chustkach twarze świadczyły o sympatii dla Johna Bradleya. Ci mężczyźni i kobiety wyznawali po kryjomu heretyckie poglądy, podobne do tych, jakie głosił skazaniec. Opłakiwali go, a zarazem opłakiwali siebie wiedząc, że gdyby ich wezwano przed sąd arcybiskupa i gdyby bronili swych wierzeń z tak odważnym uporem, jak ów krawiec, stanęliby w obliczu takiej samej tortury i śmierci. Ale gdyby okoliczności się odwróciły i gdyby oni mieli sądzić jego przewielebność — nie okazaliby więcej miłosierdzia ani tolerancji.

Bradleya i jego sympatyków — a jak mówiono, zaliczał się do nich co drugi mieszkaniec Anglii — znano pod nazwą lolardów. Podobne poglądy głosili w Czechach husyci. Oba te ruchy pod względem wierzeń religijnych wywodziły się z nauk, głoszonych przez tego samego kaznodzieję, angielskiego ewangelistę Johna Wycliffe'a.

Opublikowany w 1395 roku manifest lolardów stwierdzał, że Kościół, który posiadał rozległe majątki ziemskie, ściągał chciwie dziesięciny, brał pieniądze od ubogich wieśniaków za chrzty, pogrzeby i modły, nie mógł być Kościołem Chrystusa i jego apostołów. Dalej stwierdzał, że celibat doprowadzał do wynaturzeń u księży i mnichów, a do mordowania dzieci u zakonnicy; że przemienienie jest wymysłem, prowadzącym do bałwochwalstwa; że mitry, krzyże i szaty liturgiczne, wraz z obrazami i posągami w kościołach, zachęcają do wiary w czarno-księstwo; że spowiedź rodzi arogancję księży i wcale nie jest konieczna do zbawienia; oraz że wojny sprzeciwiają się naukom Nowego Testamentu, są jedynie grabieżą i mordowaniem biedaków dla większej chwały królów i rycerzy.

Na uniwersytecie w Oksfordzie tezy lolardów obudziły przychylnie zainteresowanie. Wśród arystokracji niejeden zachęcał kaznodziejów, opierających się na ewangelii. Grupa posłów do parlamentu — potajemnych sympatyków lolardów — zgłosiła wniosek w Izbie Gmin, żądający konfiskaty bogactw, zgromadzonych w rękach biskupów, opatów i przeorów. Dowodzono, że w ten sposób uzyskane sumy mogłyby utrzymać piętnastu hrabiów (czyżby tego potrzebowali?), półtora tysiąca rycerzy, sześć tysięcy dwustu szlachciców, sto szpitali — i jeszcze by zostało dwadzieścia tysięcy funtów dla skarbcza królewskiego.

Lolardowie cieszyli się największym poparciem wśród nowo powstających warstw przemysłowych. Ci ludzie posiadli już sztukę czytania i mogli sami odczytywać podawane z rąk do rąk potajemne tłumaczenia wyjątków z Pisma Świętego, przede wszystkim z opisami życia i nauk Chrystusa i apostołów. Oburzenie na panującą w Kościele korupcję pogłębiło się po Wielkiej Schizmie. Jak można wierzyć, zapytywano, w kościół i papieża, prawdziwego następcę świętego Piotra, utrzymywanego ze składek biedoty, skoro tych papieży jest naraz trzech?

Lolardowie, znowu podobnie jak husyci, z dysydentyzmem religijnym łączyli walkę o swobody społeczne, ekonomiczne i polityczne.

Nie zwracali się przeciw królowi; raczej przeciw uciskowi feudalnych panów. Jednakże oczywiste było, że dygnitarze, książęta i suwereni nie mogli przychylnym ani pobłażliwym okiem spoglądać na lolardów, wzrastających w siły. Arcybiskup Arundel przeprowadził opublikowanie

w Oksfordzie surowych edyktów przeciw herezji. Zadał również dotkliwy cios duchownym ewangelistom edyktem, który głosił: nie wolno wygłaszać kazań bez zezwolenia biskupa; zabrania się Świeckim kaznodziejom krytykować lub upominać kler; a tłumaczenia Pisma Świętego i Biblii na angielski oraz wszelkie pisma lolarców, jako nielegalne, miały podlegać zniszczeniu.

Król Henryk IV, a tym bardziej jego syn, książę Walii, życzyli sobie zakończenia Wielkiej Schizmy i ponownego zjednoczenia świata chrześcijańskiego. Osobiście — i tylko w pewnej mierze — uznawali potrzebę reformy Kościoła, zwłaszcza z powodu korupcji i światowego trybu życia duchowieństwa. Jednakże zasadniczo pozostali lojalni w stosunku do Kościoła, uważali obecną kompromitującą sytuację za rzecz chwilową, nie kwestionowali, czy papież zasiadający w Watykanie jest prawdziwym następcą świętego Piotra, a już z pewnością nie pochwalali ruchu, który potępiał wojnę. W ich oczach każdy heretyk naruszał ład królestwa i był potencjalnym, jeśli nie aktualnym rebeliantem.

Toteż książę Walii, przewodnicząc radzie koronnej — sprawował właściwie urząd premiera, chociaż jeszcze minie parę wieków, nim to określenie wejdzie w użycie; na razie członkowie rady nie mają władzy wykonawczej, a tylko doradczą — zabronił izbom parlamentu głosować nad wnioskiem anty-klerykalnych posłów. I gdy John Bradley czekał, leżąc na ziemi, dokończenia przygotowań do męczeńskiej śmierci, książę z otaczającą go świtą młodych dygnitarzy przyjechał na miejsce kaźni w Smithfield.

W tłumie zapadła nagle cisza na widok powszechnie lubianego młodego księcia, zaledwie dwudziestodwuletniego, który zsiadł z konia i nakazawszy czekać towarzyszom, poszedł prosto do miejsca, gdzie leżał związany krawiec i przykląkł obok niego na jedno kolano. Zanim jednak zdołał coś powiedzieć, Bradley uprzedził go:

— Wasza książęca mość przyszedłeś, by szydzić ze mnie w godzinie mojej próby. To nie po rycersku i nie w zgodzie z reputacją opiekuna ubogich i uciśnionych, jaką wasza książęca mość się cieszy.

— Mylisz się, mój przyjacielu — odrzekł książę. — Przyszedłem tu po to, by ocalić ciebie od śmierci, którą ty w swym zaślepieniu chcesz uważać za wzniosłą, ale która spotyka przestępców, zdrajców i wrogów matki naszej, Kościoła Świętego. Zaklinam cię na miłość, którą, jak powiadasz, żywisz do Jezusa Chrystusa, i na twoją wierność królowi — w co nie ośmielam się wątpić — abyś rewokował twoje dysydenckie deklaracje.

— Czy chciałbyś wasza wysokość, bym ratował moje ciało, a poświęcił duszę? — spytał Bradley.

— Nie, przyjacielu, bo gdy twoje ciało tutaj spłonie, twoja dusza będzie płonęła w piekielnym ogniu przez całą wieczność.

— Jeśli już wasza wysokość tak dba o moje ciało, jak powiada, to proszę kazać przeciąć moje więzy i puścić mnie wolno.

— Abyś kontynuował głoszenie twoich nauk i wyprowadzał innych ludzi na drogę do piekła, do którego tobie samemu w tej chwili niedaleko? Nigdy. Dbam o twoje ciało, ale więcej dbam o twoją duszę. Rewokuj, a

ocalisz się. Wszystko ci będzie wybaczone, a z mojej własnej kiesy zabezpieczę ci dostatnie życie...

— Które miałbym spędzić — przerwał mu krawiec — waląc łbem o ścianę z rozpaczy nad moim tchórzostwem!

W oczach księcia krawiec był heretykiem, a na jawnych i nieskruszonych heretyków tylko jeden mógł być wyrok w owych czasach.

Dysydenci sami wiedzieli o tym i zawczasu hartowali wolę w oczekiwaniu swego losu; wierni przyjmowali to jako rzecz nieuniknioną i oczywistą. Księżę szczerze zapewne chciał, według własnych pojęć, uratować duszę Bradleya, a zarazem wiedział, że rewokacja tutaj, w obliczu przypatrujących się tłumów dysydentów i wiernych, sprowadziłaby wielu wahających się lolardów na łono Kościoła.

— To twoja ostatnia szansa — powiedział.

Bradley odwrócił głowę, spojrzął na już gotowy stos i pachołków, stojących z zapalonymi pochodniami.

— Wykonajcie wyrok — rozkazał księżę.

Stał, przyglądając się, jak zaciskano sznury wokół upartego męczennika, przymocowując go do słupa. Gdy płomienie buchnęły wokół niego, Bradley stchórzył na chwilę i krzyknął:

— Wasza wysokość! Łaski!

— Ugaście ogień! — zawołał księżę.

Przytłumiono płomienie, a księżę znowu zaczął go zaklinać:

— Rewokuj! Rewokuj, a każę przeciąć więzy, dotrzymam obietnic !

Ale krawiec już odzyskał odwagę, zaciął zęby i przecząco potrząsnął głową.

Książę patrzył, jak odważnie krawiec zniósł mękę i agonię.

Późniejszym, bardziej humanitarnym pokoleniom, ogarniętym zgrozą wobec okropności Inkwizycji, odmowa księcia ułaskawienia go bez rewokowania będzie się wydawać wyrachowanym okrucieństwem.

Inaczej to przyjmowali jego współcześni — tłumy zebrane na Smithfield, książęca świta. Książę przyjechał osobiście, by spróbować ocalić życie — jeśli skazany mógł kogokolwiek usłuchać, usłuchałby jego. Przyjechał, by ocalić nie tylko jedną duszę, lecz wiele dusz. Henryk wierzył tak, jak nauczał Kościół. Musiał tego dowieść — tym bardziej, ponieważ wśród rycerzy, którzy lojalnie wojowali pod jego wodzą w Walii byli sympatycy lolardów, jak na przykład Sir John Oldcastle, a chociaż się jeszcze jawnie nie zadeklarowali, wieści o tym szerzyły się po kraju. Szerzyły się więc również podejrzania, że znana pobożność księcia także ma odcień herezji. Gdyby ułaskawił krawca bez rewokowania, podejrzania zyskałyby na sile. Wiara Henryka i jego nienawiść do herezji będą za parę lat poddane jeszcze cięższej próbie. Już wtedy król, będzie tym bardziej popierał religię ortodoksyjną, sprzyjającą jego doczesnym ambicjom. A lolardzi potępia wojenne zamierzenia swego suwerena jako sprzeczne z nauką Chrystusową, a jego powoływanie się na pomoc i opiekę Boga uznają za bluźnierstwo.

Czystość ani ład nie cechowały ulic Londynu, dokąd książę,

powszechnie lubiany, a tym bardziej po sukcesach militarnych, powrócił z

Walii. W Westminsterze, przy narożnikach wspaniałych pałaców, okaleczeni żebracy nadaremnie wołali o jałmużnę, oczekując miłosierdzia od jakiegoś opasłego, obwieszzonego klejnotami opata, który przejeżdżał w otoczeniu licznej świty, podnosząc do nosa gałkę z wonną pomadą, by ode-gnać wstrętne odory. W pobliskich dzielnicach handlowych bogato przystrojeni kupcy, czasem eskortując swoje małżonki, przechadzali się nie dbając o hałaśliwe kłótnie czeladników i dźwięki dzwoneczków ulicznych sprzedawców, nawołujących przeciągle: „Gorące bułeczki! Gorące bułeczki!”

Kanie, kruki i inne drapieżne ptaki były jedynymi czyścicielami miasta. Mało które z ulic szczyły się brukami, żadna jeszcze nie posiadała krawężników ani chodników. Błoto zbierało się na nierównej nawierzchni, rozchlapywane na przechodniów przez konie juczne albo połyskujące bogatymi rzędami wierzchowce wojowników. Po niektórych zaułkach trudno było przejść nawet pieszo. Tu, z uliczek tak wąskich, że z przeciwległych balkonów można sobie było podać ręce, wypadła niekiedy dziewczyna z podartą bluzką na obnażonych piersiach — a za nią paru pijanych mężczyzn.

Wielce szanowni mieszczanie w ważnych i poważnych sprawach ośmielali się czasami zapuszczać w takie mroczne dzielnice miasta za dnia; ale po zapadnięciu zmroku mało kto wyzywał złodziei i rzezimieszków, sprzymierzonych z ladacznicami, które potrafiły uwodzić lekkomyślnych a pożądlivych. Nieszczęśnicy, zmuszeni jakimś szczególnym nakazem okoliczności do nocnej wyprawy, torowali sobie



drogę po omacku, w zupełnych ciemnościach, rozjaśnionych tylko blaskiem latarni na kościele Bow — jedynym nocnym drogowskazem dla błądzącego wędrowca.

Księżę Walii utrzymywał własny dwór w pałacu zwanym „Coldharbour”, w dzielnicy Eastcheap, w pobliżu Tower. Był ulubieńcem mieszkańców stolicy, pod względem popularności przewyższając ojca.

Niegdyś urodziwy, śmiały aż do zuchwałości, awanturniczy Bolingbroke

był teraz znużonym, schorowanym królem, cierpiącym na jakąś bliżej

nieokreśloną dolegliwość, nazywaną „humorami”. Medycyna nadal

trzymała się teorii, że wszystkim ostatecznie rządzą cztery żywioły:

ziemia, powietrze, ogień i woda. Odpowiadają im w organizmie ludzkim:

krew, czarna żółć, zielona żółć i flegma. Dopóki te składniki znajdowały

się we właściwych proporcjach, dopóty człowiek zażywał zdrowia na

ciele i umyśle. Brak lub nadmiar któregoś z nich wywoływał

„humory”, a pacjent stawał się

melancholiczny lub sangwiniaczny, choleryczny lub flegmatyczny. Król

cierpiał na humory choleryczne i melancholiczne. Lekarze późniejszych

epok prawdopodobnie postawiliby inną diagnozę na podstawie jego

symptomów, choroba weneryczna, której zapewne się nabawił w jednej ze

swych awanturniczych wypraw na kontynent za młodych lat.

Król trzymał jeszcze w ręku ster rządów, ale dwór jego był oszczędny i

nudny, on sam rzadko kiedy pokazywał się mieszczanom londyńskim, a

tym mniej swoim poddanym na prowincji. Parlament wychwalał księcia

za posłuszeństwo wobec ojca, za odwagę i gotowość słuchania

doświadczonych doradców. Książę skromnie, ale nie bez świadomego celu, przypisywał zasługę za zwycięstwa w Walii dobrem radom swego kuzyna, Edwarda księcia Yorku. Chwalono też młodzieńca za wielkoduszność i lojalność. Kupcy wynosili go pod niebiosy, bo z niezwykłą punktualnością regulował wszystkie należności. Na jego widok na ulicach odkrywano głowy, fałdziste spódniczki rozkładano w niskich dygach, a on zawsze odpowiadał uprzejmie, wesoło, żywo, bez cienia wyniosłości :

— Boże wam błogosław, zacni przyjaciele! Niech się wam dobrze dzieje!

W łonie rady koronnej istniały dwa stronnictwa, oba lojalne, lecz różniące się często pod względem polityki i procedury. Na czele jednego stał arcybiskup Arundel, a członkowie zaliczali się do ludzi dojrzałych wiekiem. Wyjątek stanowił drugi syn królewski, Tomasz, książę Clarence. W dość odrażającej kłótni o jakąś sprawę finansową z biskupem Beaufortem, książę Walii poparł biskupa przeciwko swemu bratu, z czego wynikło chwilowe ochłodzenie braterskich stosunków.

Przywódcami drugiego stronnictwa, złożonego z ludzi młodszych, byli dwaj zdolni i rozumni bracia przyrodni króla: biskup Henryk Beaufort i Sir Tomasz Beaufort, niebawem mianowany hrabią Dorset. Popierał ich Ryszard Beauchamps hrabia Warwick — nazwany później przez cesarza Zygmunta pierwszym rycerzem Europy i niedoścignionym w kurtuazji

—  
dalej hrabia Arundel, bratanek arcybiskupa, oraz Henryk Chi-cheley

podówczas biskup Św. Dawida. Wszyscy oni byli bliskimi przyjaciółmi księcia Walii i trzymali jego stronę w debatach rady koronnej.

W roku 1410 arcybiskup Arundel zrezygnował ze swego świeckiego dygnitariatu — był Lordem Kanclerzem — a jego miejsce zajął Sir Tomasz Beaufort. Zdrowie króla pogarszało się, mniej zajmował się sprawami państwa i wobec tego nie docenił początkowo siły stronnictwa, zgrupowanego wokół Beaufortów. Posłał po księcia Walii.

— Miałeś pod dostatkiem sposobności zdobycia eksperyencji jako wojownik i wódz — mówił. — Teraz, mój synu, powinieneś poświęcić się nauce sztuki rządzenia. Będziesz przewodniczył debatom mojej rady. Gdy choroba mi nie pozwoli poświęcać tyle czasu sprawom wagi państwowej, ile bym chciał, odpowiedzialność zaciąży na tobie. Masz wielu rozumnych doradców, a ja ufam twojemu rozsądkowi i twojej gotowości słuchania cennych opinii.

Książę zdawał sobie sprawę, że jego pojęcia o rządzeniu — zwłaszcza w sprawach polityki zagranicznej — nie zawsze harmonizowały z poglądami króla. Ale ufał, że potrafi nakłonić ojca do swego punktu widzenia, więc nie deklarował się zbyt jawnie — tym razem sprzeniewierzając się swojej tak często podkreślanej prawdomówności i szczerości.

— Sire, wielki ciężar kładziesz na moje barki — powiedział. — Ale zrobię, co w mojej mocy, by mu podołać, a zawsze pozostanę twoim wiernym i lojalnym sługą.

Istotnie, pozostał lojalny, chociaż nie zawsze zyskiwał aprobatę króla.

Chwilowo stronnictwo księcia Walii, razem z braćmi Beaufortami, miało oczywistą przewagę. Księżę poważnie brał swoje obowiązki. Bardzo rzadko opuszczał posiedzenia rady koronnej, a nigdy bez słusznego powodu. Jak niegdyś w Walii, tak i teraz w Londynie, jego pierwszą troską były sprawy finansowe. Zakomunikował w parlamencie, że skarb królewski jest pusty — co po części wynikało z kosztów kampanii w Walii.

Korona rozporządzała różnymi źródłami dochodów, niezależnymi od uchwały parlamentu. Do takich należały wpływy za kontrolę handlu sukniem, konfiskaty majątków ludzi, którzy umarli bez testamentu i bez dziedziców, dochody z królewskich ziem — czasem zarządzanych przez administratorów, czasem wydzierzawianych — dochody z ceł, stałe podatki, grzywny wymierzone przez sądy i taka przypadkowa manna z nieba, jak sumy, wpłacane zgodnie z traktatem pokojowym. Podatki nadzwyczajne musiały być uchwalone przez parlament, który nie kwapił się do tego, o ile nie było pewności, że wszystkie zwykłe dochody sprawnie pobierano i odpowiednio użytkowano. Posłowie ciągle podejrzewali doradców króla o wzbogacanie się jego kosztem — procedura znana jako „zrywanie gruszek z królewskiego sadu i nawet oblizywanie liści”. Równie często parlament narażał się na oskarżenia o sympatyzowanie z lolardami z powodu zakusów na własność i gotówkę, należącą do Kościoła.

Księżę zażądał od parlamentu uchwalenia dożywotniego rocznego subsydium dla króla. Posłowie byli zbyt przebiegli, by się na to zgodzić.

Jeżeli król będzie miał dość pieniędzy, może uznać, że zwoływanie parlamentu jest zbyteczne. Zaaprobowali więc przedstawione przez księcia dochody i wydatki skarbu, ale uchwalili subsydium tylko na dwa lata. Po tym okresie trzeba się ponownie zwrócić do parlamentu, który dzięki temu zatrzymał w ręku broń, pozwalającą mu żądać naprawienia krzywd, jakie mogłyby powstać. Bez usunięcia powodu do skargi — nie będzie pieniędzy.

Książę Henryk nie zwykł się kłócić z tak ważną instytucją, jak parlament. Jego ojciec był uzurpatorem, nadal uzależnionym od poparcia legislatury. Przyjął więc, co mu dano, z odpowiednio wyrażoną wdzięcznością, i zajął się innymi sprawami. A miał» dosyć problemów, takich, z którymi będzie się zmagał przez całe życie, jak na przykład:

rozwiązanie

tymczasowo

zawieszono,

ale

bynajmniej

nie

rozstrzygniętego konfliktu z Francją, znanego później w historii pod

mianem wojny

stuletniej, rozpoczętej, przez Edwarda III i jego chytrze wykombinowaną

pretensję do tronu francuskiego, sporadycznie podtrzymywanej w nie

mniejszym stopniu przez francuskie waśnie wewnętrzne — głównie,

choć z wariacjami, Arma-niaków przeciw Burgundczykom — co i

przez angielską wojowniczość, a zakończonej dopiero wtedy, gdy Joanna d'Arc zastąpi lojalność wobec stronnictw odrodzonym duchem patriotyzmu w swojej ojczyźnie.

Konflikt był charakterystyczny dla epoki, kiedy w całej Europie nawet dyplomacja była jednym z aspektów wojny, prowincje przechodziły z rąk do rąk wskutek gróźb lub jako zdobycz wojenna, niepodległość narodową utrzymywano tylko walką z nieustannie zagrażającymi agresorami, a władzę na danym skrawku ziemi zagarniał ten, który wraz ze swym wojskiem zabił największą liczbę rywali. Książę Henryk nie będzie wyjątkiem. Jego ambicje i jego wyborne aktorstwo zaprowadzą go daleko ponad zwykłą rację stanu — prócz tego, że podstawową racją stanu było zjednoczenie narodu w wysiłku dla osiągnięcia wspólnego celu - - a jego osobiste zdolności pozwolą mu osiągnąć to, czego jego syn i następca nie potrafi utrwalić.

Ważnym problemem było również przywrócenie jedności w Kościele.

W całej Europie oznaczało to konieczność zakończenia Wielkiej Schizmy — trudne zagadnienie polityczne w epoce, kiedy dobro państw chrześcijańskich zaczynało zastępować dobro chrześcijaństwa. W samej Anglii jedność Kościoła wymagała przede wszystkim stłumienia ruchu lolardów. Bezkompromisowej i pobożnej surowości księcia wobec lolardyizmu nic nie mogło złagodzić.

Nie zarysowały się różnice między stronnictwem królewskim a

książęcym w radzie koronnej, gdy chodziło o utrwalenie dynastii

Lancastrow lub przywrócenie jedności w Kościele. Różnili się dopiero w

sprawie stosunku do Francji. W niespokojnych, początkowych latach swego panowania, król Henryk IV starannie unikał zadrażnienia sąsiada zza Kanału, pominął nawet milczeniem pomoc, jaką Francuzi okazywali Glyn Dwrowi. Ale teraz w Anglii zapanował spokój, a we Francji waśń Armaniaków z Burgundczykami doprowadziła właściwie do wojny domowej, do zabijania, grabienia i terroryzowania mieszkańców wsi i miast. — Nie wymaga w obecnej sytuacji wielkiego trudu — podszeptował księciu biskup Beaufort — wygrywanie Burgundczyków przeciw Armaniakom.

A  
Anglia  
może  
zgarniać  
owoce  
ich  
kłótni.

Król i książę byli tego samego zdania. Nie zgadzali się tylko co do tego, którą z francuskich facji należałoby popierać. Książę faworyzował Burgundczyków, jego ojciec Armaniaków. Początkowo ta różnica zdań nie miała wielkiego znaczenia, bo obie francuskie facje zabiegały o przyjaźń Anglii. Król postawił wysokie żądania: miała mu być oddana cała Akwitania, rozległe terytorium na południe od Loary razem z księstwem Normandii; prócz tego domagał się pomocy w utrzymaniu w

rękach Anglików portów Calais i Bordeaux. Od Burgundczyków zażądał jeszcze córki księcia ze znacznym posagiem na przyszłą małżonkę księcia Walii; od Armaniaków — córki króla Francji, Katarzyny, z jeszcze większym posagiem. Wówczas po raz pierwszy złączono imię Katarzyny z człowiekiem, który, by ją ostatecznie dostać za żonę, miał podbić znaczną część Francji.

Negocjacje z Armaniakami zakończyły się fiaskiem. Z Burgundią — nieokreślonymi obietnicami z obu stron. Tymczasem „humory” króla kazały mu się ponownie wycofać ze sceny. Książę, nieoficjalnie, ale w rzeczywistości sprawujący władzę regenta, oznajmił radzie koronnej : — Proponuję, byśmy dowiedli księciu Burgundii, że jesteście my rzetelnymi, użytecznymi aliantami i że tego samego po nich oczekujemy. Poślemy mu na pomoc wojsko. Niezbyt liczne, tyle tylko, by wypróbować jego skuteczność.

Rada poparła ten projekt z satysfakcją. Dygnitarze byli zdania, że już najwyższy czas oczyścić rdzewiejące miecze rycerzy

142

i przypomnieć Francuzom o umiejętności angielskich łuczników.

Wyprawa, pod wodzą hrabiego Arundela, osiągnęła nietrudny sukces. Po paru miesiącach sporadycznego wojowania, przy czym książę Burgundii ani rusz nie mógł się zdecydować, czy zaatakować Armaniaków na serio, czy też im tylko trochę pogrozić — Arundel ze swymi żołnierzami wrócił do kraju. A tymczasem Henryk IV nieoczekiwanie ozdrowiał. W obawie zrażenia Armaniaków kazał wysłać im na pomoc a przeciw



Burgundczykom księcia Clarence z tysiącem żołnierza. Od razu się okazało, jak zmiennymi sprzymierzeńcami są Armaniakowie, gdyż zaledwie Clarence dotarł do Francji, zmienili zdanie i uznali, że im żadna pomoc niepotrzebna. Wystrychnięty na dudka i zirytowany, Clarence zabrał się do rabowania wiosek i nieobronnych miast, aż Armaniakowie sprzymierzyli się z Burgundczykami, by mu wspólnie zapłacić okup w wysokości 150 tys. koron w zamian za szybki powrót do Anglii.

Księżę trafniej wybrał, stawiając na Burgundczyków. Melancholiczne i choleryczne humory króla bynajmniej nie uległy poprawie po aferze z Armaniakami, a jeszcze się pogorszyły wskutek fałszywego posunięcia, które doradził księciu zwykle tak rozsądny biskup Beaufort. Podsunął mianowicie księciu myśl, aby ten zaproponował ojcu, żeby wobec nawracających „humorów”, które go obezwładniały, formalnie abdykował na rzecz syna. Księżę stanowczo i z pewną gwałtownością odrzucił sugestię.

— Jestem lojalnym synem i poddanym mego ojca. Kiedy jest chory, postępuję tak, jak mi się wydaje najlepiej dla królestwa. Ale nie uczynię czegoś takiego, jak zajęcie jego miejsca, zanim Bóg wyznaczy czas.

Biskup wiedział, że w kraju życzono sobie młodego, energicznego władcy zamiast starego i schorowanego. Tak więc, bardzo nietaktownie — bo Henryk ledwie przekroczył pięćdziesiątkę, a nawet siwowłosi weterani nie lubią, gdy im się mówi, że są za starzy — Beaufort osobiście podsunął propozycję abdykacji królowi, który zareagował gniewem.

Choroba

uczyniła go podejrzliwym, wydało mu się, że dostrzega spisek. Rozbił więc stronnictwo młodych w radzie. Na miejsce Sir Tomasza Beauforta sprowadził z powrotem arcybiskupa Arun-deła, jako Lorda Kanclerza. Pechowego mąciwodę, biskupa, odesłano do jego biskupstwa w Winchesterze.

Daremnie książę wstawiał się za przyjaciółmi, zapewniał o ich lojalności. Wreszcie, wobec nieubłaganego stanowiska ojca, on sam usunął się chwilowo z rady.

Te ważne zmiany odbyły się bez jawnych oznak niezgody. Król i rada publicznie dziękowali księciu za jego lojalną pracowitość w interesie ojca.

Kraj wiedział, że książę nie żywił żadnych podstępnych zamiarów, lecz po prostu, ponieważ był lubiany, przewyższył popularnością swego ojca.

Jednakże nie zabrakło różnych pieczeniarzy, którzy gotowi byli mącić wodę. Najpierw próbowali obudzić zawiść w królu, zwracając jego uwagę na fakt, że dwór jego syna przyciąga mnóstwo osób, że bywają tam najwybitniejsze umysły królestwa, podczas gdy do pałacu królewskiego mało kto zagląda, prócz dygnitarzy, którzy to czynią z urzędu. Podstępni plotkarze najpierw podkreślali hojność, z jaką książę podejmował swoich gości, a potem szeptali — dosyć głośno i niejednemu — że książę skierował na własny użytek strumień złota, uchwalony przez parlament dla skarbu królewskiego.

Echa tej oszczerczej kampanii szybko doszły do księcia. Zareagował równie gwałtownie, jak jego ojciec na propozycję abdykacji. Szekspir włożył w usta króla takie słowa o młodym Henryku :

*Ma łzę na litość, a dłoń jego szczodra*

*Jakienne światło jest dla miłosierdzia;*

*Lecz rozgniewany, twardy jest jak krzemień,*

*Chmurny jak zima, a nagły jak mrozy*

*W pierwszych dniach wiosny rosę ścinające.*

Książę wyjechał do Coventry i stamtąd słał gońców na cały kraj, do rycerzy, magnatów i szeryfów, by odpierali oszczerstwa.

— Mój ojciec nie uwierzy w takie kalumnie — powiedział do Sir Tomasza Beauforta. — Ale zażądam szczegółowego dochodzenia, które ujawni prawdę, a ta jest krańcowo sprzeczna z tym, co ci łgarze o mnie opowiadają.

Do Coventry zjechało się od razu wiele szlachty i arystokracji, więc książę przybył do Londynu na czele tak licznie zgromadzonego rycerstwa; notuje jeden z kronikarzy, „że nie widział podobnego w naszych czasach”.

W tym bardzo wyraźnie się ujawnił talent księcia do spektakularnych widowisk. Przewidywał już przyszłość, gdy jako panujący monarcha będzie potrzebował sympatii i poparcia wszystkich sfer królestwa.

Głosząc pełne zaufanie do swego ojca, wolał jednak nie ryzykować.

Zostawiwszy swoich popleczników na dziedzińcu królewskiego pałacu, książę energicznym krokiem poszedł do komnat ojcowskich. Nie był to bunt, ale na to się zanosilo. Książę powtórzył wszystkie rzucane na niego oszczerstwa, o jakich słyszał, królowi — który dobrze o nich wiedział — i zaprotestował:

— Boga biorę na świadka, że byłem i jestem, jak dobrze

wiesz, Sire, i zawsze będę, wiernym sługą korony i kraju. —

Przykląkł i ucałował rękę królewską z niskim pokłonem. Po czym dodał: — Proszę o jedną tylko łaskę: o nakaz wszczęcia pełnego i szczegółowego śledztwa w sprawie tej kampanii oszczerstw i kłamstw, aby udowodnić ich fałsz!

Król się uśmiechnął:

— Za mało ufasz memu zdrowemu rozsądkowi, synu. Moje zaufanie do ciebie jest równie niezachwiane, jak twoja wypróbowana lojalność

wobec

mnie.

—

Wskazał

ręką

na

okno,

pro

wadzące na dziedziniec i mówił dalej: — Te twoje kohorty

nie były potrzebne. Każ im się rozejść, ale najpierw powiedz

im, że wysoko cenię ich lojalność wobec Domu Lancastrów,

reprezentowanego

przez

twoją

osobę.

Owszem,

zarządzimy

śledztwo, jeśli sobie życzysz, i niech je prowadzi parlament.

Śledztwo istotnie wykazało, że prawda była przeciwieństwem rozpowszechnianych oszczerstw. Ujawniono, że książę nie tylko nie przywłaszczał żadnych sum ze skarbcza królewskiego, ale wyłożył ponad tysiąc funtów szterlingów z własnej kieszeni na cele państwowe, której to sumy jeszcze mu dotąd nie zwrócono.

Publiczny wjazd do Londynu na czele „kohorty” był, jak ten i ów sądził, zbędnym i aroganckim wyzwaniem. Ale książę chciał dowieść tym, którzy w swoim czasie będą jego poddanymi, że zawsze żąda sprawiedliwości i broni honoru — z czego niech wywnioskują, że sprawiedliwość będzie dla wszystkich. W obliczu ojca książę okazał stanowczość, ale zachował wszelki należny respekt. Jego postępowanie w tej sprawie było tak dla niego charakterystyczne, jak mało innych sytuacji w jego życiu. Wada, tutaj ujawniona, miała go zawsze cechować: głęboka, być może nadmierna troska o własne interesy i własną godność, jako drugiego władcy dynastii — dynastii uzurpatora.

Podczas

kampanii

walijskiej

książę

nauczył

się

pewnej

apodyktyczności. Tam, czasu wojny, oficjalnie występując jako zastępca króla, książę sam właściwie stanowił prawo najwyższe zarówno dla własnych żołnierzy, jak i dla mieszkańców zdobywanych ziem. Gdy pewnego razu jeden z rycerzy ośmielił się wyrazić żal z powodu rozkazu spalania jakiegoś szczególnie pięknego dworu, książę odparł ostro i nie całkiem na temat, może by pokryć własne wątpliwości:

— Wojna bez ognia jest jak kielbasa bez musztardy: nic nie warta.

Nie tyle było to stwierdzenie wojennej polityki, ile zirytowana reakcja na powątpiewanie o słuszności jego rozkazów i postępów.

Po powrocie do Anglii książę czasem zapominał, że w obu swoich przeciwnikach, Glyn Dwrze i Hotspurze, zwalczał ludzi, którzy próbowali postawić siebie ponad prawem. Prawda, że jego ojciec z powodzeniem właśnie tego dokonał. Ale to było, zanim Bolingbroke stał się oficjalnym strażnikiem prawa, a jego dawniejsze powodzenie powinno było pouczyć księcia, jak niebezpieczny dla władzy jest człowiek, który uważa siebie za stojącego ponad prawem. Wydawało się, że tę lekcję opuścił — i musiał się jej później nauczyć, niełatwą metodą. A sposobności do tej lekcji dostarczyła mu jego własna wielkoduszność, jego chęć wynagradzania i pomagania wszystkim, którzy mu w jakim bądź charakterze służyli.

Jeden ze sług księcia został doprowadzony przed sąd pod zarzutem popełnienia przestępstwa. Sądził go William Gascoigne, Najwyższy Sędzia Anglii. W czasie trwania rozprawy następca tronu- wkroczył na salę sądową, stanął przed trybuną sędziowską i gniewnie, rozkazującym

tonem oznajmił:

— Więzień jest na mojej służbie. Ja, księżę Walii, oznajmiam, że jest człowiekiem uczciwym i żądam, by natychmiast puszczono go na wolność.

Wszyscy prawnicy i zebrana publiczność pochyłili się do przodu, zdumieni i zaciekawieni, jaki też będzie rezultat takiego bezprecedensowego przerwania procedury prawnej w londyńskim sądzie. Księżę źle wybrał człowieka, którego w ten sposób wyzwał. Po jednej z rebelii na północy Anglii w roku 1405, król zażądał od Gascoigne'a, by ten skazał „od ręki” arcybiskupa Yorku i jednego z członków arystokracji, bez wątpienia jawnych rebeliantów. Najwyższy Sędzia spokojnie odmówił, przypominając o od dawna obowiązującym prawie lordów duchownych i świeckich do osądzania przez im równych, parów królestwa — co się też stało, bez udziału Gascoigne'a. Teraz sędzia z niewzruszonym spokojem patrzył na następcę tronu, odpowiadając:

— Wasza wysokość zdaje się zapominać, że to jest miejsce wymiaru sprawiedliwości. Nie wolno zakłócać przebiegu procedury. Proszę usiąść, a przekona się wasza wysokość, że jego sługa zostanie uczciwie osądzony według praw tego królestwa.

Księcia to nie uspokoiło.

— Więc jeśli wasza lordowska mość nie uznaje mojego rozkazu, ja sam...

Podszedł do więźnia, ujął go za ramię i rzekł :

— Chodź ze mną, mój poczciwy chłopcze. Nie będziesz...

— Nie dotykać więźnia! — przerwał sędzia, teraz głosem groźnym i rozkazującym. — I zechce wasza wysokość opuścić salę sądu.

Tym bardziej rozgniewany, iż tak go potraktowano w miejscu publicznym — chociaż sam był sobie winien — księżę puścił sługę, z powrotem podszedł do trybuny i dobywszy miecza, pogroził nim Najwyższemu Sędziemu, Williamowi Gascoigne.

— A czy ty nie wiesz, starcze, że mogę jednym słowem kazać zerwać z ciebie te peruki i togi? Wydaj mi tego człowieka, albo go wezmę siłą!

Strażnicy sądowi, którzy szybko rozprawiliby się z takimi zamieszkami, gdyby je wywołał kto inny, patrzyli po sobie, tręcali się łokciami i poszeptywali. Grożono sędziemu — ale tym grożącym był nie kto inny, jak następca tronu i najpopularniejszy człowiek w królestwie! Nie ośmielali się ruszyć z miejsca. Ale Gascoigne nie dał się zastraszyć. Jeśliby pozwolił księciu przerwać rozprawę sądową, zlekceważyć prawo, to kto następny zechce to samo uczynić? Magnat, rycerz, bogaty kupiec? Cóż wtedy warte będzie prawo? Sędzia znał swój obowiązek i miał odwagę go wypełnić.

— Mój księżę — powiedział z ojcowską powagą — pamiętaj, że ja tu reprezentuję króla, twego suwerennego pana i ojca, któremu winienes podwójne posłuszeństwo.

Na wzmiankę o ojcu księżę z wolna opuścił miecz. Rumieniec gniewu zaczął odpływać z jego twarzy.



— I dlatego w jego imieniu — ciągnął Gascoigne — żądam,  
byś zaniechał twojego samowolnego i bezprawnego przedsięwzięcia, a od  
tej  
pory  
dawał  
dobry  
przykład  
tym,  
którzy  
w przyszłości będą twoimi poddanymi.

Księżę stał do tej chwili z głową wysoko podniesioną, nie w wyzwaniu  
— jak mógłby wyzywać kogoś, przed kim miał pierwszeństwo? — ale z  
dumą. Teraz pochylił ją, jakby we wstydzie. Słowa sędziego dotarły aż do  
głębi jego duszy. Z natury szanował prawo i spodziewał się, że inni będą  
je również szanować. Sędzia nie skończył jeszcze.

— A teraz za brak respektu i za zakłócenie ładu w sądzie,  
masz pójść do celi więzienia królewskiego, na które cię skazuję i pozostać  
tam, jak długo zechce wola naszego miłościwego pana, a twojego ojca.

Z podobnym traktowaniem księżę się, jeszcze nigdy do tej pory nie  
spotkał. Wsadzić jego, następcę tronu, do aresztu! To istotnie wymagało  
odwagi i poczucia obowiązku najwyższej rangi. Te właśnie walory księżę  
najwyżej cenił, a miał być całe życie przenikliwy w ocenie ludzi. I w tej  
chwili pojmował, że król będzie popierał sędziego Gascoigne'a, że musi  
go poprzeć, albo też sądy całego kraju i sam król pójdą w poniewierkę.

Adwokaci, strażnicy i publiczność — zapanował oddech. Co za straszna awantura może wyniknąć z tej niesłychanej śmiałości sędziego! Oglądali się wstecz, oczekując, że banda zbrojnych pachołków księżących wpadnie lada chwila. Ale wszędy panował spokój i martwa cisza, a młody człowiek, skazany -na więzienie, powoli ujął swój miecz drugą ręką za ostrze i podniósłszy go poziomo, przez chwilę uroczyście patrzył na pięknie grawerowaną stal i rękojeść wysadzaną cennymi klejnotami. Potem złożył miecz na trybunie przed starcem, który go upokorzył i przywiódł do opamiętania, a skłoniwszy się sędziemu, „reprezentującemu króla”, oddał się w ręce sądowych strażników — mocno wystraszonych, iż mają pod swoją pieczęcią tak dostojnego więźnia i w duchu żałujących, że sędzia nie okazał się mniej sumienny.

Natychmiast doniesiono o zajściu królowi. Pozwoliwszy synowi przez parę godzin ochłonać za kratami samotnej celi, król wezwał Najwyższego Sędziego i księcia przed swoje oblicze — poważne, ale zdradzające doskonały humor. Rzadko trafniej dobrał słów, mówiąc:

— Dziękujemy Bogu, że zechciał nam dać sędziego, który się nie boi egzekwować sprawiedliwości i syna, który potrafi się ugiąć przed sprawiedliwością.

Gascoigne'owi wystarczyło, że nie uchybiono dostojeniu jego urzędu. Księżę, wysłuchawszy nagany ojca, podszedł do sędziego i uściskał go:

— Mój zacny i od tej chwili wysoko poważany nauczycielu! — powiedział.

Lekcja okazała się zbawienna. Zachowanie księcia w tej sprawie od początku do końca było w sprzeczności z jego zasadami, ale jednak w zgodzie z całym jego charakterem. Odtąd zawsze dawał pierwszeństwo sprawiedliwości, chociażby surowej, przed własnymi uczuciami. Po wstąpieniu na tron poprosił Gascoigne'a o dalsze sumienne sprawowanie obowiązków, chociaż stary sędzia, podówczas 63-letni, wolałby już ustąpić z urzędu. Aż do jego śmierci w roku 1419 Henryk V odnosił się zawsze do Najwyższego Sędziego z głęboką rewerencją i wielką łaskawością.

Po incydencie z sędzią Gascoigne ci z dworzan, którzy szerząc złośliwe oszczerstwa o rzekomych malwersacjach księcia dowiedli już złej woli w stosunku do niego, a bynajmniej go więcej nie pokochali po surowej reprimendzie, jakiej im udzielił parlament po przeprowadzonym śledztwie, uznali, że nadarza się sposobność ponownego oczernienia dobrego imienia księcia. Zaczęli insynuować, że jest lekkomyślnym hulaką, zadającym się z oberżystami, pijakami, rzezimieszkami i ladacznikami. Ponoć „ogniście służył Venus, nie tylko Marsowi”.

Niektórzy biografowie i dramaturdzy, pisząc później o Henryku V, podchwycą i uwiecznią te pozbawione historycznych podstaw legendy. Istotnie, jest to silną pokusą dla każdego biografą, szukającego sensacyjnego tworzywa.

Nietrudno wybaczyć Szekspirowi, iż karmił swoją genialną wyobraźnię bezpodstawnymi plotkami z dawnych czasów, choćby dlatego, iż w rezultacie powstały tak kapitalne, znane na całym świecie postacie jak Sir

John Falstaff i Dorota Drze prześcieradło (oboje, wraz z całą kompanią, absolutnie fikcyjni) i tak wspaniałe sceny komediowe, zabawiające nas kosztem rycerskich kanonów, jak monolog Falstaffa:

*...honor gna mnie naprzód. Ale jeśli honor wygna mnie z tego świata, gdy ja gonię naprzód? Co wtedy będzie? Czy honor potrafi przyprawie nogę? Bynajmniej. Czy ramię? Także nie. Czy odjąć ból rany? Ani tego. Więc honor nie zna się na chirurgii? Ani trochę. Cóż to jest honor? Wyraz. Cóż to jest ten wyraz, honor?... Któż go posiada, ten honor? Ten, co zginął we środę. Czy on to czuje? Bynajmniej. Czy słyszy? Także nie. Więc to rzecz nieczuła? Bez wątpienia, dla umarłego. Ale czy czasem nie żyje z żyjącymi? Wcale nie. Dlaczego? Bo zazdrość znieść tego nie może. Jeśli tak, to nie chcę go wcale. Honor jest tylko herbową tarczą...*

Do takich szalonych awantur, w jakie Szekspir — troszcząc się o walory dramatu i poezji bardziej, niż biografii — wciąga księcia Henryka, ten sumienny, obowiązkowy i ambitny młody człowiek po prostu nie mógł mieć ani -czasu, ani inklinacji. Gdyby się oddawał hulankom i rozpuście, byłoby to zupełnie sprzeczne z jego charakterem, z jego naturą. Przez całe **życie**, nawet podejmując gości z wystawnym przepychem, Henryk był zaskakująco wstrzemięźliwy w jedzeniu i piciu. Podczas kampanii we Francji, gdy nawet zakochani w swych połowicach małżonkowie szukali pociech w łóżkach chętnych lub niechętnych Francuzek, Henryk trzymał się z dala od wszelkich pokus, zachowując surową czystość obyczajów, co zgodnie podkreślają wszyscy kronikarze. Jego pobożność, choć nieco

ostentacyjna, była jednak zupełnie szczerą, dopełniał religijnych obowiązków z sumienną punktualnością, ponad konieczne wymagania. A prócz tego, zarówno jako król jak i księżę, był człowiekiem wielkiej pracowitości i bardzo zajęтым. Jest takie stare powiedzonko, ulubione przez rodziców i nauczycieli: „Szatan szuka beczynnych rąk”. Otóż, ręce księcia Henryka nie dawały szatanowi sposobności.

Młodszych potomków arystokratycznych i szlacheckich rodów, nie posiadających fortuny prócz urodziwych rysów, wytwornego stroju i zręczności we władaniu bronią, nazywano „popołudniowymi paniczami”, jako że spędzali czas od obiadu do nocy w tawernach, jaskiniach gry, przy szczuciu niedźwiedzi i w burdelach, gdzie też zbierały się najczarniejsze typy londyńskie. Ale ci nie należeli do osób bliskich księciu. Jego znani przyjaciele, prócz dworzan, byli zupełnie innego pokroju od rozwiązłego Falstaffa i jego zabawnej, ale mało budującej kompanii. Przyjaciół księcia nazywano „Dworem Zacznej Drużyny”, a zaliczali się do nich: najmłodszy brat księcia, Humphrey, który zasłynął jako mecenas literatury i sztuki; poeci John Lydgate, Henryk Somer i Tomasz Harcleve; i jeszcze jeden Tomasz, syn Geoffreya Chaucera, autora słynnych „Opowieści Kanterburyjskich”. Rozprawiając o literaturze klasycznej, o sztuce starożytnej Grecji i Rzymu, o filozofii i historii — popijali dobre wino, ale najbujniejsza nawet wyobraźnia nie mogłaby ich nazwać hulakami.

Dworzanie, którzy spodziewali się wkraść w łaski ojca, oczerniając jego syna, mieli teraz zmienić melodię i próbować zyskać względy

młodsze Henryka, gdyż w marcu 1414 roku król uległ atakowi. Lekarze nie rokowali mu wyzdrowienia. Wiedząc, że ma już tylko parę godzin życia przed sobą, umierający monarcha martwił się o kontynuację dynastii, którą założył. Przewidywał, że dawni stronnicy Ryszarda II albo nowi, młodego hrabiego Marcha mogą skorzystać z chwili przejścia władzy z jednych rąk w drugie, by położyć kres godzinie Lan-castrów. Jako najlepszą metodę uniknięcia zamieszek w królestwie, stary monarcha doradzał swemu następcy, by niespokojnych magnatów zatrudnił zajęciem, które zasadniczo było ich zawodem :

*A ty, Henryku, w sąsiedzkich rozterkach*

*Wynajdź zajęcie dla burzliwych myśli;*

*Wojenna praca na dalekich brzegach*

*Wszystkie pamiątki dni minionych zatrze.*

„Pamiątki dni minionych” nawiązywały do uzurpacji, zaprzatającej myśli umierającego. Pod koniec tej rozmowy król uległ omdleniu, podobnemu śmierci. Książę, widząc koronę obok łoża ojca, zabrał ją do wewnętrznej komnaty, aby ktoś sobie nie przywłaszczył tego symbolu władzy. Powracając do sypialni, ze zdumieniem spostrzegł, że oczy, których nie spodziewał się już więcej ujrzeć otwartych, patrzą na niego przytomnie. Wyschnięta ręka królewska szukała korony.

— Gdzie korona? Kto ją zabrał? — pytał, niespokojny, że stało się właśnie to, czemu syn usiłował zapobiec.

— Ja, panie mój i ojczy. Nie myślałem, że jeszcze cię usłyszę mówiącego. Sądziłem, w błędzie, dzięki Bogu, że korona jest już moja z

prawa.

Nawiedzany wciąż powracającymi „pamiątkami minionych dni” —

kiedy był Bolingbrokiem, księciem Lancaster, a dwudziestosześcioletni

młody mężczyzna klęczący teraz u jego łoża, wypróbowany w wojnie i

rządzeniu, był ledwie chłopcem dwunastoletnim — król zapytał ze

smutkiem:

— Synu miły, jak możesz mieć prawo do niej, kiedy dobrze

wiesz, że ja tego prawa nigdy nie miałem?

Był to głos sumienia, jakby ostatnia spowiedź uzurpatora, który

dobiegał już kresu swoich dni i wiedział, że niedługo będzie musiał zdać

rachunki swemu Stwórcy. Ale w młodych uszach jego syna brzmiały

wiwaty rozentuzjzmowanego ludu i wezwania ambicji.

— Panie mój — odrzekł książę — jak ty mieczem strzegłeś

i zachowałeś tę koronę Anglii, tak ja będę jej strzegł i zachowam ją przez

całe życie.

W rzeczywistości zamierzał nie tylko biernie strzec korony, którą

odziedziczył, ale okryć ją większą chwałą, rozszerzając terytoria,

pomnażając poddanych pod jej władzą.

Król wydawał się zadowolony z tych skromniejszych zamierzeń i rzekł

z westchnieniem jakby wielkiej ulgi, iż pozbywa się nareszcie

dolegającego mu ciężaru:

— Postępuj, jak będziesz uważał za słuszne; ja powierzam

się Bogu.

W parę godzin później heroldzi ogłaszali mieszkańcom Londynu:

— Król nie żyje ! Niech żyje król !

W chwili, gdy Henryk IV wydał ostatnie tchnienie, rozpoczęło się panowanie Henryka V.

### *Rozdział VIII*

**„NOWY TEN TYTUŁ**

**Z CAŁYM SWOIM BŁASKIEM"**

W parę godzin po śmierci Henryka IV jego trzech młodszy synowie zebrali się w jednej z prywatnych komnat pałacu westminsterskiego: Tomasz, książę Clarence, najstarszy z trójki; Jan, niebawem mianowany księciem Bedfordu; i Humphrey, najmłodszy z czterech potomków Mary de Bohun, który miał otrzymać tytuł i dobra księcia Gloucester. Jan, zmartwiony, ale spokojny, i Humphrey, który się wydawał przede wszystkim znudzony, siedzieli w krzesłach. Clarence przemierzał niespokojnymi krokami komnatę tam i na powrót. Jan odezwał się pierwszy:

— Nasz brat Henryk inaczej będzie może pojmował sprawy zabezpieczenia dynastii i przysporzenia chwały Anglii, niż nasz ojciec.

— Ta wyspa za mała, by objąć jego wielkie ambicje — odparł

Clarence, nie bez odcienia szyderstwa. — Uważa się za mistrza sztuki wojennej, chociaż moim skromnym zdaniem, trzymając w szachu takich wybornych wojowników jak Szkoci, gdy on się uganiał za bandą nie wyćwiczonych walijskich górali, dowiodłem, że jestem nie gorszym żołnierzem od niego, jeżeli nie lepszym!

— Wybornie się spisywałeś, nikt temu nie przeczy — mruknął

łagodzącym tonem Jan.



— Prócz może naszego nowego suwerena — odburknął

przez ramię Clarence. Po czym, zawracając w swojej przechadzce, rzekł:

— Gdy żył nasz ojciec, i gdy ostatnio potrzebował Henryka przy sobie, miałem sposobność pokazać również Francuzom ostrze angielskich mieczy, no i zdobyć niezłe łupy. Ale komu teraz ten zaszczyt i zysk przypadnie? W każdej kampanii, a nie zabraknie ich, moje miejsce będzie poślednie, a moje zwycięstwa tylko jemu przysporzą chwały!

— Przestań się trapić — powiedział niecierpliwie Humphrey, bawiąc się klejnotem, zawieszonym na szyi. — Bądź mężczyzną i nie daj nikomu sobą pomiatać. Jesteśmy wszyscy z krwi, którą nasz ojciec uczynił królewską, a pomyślcie tylko, o ile to lepsza sytuacja, niż gdybyśmy byli teraz młodszymi braćmi księcia Lancaster. Go do mnie, będą robił, co zechcę i nikt mi rozkazywać nie będzie, nawet ten nowy...

— Daj spokój, Humphrey — przerwał mu Jan. — Nikt nie chce wami pomiatać ani rozkazywać. A nasz nowy król jest doświadczony i w sprawach wojny, i pokoju. Potrzeba mu naszej lojalnej pomocy.

Ofiarujmy mu ją bez zastrzeżeń, bośmy mu ją winni podwójnie, dla jego dobra i dla dobra królestwa. Będę rad mu pomagać w jakiegokolwiek bądź formie.

— Nie na każdym jarzmo tak łatwo siedzi, jak na tobie — odparł Clarence, chodząc teraz wokół ścian i uderzając w nie chwilami pięścią.

— Mnie potrzeba honoru, zaszczytów. Humphrey o to nie dba. Dla niego biblioteka, rozmowy o wierszach...

— Powtarzam, że mnie nikt nie będzie rozkazywał — przerwał mu

Humphrey. — Poeci i uczeni ciekawią mnie, ale mam swoje aspiracje, właśnie polityczne, o których im się nie śniło. Tylko, że mi nieśpieszno.

Wyczekam odpowiedniej pory.

Istotnie, Humphrey czekał. Dopiero po śmierci Henryka V i wstąpieniu na tron jego małoletniego syna, pokazał rogi. Niemało wtedy przyczynił kłopotów.

Clarence nie zwracał na niego uwagi. Mówił dalej:

— Ciebie i mnie, a może i Jana, chociaż ktoś musi zostać

w kraju, będą wlekli po Francji pewno, w cieniu naszego naj-

starszego! — Wzruszył ramionami, westchnął i dodał z niechęcią: — W

potrzebie nikt z nas nie zawiedzie. — Bawił się rękojeścią miecza,

postukiwał o podłogę. Dokończył: — Ale wolałbym być pierwszym, nie

drugim.

Odważny i zdolny żołnierz, Clarence nie zawiódł w potrzebie, wiele się

przyczyniając do sukcesów kampanii najstarszego brata. Ale jego

nieposkromiona

chęć

przewyższenia

sławą

króla-wojownika

doprowadziła go w końcu, wraz z grupą odważnych rycerzy, do zguby.

— Nasze serca — powiedział Jan. — Jemu potrzeba nie tylko naszej

wiernej służby, ale i naszych serc.

Tymczasem nowy król klęczał i modlił się. On, który jako chłopiec

dowodził wojskiem w polu i pokonał rebeliantów, jako młodzik zaledwie pełnoletni przewodniczył najwyższej radzie stanu, teraz wkładał koronę — w epoce, kiedy korona udzielała najwyższego autorytetu. Był świadom odpowiedzialności:

*Nowy ten tytuł z całym swoim blaskiem*

*Dla mych jest ramion cięższy, niż myślicie.*

Aby się przygotować, postanowił pierwszą noc swego panowania w Westminsterze spędzić na modlitwie wraz z zakonikiem.

Henryk nie był nieokrzesanym żołnierzem, zdolnym jedynie do wojaczki i polowań. Pisał z niezwykłą siłą sugestii i bogatym słownictwem zarówno po francusku jak po angielsku, znał łacinę. Lubił czytać: kroniki, rozprawy teologiczne i poezję. Do jego bliskich zaliczali się poeci i ludzie nauki, chętnie z nimi dyskutował. Regularnie pościł i odprawiał pielgrzymki do świętych miejsc. W każdej wyprawie wojennej czy myśliwskiej, towarzyszyli mu kapelani, bo zawsze słuchał trzech mszy dziennie. Niezależnie od tego, czy akceptują, czy też odrzucają niepotwierdzone legendy o jego szalonej młodości, wszyscy współcześni kronikarze zgadzają się, że od chwili wstąpienia na tron Henryk nigdy nie przeklinał, nie pił nadmiernie i nie tańczył. Nie znał też kobiet prócz żony, którą miał się cieszyć tylko przez dwa lata, a i to przerywały wyprawy wojenne. Życie chrześcijańskiego władcy winno być ponad wszelkie zarzuty. Jeżeli niektóre jego postęпки, jego bezwzględność, aktorstwo na pokaz, nie harmonizowały z jego pobożnością; jeśli skłonny był, może

nieświadomie, traktować Boga jako dogodne wytłumaczenie własnych uczynków: było to w zgodzie z obyczajem epoki i tradycją jego wiary. Kraj, który teraz dostał się formalnie pod berło Henryka V, zaznał dość długiego okresu pokoju ze strony sąsiednich suwerenów, przerywanego jedynie sporadycznymi wyprawami — by broń nie zardzewiała. I niejednemu się wydawało, że to już za długo. Anglia była krajem stosunkowo dostatnim. Odłamy wszystkich sfer spodziewały się, że nowy król usprawiedliwi ich dumę narodową, a nawet chępliwość i da im sposobność zdobycia zyskownych łupów.

Wsie przestawały już stanowić jedynie osady pańszczyźnianych chłopów, związanych z jakimś lokalnym arystokratą. Coraz częściej na mieszkańców wsi składali się najemni parobcy, na wyższych szczeblach rzemieślnicy, farmerzy, a na szczycie dziedzic, właściciel ziemski.

Kilkakrotne epidemie dżumy w XIV wieku z kulminacyjną morową zarazą, która przeszła przez całą Europę, zmniejszyły liczbę ludności o jedną trzecią. Dawny ład feudalny załamywał się w miarę, jak coraz trudniej było uprawiać rozległe połacie ziemi wobec braku rąk.

Właściciele ziemscy wydzierzawiali więc rolę wieśniakom za zapłatę częściowo w naturze, a częściowo w gotówce, a dla własnych potrzeb zatrudniali za wynagrodzeniem w gotówce najemnych parobków, którzy, jak się przekonano, pracowali lepiej od ludzi, zmuszanych do usług.

Feudalizm jeszcze trwał, ale nowe siły mocno nim wstrząsnęły.

Dzierżawcy, wolni chłopci, uprawiali znaczne arealy pod zboża, inni wypasali owce na mięso i wełnę. Najgospodarniejsi wykupywali na

własność uprawianą przez siebie ziemię od dziedzica, chwilowo potrzebującego gotówki. Oni też zatrudniali parobków, więc zapotrzebowanie na siłę najemną powodowało wzrost wynagrodzeń. Jednocześnie wydajniejsze metody uprawy i hodowli zwiększały podaż, obniżając ceny. W wielu okolicach, gdzie jeszcze poprzednie pokolenie egzystowało zaledwie na granicy głodu, obecnie poziom życia ludności wyraźnie się podnosił. Dawna przewaga potraw z mąki i kasz, z rzadka urozmaiconych nielegalnie upolowanym zajęcem lub królikiem, albo również nielegalnie złowioną rybą — ustępowała miejsca dość regularnym posiłkom mięsnym. Nie było to bezpośrednią zasługą rządu. Przyspieszone zbiegiem okoliczności, rozwijały się nowe siły ekonomiczne i społeczne.

Ale wieśniakom życie nie upływało bez trudu. Nieurodzaj albo epidemia kulawki u owiec oznaczała chude lata dla wszystkich, prócz najzamożniejszych. Bazańty, kuropatwy, zajęce i ryby, według bardzo surowych praw łowieckich, zarezerwowano jedynie dla wyższych klas. Wykroczenia przeciw tym prawom mogły się skończyć śmiercią od strzały z łuku gajowego, a jeśli kłusownika złapano — chłostą, pręgierzem, w wypadkach recydywy nawet szubienicą. Tym niemniej kłusownictwo szerzyło się powszechnie w całym wiejskim społeczeństwie, od parobka do proboszcza. Sport i ryzyko, związane z kłusownictwem, pociągało wielu nie mniej od perspektywy smakowitego posiłku. Króliki, jako szkodniki upraw, wyjęte były spod ochrony, polowano na nie powszechnie z psami albo łapano w sidła. Skowronki na pasztety łapano setkami.

Dziedzic dworu nadal bywał despota, żądał od dzierżawców części zbiorów oprócz czynszu w gotówce, nie mówiąc o starodawnym prawie, upoważniającym go do inicjacji świeżo poślubionych dziewcząt w ich małżeńskie obowiązki w noc poślubną. Lokalny sędzia ziemski w stosunku do tych, którzy jego zdaniem łamali przepis czy prawo, bywał surowy lub miłosierny, zależnie od usposobienia i zależnie od hulanki poprzedniej nocy. Stan bezpieczeństwa wszędzie na prowincji przedstawiał się żałośnie: nie było stałej policji, służbę konstabli pełnili na zmianę mieszkańcy — nie wyćwiczeni, apatyczni, często tchórzliwi.

Morderstwa, gwałty, rabunki były na porządku dziennym. O wiele więcej złodziei i morderców chodziło na wolności, niż dostawało się do więzienia.

Ale i tak pod koniec XV wieku francuski mąż stanu i historyk, Philippe de Comines, pisał w swoich słynnych „Pamiętnikach” :

„Moim zdaniem ze wszystkich krajów Europy, jakie poznałem, nigdzie rządy nie są tak sprawne, a ludność mniej narażona na ucisk i gwałty, niż w Anglii”.

Wszystko jest względne. De Comines niewątpliwie miał na myśli raczej miasta angielskie, niż wieś. Mniejszych miast nie zdławiły jeszcze dzielnice nędzy. Domy stały w ogrodach, czasem nawet dużych, z sadem, dziedzińcem i łąką. Jednakże pod względem higieny nie było czym się chwalić. Mieszkańcy najchętniej wyrzucali śmiecie na tak zwane ulice przed domem. Usuwano je, a i to niezbyt daleko wywożąc, dopiero wtedy, gdy już przejść było trudno.

Miasta przechodziły okres przemian. Rozwój przemysłu i handlu powiększał szeregi klas średnich. Majster, który niedawno pracował razem z czeladnikiem i wędrownym sprzedawcą i siadał z nimi za jednym stołem z nie heblowanego drewna do wspólnego posiłku — bogacił się, odkładał skórzany fartuch i dawną niefrasobliwą koleżeńską, przystrajał się w sukienne szaty uważając, by ich nie zabrudzić i nabywał niejakej wyniosłości w stosunku do najemnych pracowników. Wielu dawnych rzemieślników przerzucalo się na handel, kupując hurtem z warsztatów i odprzedając na detal z dobrym zyskiem. Bardziej przedsiębiorczy — i często mniej skrupulatni — kupcy monopolizowali rynek, łączyli się w spółki i dyktowali ceny. Coraz trudniej było zdać egzamin mistrzowski, wyzwolić się na majstra i założyć własny mały warsztat.

O ile więc na wsi położenie najuboższych się poprawiało, o tyle w miastach niektórym się powodziło coraz gorzej. Właściciele drobnych warsztatów pozostający w tyle w ostrej walce konkurencyjnej, stowarzyszali się z pracownikami najemnymi w żądaniach lepszych zarobków za swoją pracę. W różnych miastach różnie to wyglądało, ale w bardziej postępowych pojawiały się już zalążki tego, co znacznie później nazwano związkami zawodowymi.

Władza w miastach była w ręku bogatych kupców, dopominających się, jak gdzie indziej w Europie, przywilejów samorządu i obrony miejscowego rynku przed intruzami z innych okolic. Niezależność i swobody angielskich miast istotnie robiły wrażenie na cudzoziemskich

podróżnikach, nie tylko na panu de Comines. Mieszczanie organizowali się i pomagali sobie nawzajem. Pożyczając często poważne sumy rządowi, bogatsi kupcy — nie tylko w Londynie — mądrze wykorzystywali swoje ekonomiczne wpływy, a królowie liczyli się z nimi. Henryk V, jak przed nim jego ojciec, zdawał sobie sprawę z konieczności oparcia się o klasy średnie. Zachęcał więc kupców, chwalił ich udział w życiu ekonomicznym kraju, a po wstąpieniu na tron zasięgał ich rady. Na wyprawach wojennych regularnie pisywał szczegółowe relacje z przebiegu działań do burmistrzów Londynu i innych miast. Nawzajem wielcy kupcy-eksporterzy popierali zamorskie kampanie Henryka w nadziei zwiększenia obrotów handlowych z Francją, gdy ta znajdzie się pod berłem ich własnego króla. Niektórzy późniejsi historycy, uważając, że w średniowieczu nacisk ekonomiczny decydował o polityce, będą nawet utrzymywali, że wojny francuskie rozgrywały się głównie dla celów handlowych, a prawa do tronu Karola VI były tylko pretekstem. Henryk zabiegał o względy klas średnich, ale bynajmniej nie kosztem szlachty.

— Musimy uczynić wszystko, co w naszej mocy, by rozbroić niechęć i zyskać przyjaciół dla korony — powiedział do brata, Jana Bedforda w kilka dni po wstąpieniu na tron. — Hrabiowie: Salisbury, Huntingdon i Oxford utracili swoje dobra, bo ich ojcowie popierali króla Ryszarda. Dopilnuj, Janie, by im przywrócono ziemie, a ja zaproszę ich na dwór i przyrzeknę im łaskę w zamian za lojalność. To ludzie z potężnych, szlachet-



nych rodów, a żaden władca nie miał za wiele takich popleczników.

I jeszcze Henryk Percy, syn Hotspura i dziedzic hrabstwa

Northumberlandii. Z powodu rebelii jego ojca, który padł w bitwie pod

Shrewsbury w 1403 roku i zdrady jego dziadka, zabitego w roku 1408,

młody Percy nie mógł odziedziczyć tytułów ani olbrzymich majątków,

będących od dawna w posiadaniu jego rodu. I jemu również przywrócono

teraz godność i ojcowiznę.

W r. 1406 król Szkocji Robert III wysłał swego dwunastoletniego syna

Jamesa do Francji. Po drodze jego okręt wpadł w ręce floty angielskiej.

Wkrótce po wzięciu chłopca do niewoli jego ojciec zmarł i on sam

nominalnie odziedziczył tron Szkocji. Ale Henryk IV nadal trzymał go w

więzieniu. Teraz Henryk V wziął młodzika do rezydencji królewskiej w

Windsorze, na swój dwór, odnosił się do niego z serdeczną dobrocią i

wyznaczył najlepszych guwernerów, by mógł kontynuować odpowiednie

nauki. Była to zasadnicza zmiana w położeniu Jamesa, chociaż oczywiście

wolałby znaleźć się we własnym królestwie. W tym jednakże

przeszkadzał upór szkockich magnatów, z którymi nie można było dojść

do porozumienia. Negocjacje i przetargi ciągnęły się jeszcze przez

dziesięć lat, a przez ten czas James nabył szeroki zakres wiedzy i został

autorem poezji, które miały wejść do historii literatury angielskiej.

Najśmielszym jednak posunięciem Henryka w jego polityce

wyrachowanej wielkoduszności, korą mu się wspaniale wypłaciła, było

wypuszczenie na wolność Edwarda, hrabiego March, i przywrócenie mu

skonfiskowanych dóbr. Jeszcze jako książę Walii Henryk interesował się więźniem, usiłował złagodzić warunki jego niewoli, nikt się jednak nie spodziewał, że gdy następca tronu zostanie królem, uwolni człowieka, który miał większe dziedziczne prawa do tronu od niego samego. Nie byłoby trudno przehandlować wolność Marcha w zamian za zrzeczenie się jego praw do tronu. Ale szlachetna natura młodego hrabiego przeniosła targi na inną, bardziej rycerską płaszczyznę.

— Nigdy żadnym moim uczynkiem ani słowem nie dam powodu —  
powiedział

—

by

wasza

królewska

mość

pożałowała

swojej pobłażliwej wspaniałomyślności. Przysięgam, że nie mam aspiracji do innego stanu jak ten, który jest teraz moim udziałem.

Cokolwiek by się nie stało, w wojnie i w pokoju, przysięgam, iż pozostanę wiernym wasalem waszej królewskiej mości.

Słowa dotrzymał. I być może uratował królowi życie, ujawniając radzie koronnej szczegóły spisku w roku 1414. Pod Harfleur i w późniejszych kampaniach walczył dzielnie u jego boku.

Henryk miał do wykonania jeszcze jeden akt łaski — a raczej w tym wypadku, akt skruchy.

— Król Ryszard zasługiwał na złożenie go z tronu — po

wiedział do arcybiskupa — jako autokrata, lekceważący dobro poddanych. Ale był prawowitym, dziedzicznym monarchą. Nie ścierpię, aby koronowana głowa spoczywała w haniebnym, nie uczczonym grobie. To się musi zmienić. Na wezwanie mego ojca, chociaż znałem dobroci Ryszarda, stanąłem przeciw niemu. Wiem, że ojciec w swojej ostatniej godzinie trapił się, jak wytłumaczy uzurpację, gdy stanie przed obliczem Stwórcy. Będę się modlił do Chrystusa i Matki Boskiej, aby, jeśli mój ojciec cierpi jeszcze w czyścicu, ten mój uczynek mógł skrócić czas jego męki.

Zwłoki Ryszarda ekshumowano i z królewskimi honorami pogrzebano w grobowcu, który sobie za życia przygotował w Opactwie Westminsterskim. Henryk z pewnością szczerze chciał ulżyć ojcu w czyścicowych mękach; ale wiedział też, że jego postępek ułagodzi wielu poważnych już wiekiem magnatów, którzy nie zapomnieli o dobrodziejstwach, otrzymanych z rąk Ryszarda.

Teraz można było pomyśleć o koronacji. Wyznaczony dzień obfitował w tyle nadzwyczajnych wróżb i prognostyków, iż mógł zrównoważyć ich brak w dniu urodzenia pierworodnego syna Bolingbroke'a. Niebywała burza śniegowa przeszła nad Anglią, zagrzebując budynki, zwierzęta, a nawet ludzi pod śniegiem. Mędracy głowili się, jakby ten na pozór nieprzychylny omen objaśnić w sposób, który by przypadł do gustu królowi i zachęcił jego

poddanych. Ostatecznie, wymyślili dość przekonującą interpretację. Biel śniegu, oznajmili, symbolizuje czystość chrześcijańskiego rycerza, Henryka; miękkość śniegu — jego miłosierdzie; zimno — jego surową i nieugiętą sprawiedliwość; a wichura — furię wojownika. Nie da się zaprzeczyć trafności tych prognoz. Henryk rzeczywiście okazał się człowiekiem czystych obyczajów, zarazem miłosiernym i sprawiedliwym, a strasznym w boju.

Uroczysta ceremonia koronacji odbyła się z wielką pompą i zachowaniem wszelkich tradycyjnych rytuałów. Następnie uczta w Westminster Hall. Kucharze królewscy prześcignęli samych siebie. Stoły ugiwały się od potraw smakowitych, wykwinnych i fantastycznie udekorowanych, na przykład kunsztownie wyrobionymi' z cukru antylopami i orłami, ziejącymi z paszcz napisem na wstążce, z prośbą, by król „strzegł prawa i państwa”, albo „miał miłosierdzie dla gminu”. Tych próśb Henryk wcale nie zlekceważy. Setki jego gości obsługiwali jeźdźcy na koniach. Wypito rzekę wina, bawiono się przednio, jak przystało przy takiej sposobności. Ale król sam jadł i pił niewiele, zauważono, że był pogrążony w zadumie. Zaprzątnięty odpowiedzialnością, której się podjął, rozmyślał może nad jałową pustką takich splendorów, jak ów koronacyjny bankiet:

*Czymże ty jesteś, bożku, marna pompo?*

*Cóż ty za bożek, co smutków śmiertelnych*

*Więcej od twoich spotykasz czcicieli?*

*Jakie dochody, jakie twoje zyski?*

*O pompo, pokaż, pokaż mi twą cenę,  
Treść całą pokaż twego uwielbienia!  
Jest żeś czym innym, jak formą i stopniem  
Budzącym w ludziach trwogę i pokorę?...  
Jak często pijem miast hołdu słodczy  
Truciznę pochlebstw! O wielka wielkości,  
Zaniemóż tylko, a twym ceremoniom  
Nakaż, by dawne zdrowie ci wróciły!  
Alboż gorączki odstąpi cię ogień  
Przed pochlebstwami nadętym tytułem  
Przed czołobitnią i przed pokłonami?  
Dajesz rozkazy kolanom żebraków,  
Lecz czy ich zdrowiu możesz rozkazywać?  
Nie, nie, śnie dumny...*

Załatwiwszy się z ceremoniami koronacyjnymi, Henryk zajął się rządami. Początkowo mało poczynił zmian. Na czele rady stanął jego brat Bedford. Arcybiskupa Arundela zastąpił w charakterze kanclerza biskup Beaufort. A hrabia Arundel, bratanek arcybiskupa, od dawna stronnik Beaufortów, otrzymał nominację na Lorda Skarbnika.

Energiczny, pełen życia, nie znużony, pod naporem własnej nieugiętej woli, nie wyzywający lekkomyślnie niebezpieczeństw, lecz śmiało stawiający im czoła, dwudziestosześcioletni król, słowami autora „Gęsta Henrici Quinti”, postawił sobie za cel: „czcić Boga, umacniać Jego Kościół, pomnażać dostatki poddanych, utrzymywać pokój w królestwie,

położyć kres waśniom dzielącym dwa królestwa, Anglię i Francję,  
połączyć je i zjednoczyć..."

Pokój Anglii i jej zjednoczenie z Francją miały być osiągnięte trudną  
drogą, drogą zwykłą w owych czasach: przelewem krwi i  
bezwzględnością. Temu pokojowi, wraz z bezpieczeństwem Kościoła i  
korony, zagrozili najpierw lolardzi.

Sir John Oldcastle, dawny uczestnik wojennych wypraw króla, jawnie  
zadeklarował swoje poparcie dla wierzeń lolardów. Wybitni duchowni  
usiłowali go przekonać i namówić do zmiany poglądów, a przynajmniej do  
powstrzymania się od ich publicznego głoszenia. Na próżno. Stary weteran  
nie ustąpił. Zaapelował do swego królewskiego towarzysza broni, który  
posłał po niego i powitał go ze smutkiem.

— Mój dzielny stary przyjacielu, martwi mnie twój upór. Wyznajesz i  
głosisz poglądy, które są heretyckie i zarazem prowadzące w nieunikniony  
sposób do poważnych zamieszek. Ni-  
czyjej odwagi i prawości nie cenię wyżej, niż twojej. Ale źle używasz  
swoich pięknych cnót. Lolardyzm musi być wytępiony. To moje  
nieodwołalne postanowienie. Jeśli dysputy, przekonywanie zawiedzie,  
trzeba będzie się uciec do innych, surowszych, odstręczających ale  
nieuniknionych metod. Jesteś człowiekiem powszechnie znanym i  
szanowanym. Gdy wyznajesz poglądy lolardów, zachęca to innych,  
bardziej nieśmiałych. Apeluję do ciebie w imię Boga, w imię naszej  
długoletniej przyjaźni, i twojej lojalności wobec tronu, byś odwołał twoje  
poglądy, bo jeśli się jeszcze bardziej rozszerzą, mogą wstrząsnąć

fundamentami Kościoła Chrystusa i świętego Piotra. Od tego samego losu, jaki wycierpieli ubodzy krawcy i inni, wyznający te haniebne poglądy, ja nie mogę cię osłaniać, jeśli się przy nich uprzesz. Sprawiedliwość nie przebiera ani nie ugina się pod naciskiem osobistych uczuć...

Może Henryk omylił się, próbując grozić człowiekowi takiego pokroju jak Oldcastle. Stary rycerz wytrwał w swoim uporze. Arcybiskup powołał go przed najwyższy sąd eklezjastyczny. Oldcastle nie miał zdecydowanej opinii w sprawie prawdziwej obecności Chrystusa w Najświętszym Sakramencie ani też konieczności spowiedzi. Ale twierdził uparcie, że modlitwy przed obrazami są bałwochwalstwem, że wiara bez dobrych uczynków nie wystarczy do zbawienia, że wyższe duchowieństwo, od papieża zaczynając, jest skorumpowane, rozwiązłe i światowe — śmiało słowa do odzianego w purpurę prymasa Anglii — i że Biblia winna być dostępna każdemu w jego własnym języku, by ją mógł sam czytać i interpretować. Stwierdził też, że będzie nadal popierał kaznodziei ewangelistów, nie mających zezwolenia. Arcybiskup Arundel, choć nie pozbawiony fanatyzmu, lubił osobiście i cenił oskarżonego, podziwiał jego odwagę, zarazem potępiając jego zasady. Dał Oldcastle'owi wszelkie możliwości rewokowania. Gotów był nawet puścić go wolno w zamian za obietnicę milczenia i cichego odcięcia się od ruchu lolardów. Wszystko na daremno. Oldcastle trwał przy swoich przekonaniach równie stanowczo, jak arcybiskup i król — przy swoich. Kiedy wiedział, że jego własne słowa i własny upór już go skazały, wybuchnął:

— Powiadam, że papież i wy razem stanowicie jednego

wielkiego antychrysta, którego on jest głową, wy, biskupi, prałaci, księza i

zakonnicy

tułowiem,

a

wędrowni

mnisi

ogonem,

zakrywającym waszą rozwiążłość sofizmatami!

Arcybiskup musiał wydać wyrok, skazujący Oldcastlea na stos.

Postawiło to króla wobec tragicznego dylematu. Rozwazał:

— Mój obowiązek wobec Kościoła i państwa jest jasny. Ale

jakżeż bolesny... I niebezpieczny. To przede wszystkim średnie

sfery Anglii wyniosły mego ojca na tron. Gdyby kupcy i praktykanci

zwrócili się przeciw niemu, nie mógłby nigdy wkroczyć

do Londynu, kiedy nadszedł z północy kraju. Na ich dobrej

woli i ja się muszę opierać. A właśnie między nimi — chociaż

raczej poza Londynem — najwięcej jest lolardów. Płomienie,

które pochłoną biednego upartego Oldcastle'a, mogą zażegnać

ogień, znacznie trudniejszy od ugaszenia...

Henryk przepędził całą noc na modlitwie, błagając Boga o wskazówkę,

jak rozwiązać dylemat.

Ósmy król angielski tego samego imienia, znalazłszy się w ogniu

wrzącego ruchu heretyckiego w swoim kraju — stanie na jego czele,



przyjmie rolę przywódcy, doprowadzi parlament do reformacji i do nadania monarsze tytułu Głowy Kościoła Anglikańskiego. Ale w XV wieku jeszcze nie nadszedł na to czas. Nawet gdyby sobie wyobrazić taką sytuację, że sam Henryk przyjąłby lolarystykę i stanął na czele heretyków — nie znalazłby, jak jego późniejszy imiennik, na kontynencie pokrewnego ruchu dość silnego i w dość potężnym państwie, by mógł się z nim złączyć. A w sprawach osobistych — zerwanie z Kościołem przekreśliłoby raz na zawsze możliwość poprowadzenia przez Henryka wielkiej wyprawy krzyżowej świata chrześcijańskiego.

Nie było odpowiedzi na jego modlitwy. Wywnioskowawszy z tego, że wszystko dzieje się zgodnie z wolą Boga, król dał przyzwolenie na egzekucję Oldcastle'a.

Do tych cech Henryka, które zdobyły mu wielkość jako władcy, należy w pierwszym rzędzie zaliczyć to, że wiedział, kiedy mógł sobie pozwolić na wielkoduszność, a kiedy, nie oglądając się na własne uczucia czy też nakazy rycerskości, musiał być bezwzględny, jak czasem musi każdy, kto sprawuje władzę.

Wśród strażników więzienia w Tower byli sympatycy lolarystów. Z ich pomocą Sir John zdołał uciec. Wziął w swoje ręce ster spisku, od dawna się szykującego. Ale jeśli Oldcastle szczyił się przyjaciółmi, to rząd szczyił się szpiegami. Radzie koronnej doniesiono o spisku, pod wielu względami podobnym do tego, który zatrął początki panowania uzurpatora, ojca obecnego **króla**.

— Lolarystycki spiskowcy, przebrani za aktorów — ostrzegli szpiegów

— mają się przedstawić na dworze, a gdy zostaną wpuszczeni, by grać, porwą króla i jego braci. Bandy lolardów nadciągną równocześnie z prowincji na umówiony punkt zborny między City a Westminsterem, gdzie nocą dziewiątego stycznia ma się ich zebrać ponad dwadzieścia tysięcy. Będą żądali, a w razie potrzeby żądania poprą siłą, zmian w naukach Kościoła, odrzucenia władzy papieża jako antychrysta, pozbawienia biskupów, opatów i przeorów ich bogactw.

Henryk zachował zupełny spokój w obliczu tych wieści. Potwierdzały jego przekonanie, że lolardyzm stanowił niebezpieczeństwo zarówno dla państwa, jak i dla Kościoła. Nie umiał sobie jeszcze wyobrazić Anglii, odciętej od współżycia z resztą chrześcijańskiego świata. Potrząsał głową i mówił ze smutkiem:

— Bóg pozbawił zmysłów tego niegdyś zanego Oldcastle'a.

Natomiast Oldcastle, w obliczu grożącej mu okropnej śmierci, postanowił chwycić się każdej szansy przedłużenia swojego życia — i życia wielu jego współwyznawców.

Głównych spiskowców natychmiast aresztowano, wzięto na spytki. Ale samego Oldcastle'a nie można było znaleźć. Ludzie królewscy sprawnie się uwinęli, nikt nie zdołał ostrzec nadciągających do Londynu band lolardów o klęsce spiskowców. Owej nocy król osobiście przyjechał na wyznaczony punkt zborny, a za nim tłumy życzliwych mu mieszczan londyńskich. Wielu lolardowskich przywódców aresztowano, w tym rycerzy i posłów do parlamentu. Drobniejsze płotki Henryk kazał puścić wolno.

— Nie molestujcie ich — powiedział. — Odstrasżający przykład, jaki będziemy musieli im dać, ostudzi ich heretycką krew.

Więźniów jednakże nie spalono na stosie, jako heretyków, lecz powieszono na szubienicy, jako buntowników. Kat wieszał ich czwórkami,

a  
egzekucja  
dostarczyła  
mieszkańcom

Londynu

pasjonującego widowiska, trwającego przez cały dzień. Czasy były brutalne. Chrześcijaństwo ucywilizowało wprawdzie ludzi, ale nie nauczyło ich tolerancji ani współczucia z cudzym cierpieniem.

Johna Oldcastle'a na razie nie złapano. Ukrywał się aż do roku 1417, kiedy to pod nieobecność Henryka, jego bratu Bedfordowi przypadło w udziale nakazać wykonanie dawnego wyroku wydanego przez arcybiskupa Arundela, nie żyjącego już podówczas od trzech lat.

Łońdom zabrakło przywódców. Pozbawieni poparcia, udzielanego im przez część szlachty, rycerzy i posłów do parlamentu — nie mogli przeprowadzić żadnych zmian w Anglii. A jednocześnie w kraju zapanowały nastroje wojenne i zmniejszyła się sympatia dla „wariatów”, którzy głosili, że wojny są sprzeczne z duchem Nowego Testamentu.

Jednakże herezji nie wypłeniono całkowicie. Wygnała z ulic, placów i rynków, gdzie nie można już było głosić kazań, schroniła się do domów

paru nieustraszonych sympatyków, do jaskiń, na leśne polany, gdzie ewangeliści potajemnie odczytywali angielską biblię i objaśniali ją półgłosem.

Historia wypłata złośliwego figla Henrykowi V. Sir Francis Drake i inni wielcy awanturnicy epoki elżbietańskiej, którzy w półtora wieku później zdobędą nowe ziemie i niezmierzone bogactwa dla swego kraju — trwalsze zdobycze od osiągnięć Henryka — będą wyznawcami protestanckiej reformacji równie nieugiętymi, jak Henryk w prześladowaniu ich poprzedników, lolardów i husytów. On by się radykalnie rozprawił z tymi korsarzami i admirałami, jako heretykami. A oni przyjęli jego właśnie i jego wojenne sukcesy za wzór patriotyzmu. Rozprawiwszy się z rebelią szybko, zgodnie z prawem, z korzyścią dla własnych interesów i ku jawnemu na pozór zadowoleniu większości swoich poddanych, król zabrał się do zyskania sobie przychylności parlamentu. W Izbie Gmin zasiadało teraz, obok rycerzy i szlachty wiejskiej, właścicieli ziemskich, coraz więcej zamożnych mieszczan, których interesy wiązały się z handlem. Rodzące się współdziałanie pomogło w zastąpieniu zainteresowań lokalnych i klasowych szerszymi — narodowymi i patriotycznymi. Kupcy byli równie egoistyczni w dążeniu do rozwoju handlu, jak szlachta w popieraniu rolnictwa, ale podówczas Anglia potrzebowała rozwoju handlu, by utrwalić i rozwinąć dobrobyt. Przymierze mieszczan z ziemianami wzmocniło również parlament w jego stosunkach z królem i magnaterią, poszerzając społeczną bazę, z której wywodzili się obieralni reprezentanci narodu.

Pierwszy parlament Henryka zażądał od niego deklaracji, że w ciągu jego panowania nic, co dotyczyłoby bezpośrednio jego poddanych, nie będzie zarządzane ani wprowadzone w życie bez zgody Izby Gmin. Ten poważny krok naprzód na drodze do rządów konstytucyjnych na daremno usiłowano wymusić na kilku poprzednikach Henryka. On zgodził się bez wahania.

— Niechaj nikt się nie obawia nawrotu takiej autokracji, jak za króla Ryszarda — powiedział. — Potrzebne to królestwu i potrzebne mnie, aby korona i lud stanowiły jedność.

Dowiódł tymi słowy zrozumienia, że tylko rząd, cieszący się poparciem rządzonych i przynajmniej po części zasięgający ich zdania, będzie wolny od zamieszek wewnętrznych. Takie samo zrozumienie stanie się fundamentem, na którym zbudują swo-

ją popularność i swoje osiągnięcia wielcy Tudorowie: Henryk VIII i Elżbieta I. A brak zrozumienia tej zasady zaprowadzi Karola I na szafot.

Ten jawny dowód gotowości współpracowania, współdziałania z parlamentem raczej, niż dyktowania mu, był dla osobistych planów Henryka nie mniej ważny od późniejszych zwycięstw na polach bitew, zabezpieczając wewnętrzny spokój w kraju. Jasne stało się dla wszystkich, że Henryk potrafił rządzić ze stanowczością, a zarazem zyskiwać ufność poddanych.

*Rozdział IX*

# GDY CESARZ SCHLEBIA

Świadom, że wykonując rozkaz zabijania jeńców pod Agincourt, jego wojsko poświęciło znaczną część zysków wojennych, król Henryk hojną ręką rozdziela nagrody wojownikom wszelkiego stanu. Prócz tego niejeden z nich przywozi do domu cenne łupy, wbrew zakusom mieszczan z Calais. Pałace, dwory i dworki szczycą się niebawem trofeami — cennymi przedmiotami ze srebra, złota i klejnotami.

Natychmiast po zakończeniu uroczystości powitalnych w Londynie, zwycięscy spod Agincourt rozpraszają się po całym kraju. Młodzi wojownicy dobywają splamione rękawiczki albo podwiązki ofiarowane im w sierpniu przez panią serca, z którą spędzili ostatnią noc przed wyprawą i śpieszą upomnieć się o nagrodę za męstwo. Łucznicy powtarzają opowieści — mocno podkoloryzowane — o własnej dzielności w wielkiej bitwie. Niejeden oznajmia z całą pogodą: — Lepiej bym zostawił swoje zwłoki na polu pod Agincourt, niżbym teraz nie potrafił tak opowiadać, iżby mi fundowano piwo do końca moich dni !

Król poświęca się dyplomacji. Książę Bedfordu trzymał kraj w ładzie i spokoju podczas nieobecności brata. Niewiele petycji o naprawienie krzywd albo zmiany administracyjne napływa teraz do rąk Henryka. Nie jest to zresztą wyłącznie zasługą regenta. Podczas wyprawy król wcale nie odciął się od swego królestwa i poddanych. Relacje i listy docierały do niego nie tylko w Harfleur. Słano za nim gońców podczas pochodu do Calais i z powrotem

z jego decyzjami, zaleceniami i potwierdzeniami.

Gdy król jest w Anglii, wszystkie publiczne dokumenty są pisane jego własną ręką: od instrukcji dla posłów na dwór papieski i cesarski do zalecenia sprawiedliwego rozstrzygnięcia skargi jakiejś ubogiej kobiety na chciwego magnata. Jedno takie zalecenie, skierowane do kanclerza, brzmi:

„Sprawiedliwość i słusność mają być wykonane; a zwłaszcza dopilnujcie, aby biedniejsza strona nie doznała krzywdy.”

Obrona ubogich i oddalonych od owych arterii, którymi płynęła władza, przed możnymi i wpływowymi jest fundamentem wewnętrznej polityki i praktyki Henryka. Lokalni magnaci są zazwyczaj również wykonawcami prawa w stosunku do własnych dzierżawców i innych mieszkańców okolicy. Król pilnuje, aby sędziowie z Londynu, stolicy, gdzie powstają prawa obowiązujące w całym kraju, często wyprawiali się na objazdy prowincji i wysłuchiwali apelacji od postanowień lokalnych sądów pierwszej jurysdykcji. I biada takiemu możnemu pniaczowi, o którym król się dowie, że prześladowa swego słabszego przeciwnika.

Georges Chastellain, poeta i kronikarz burgundzki, bynajmniej nie stronnik ani przyjaciel Anglików, zanotuje po śmierci króla Henryka V: „Nad wszystkimi innymi książę sprawiedliwy, zarówno w stosunku do siebie, dla przykładu, jak i w stosunku do innych, według równości i prawa. Nie popierał nikogo jedynie z faworu, ani nie ścierpiał winy nie ukaranej z powodu protekcji”!

Trudno się dziwić, iż poddani darzyli powszechnym przywiązaniem

takiego monarchę, nieustannie po powrocie z kampanii podróżującego po kraju, by osobiście sprawdzić stan królestwa. A sytuacja się zmienia. Ludność nie tyle się interesuje teraz sprawami wewnętrznymi, ile rozgląda się za nowymi możliwościami podbojów. W swoim władcy widzi przede wszystkim świetnego wodza, króla-wojownika. On sam w nich obudził entuzjazm wojenny, który im więcej przypada do gustu od ospałości za czasów Ryszarda II — zajętego utrwalaniem własnych autokratycznych rządów, a nie chwałą oręża swego kraju — i za czasów Henryka IV, z konieczności troszczącego się przede wszystkim o zabezpieczenie uzurpowanego tronu. Przez wiele tygodni po bitwie pod Agincourt rozprawia się w całym kraju na jeden jedyny temat. A gdy w pałacach magnackich i w ubogich chatach, w zamkach i w karczmach toczy się jeszcze raz wielka bitwa, i tym razem nie parę tysięcy walczy, a trzy miliony słucha z zapartym tchem — wydaje się wówczas, jakby przekonanie Henryka o wypełnionej misji opatrności udzielało się jego poddanym. Od opowiadań o świętym Jerzym, którego postać widziano nad polem bitewnym, już tylko jeden krok do dostrzegania ręki opatrności w cudownym zwycięstwie. A od akceptacji cudu jeden krok do...

— Król położył ufność w Bogu, a Bóg upokorzył jego nieprzyjaciół...

— Ma łaskę w oczach Boga, to jasne...

— A jeśli król, to i my, jego żołnierze i poddani, również...

— Może naprawdę pod tym królem jesteście wybrani, by ukarać grzechy rozwiązłej Francji...



Biskupi i księża rozprawiają z ambon o sprawiedliwej retribucji — z bronią w ręku. Poczucie własnych cnót, misja religijna nie po raz pierwszy ani ostatni w historii świata roznieca ducha wojowniczości. Święty Jerzy, zbawca i patron, mniej nawet panuje nad umysłami od Jehowy, surowego i karzącego. W jakim stopniu pod podszewką sprawiedliwej misji ukarania grzesznych Francuzów kryje się pożądanie sławy, łupów i pieniędzy za okupy — to już sprawa własnego sumienia każdego Anglika. Ludność wie o śmiałych aspiracjach króla, popiera je i zachęca. Jego dotychczasowe sukcesy zrodziły takie nastroje. A nastroje poddanych podniecają króla, jeśli w ogóle podnieta była potrzebna, do nowych sukcesów. Henryk wy-

prawi się znowu, i znowu zwycięski, rozszerzy swe podboje, zdobędzie z bronią w ręku koronę Francji, a zdobywając ją, ustali swoje prawo dowodzenia europejską krucjatą przeciwko niewiernym.

Tymczasem pozostawioną w Harfleur załogę oblegają nowozaciężne wojska francuskie, otoczywszy miasto ze wszystkich stron, prócz jednej tylko: od morza. Henryk rozkazuje zebranie nowej armii. Sam zaś zabiera się do posunięć dyplomatycznych w celu odizolowania Francji i zyskania sprzymierzeńców na kontynencie, a przynajmniej zapewnienia sobie neutralności różnych władców.

Jako dyplomata, Henryka cechuje układność manier, a co ważniejsze, potrafi on bacznie obserwować tych, z którymi pertraktuje i wykorzystywać ich słabości. Tak właśnie, napomykając pewnemu księciu kościoła o ewentualnej wysokiej pensji, Henryk doprowadza do zawarcia

przymierza z arcybiskupem Kolonii. Prowadzi negocjacje ze Związkiem Hanzeatyckim, zapewnia sobie przychyłność Wenecji. W tych obu wypadkach wysunie jako przynętę to, co najskuteczniej przemawia do nadbałtyckich mieszczan i weneckich kupców — przywileje handlowe. Następnie podpisuje traktat z hiszpańskim królem Aragonii. A wszystkie te pomniejsze, ale w sumie ważne negocjacje ułatwił prestiż, zdobyty pod Agincourt.

Najpoważniejszą sprawą jest dla Henryka zyskanie przyjaźni Zygmunta, króla Węgier, a od 1411 roku cesarza świętego imperium rzymskiego. W r. 1414 Zygmunt zawarł przymierze ze swymi orleańskimi kuzynami, przywódcami faksji Armaniaków. Ale teraz, po klęsce Francuzów, zastanawia się nad nową orientacją swej zagranicznej polityki.

Podobnie jak Henryk, cesarz jest pobożny i życzy sobie umocnienia Kościoła, którego jest teoretycznie obrońcą. Ale na razie jego życzenia nie na wiele się przydają. Kościół rozdziera Wielka Schizma. Kardynałowie są po większej części ludźmi światowymi i przekupnymi. Nominacje na wszystkich szczeblach kleru dostają się temu, kto za nie najwięcej ofiaruje. Se-

ktę w łonie kościoła i oderwane od kościoła domagają się rozmaitych reform. Między innymi żądają, aby księża — od tych odzianych w purpurę i szkarłat aż do skromnych proboszczów — ponoć następcy apostołów, powrócili do prostoty życia galilejskich rybaków. A co najgorsze, jest teraz dwóch na raz papieży, a do maja 1415 roku, kiedy

wycofał się Jan z Pizy, było ich trzech! Rywalizacja między nimi nie ma nic wspólnego z religią. Dwaj obecni papieże są po prostu politycznymi marionetkami. Włosi mają Benedykta XIII. Wolą, aby w Stolicy Apostolskiej zasiadał Włoch, choćby tylko po to, by mogli sami korzystać z jego olbrzymich bogactw, wpływu i znaczenia. Francuzi mają tak zwanego antypapieża, Grzegorza XII, w Awinionie. Popierają go, bo lepiej służy ich interesom i zapełnia kolegium kardynalskie Francuzami. Zygmunt chciałby zaleczyć Wielką Schizmę kuracją, najkorzystniejszą dla jego interesów. W perspektywie połączenia pod jednym berłem królestw Anglii i Francji widzi szansę wyeliminowania antypapieża awiniońskiego i umocnienia pozycji Włocha. Cesarz, znowu podobnie jak Henryk V, marzy o wielkiej krucjacie zjednoczonej, chrześcijańskiej Europy. Dla Zygmunta wszelkie środki prowadzące do celu, zasługują na próbę. Jeśli się rozczaruje, może zawsze je porzucić, a spróbować czegoś wręcz odwrotnego. Przyjmuje więc zaproszenie Henryka. Oficjalnie, ma być mediatorem między Francją a Anglią. W rzeczywistości orientuje się doskonale, czego król Anglii po nim oczekuje.

— Dwór cesarski — mówi Henryk do brata, księcia Bedfordu — słynie jako najwspanialszy w Europie. Dorównaliśmy w sztuce wojennej Francuzom, a nawet ich przewyższyli. Musimy teraz pokazać cesarzowi, że ma sobie równych w sztuce gościnności.

Parlament zgodził się na projektowane negocjacje, ale — zazdrosny o niezależność, jaką dawała królestwu jego wyspiarskość — z jednym zastrzeżeniem. Dlatego też pierwsze powitanie cesarza, gdy jego okręt

zawija do Dover dnia 1 maja

1416 roku, wydaje się niekoniecznie gościnne. Humphrey, książę Gloucester, wjeżdża na płyciznę do morza z obnażonym mieczem i wzbrania cesarskiemu gościowi lądowania, dopóki nie spełni zastrzeżenia parlamentu, to jest, dopóki nie złoży oficjalnie oświadczenia, że nie zamierza w żadnej formie posłużyć się władzą cesarską podczas swego pobytu na ziemi angielskiej.

Ale później wszystko idzie na pozór gładko między cesarzem a królem.

Oddziały rycerzy, eskortujące Zygmunta i jego olbrzymią świtę do Londynu, są kilkakrotnie powiększane w ciągu drogi. Henryk jest mistrzem gestu, wie, jak zyskiwać sobie przychylność, gdy mu na tym zależy. Oddaje swój pałac w Westminsterze do dyspozycji cesarza, jego rycerzy, magnatów i dam, a sam przenosi się do skromnej siedziby arcybiskupa Ganterbury na południowym brzegu Tamizy.

Odbywają się wielkie bankiety i uczyty, zanim polityczne dyskusje wprowadzą

poważniejszą

atmosferę.

Cesarza

dekoruje

się

najszlachetniejszym ze wszystkich, jakie Anglia posiada, Orderem

Podwiązki, istniejącym od blisko stu lat. Złoty łańcuch, nadawany wraz z

tym orderem, Zygmunt będzie nosił przy uroczystych okazjach do końca

życia. Zostaje również mianowany rycerzem św. Jerzego.

Zygmuntowi tak przypada do gustu gościnność Henryka, włączająca również regularne podarunki pieniężne, że pozostaje w Anglii przez cztery miesiące. W ciągu tego czasu dowiaduje się o ambicji swego gospodarza poprowadzenia krucjaty i gorąco temu projektowi przyklaskuje. Wątpliwe, czy wierzy zapewnieniom Henryka, że właśnie po to, by zjednoczyć Europę w przygotowaniu do krucjaty pragnie korony francuskiej. Ale udaje dobrą wiarę, bo mu to odpowiada, bo służy mu za wymówkę do zerwania przymierza z Armaniakami, którzy nie interesują się wyprawami krzyżowymi.

Król opóźnia letnią przerwę w obradach parlamentu, aby jego cesarski gość mógł przysłuchiwać się sesjom i studiować metody obrad. Przybywa poselstwo francuskie, by pertraktować o pokój z cesarzem i królem.

Henryk co prawda nie przejawia entuzjazmu do tych pertraktacji, które z pewnością nie zapewnią mu tego, czego sobie życzy. Ale dobry Bóg, czy też może ktoś, komu leżą na sercu plany Henryka, podszeptuje złośliwe rady do ucha Francuzom. To oni sami — ich prawa ręka nie wie, co czyni lewa — uniemożliwiają kontynuację rozmów.

Pewnego dnia, gdy trwają narady, królowi doręczono pilne depesze z Portsmouth. Przeczytawszy, czerwieni się z gniewu, podnosi głowę i mierząc posłów francuskich błyszczącym wzrokiem, powiada:

— Panowie, wasi rodacy żartują sobie z dobrej woli pokoju jego cesarskiej mości, naszej i nawet z waszych własnych wysiłków w tej

mierze !

Wydając się szczerze nieświadomi przyczyny tych słów, Francuzi spoglądają na siebie pytająco. Henryk, zwracając się do Zygmunta, oznajmia:

— Oddziały francuskie, przewiezione na statkach genueńskich, wynajętych flocie francuskiej, wylądowały na wyspie Wight i spustoszyły ją ogniem i mieczem! Próbowali również podpalić angielską flotę stojącą przy redzie w Southampton, ale ręka Boga szczęśliwie udaremniła te zakusy !

W ciągu następnych dni odparto kilka dalszych prób lądowania na ziemi angielskiej, a najeźdźców odpędzono. Posłów francuskich odesłano z kwitkiem do domu. Od tej chwili przygotowania Henryka do drugiej wyprawy za Kanał nabierają nowego rozmachu. Cesarz podpisuje traktat o wieczystej przyjaźni z królem Anglii, jego synami, a w braku tychże — z jego braćmi. Obie strony zobowiązały się pomagać sobie wzajemnie w razie zaatakowania przez jakiegokolwiek nieprzyjaciela. Każda ze stron może wszcząć wojnę z królem Francji, a druga strona dopomoże. I cesarz obiecał popierać pretensje Henryka do francuskiego tronu.

Ale Henryka niełatwo oszukać. Wie dobrze, że pobożność nie zawsze łączy się z wysoką moralnością. Zygmunt jest jednym z najfałszywszych negocjatorów w Europie, nienajgorzej w takie podejrzane charaktery wyposażonej. Tylko dopóty, dopóki to odpowiada jego celom, będzie szanował własne słowo i słowo to będzie miało wartość dla tego, komu je dał. W roku 1413, gdy wielkiego

czeskiego reformatora Jana Husa powołano przed trybunał duchowny w Konstancji, cesarz Zygmunt zagwarantował mu bezpieczeństwo „listem żelaznym”. Po półtorarocznym więzieniu Hus zginął na stosie, jako heretyk. Cesarz, obecny osobiście na sali w chwili, gdy trybunał wydał wyrok, nie ruszył nawet palcem, by ratować nieustraszonego reformatora. „List żelazny” był jedynie podstępem, by skłonić łatwowiernego Husa do opuszczenia Czech, gdzie, otoczony przyjaciółmi i zwolennikami, zażywał stosunkowego bezpieczeństwa.

Wobec takiej reputacji Zygmunta arcybiskup Chieheley, powątpiewając o trwałości traktatu, zapytuje króla:

— Czy cesarz dotrzyma ze swojej strony tych postanowień?

Henryk uśmiecha się, wzrusza ramionami, rozkłada ręce

i odpowiada:

— Ach, czy dotrzyma? Ale ja nie liczę na żadną pomoc jego wojsk. Mnie wystarczy, że ich nie poprowadzi, ani nie wyśle przeciwko nam. A tego nie uczyni tak długo, dopóki mój nacisk na Francję oznacza dla niego nadzieję na usunięcie papieża z Awinionu. I nie zapominajmy, mój zacny arcybiskupie, jak olbrzymi jest prestiż naszych osiągnięć. Niejeden, który by sprzymierzył się z Francją, zawaha się teraz, zanim wystąpi przeciw królowi Anglii — i cesarzowi.

Powróciwszy do Niemiec cesarz, nie bez przesady, przedstawia Anglię jako raj w porównaniu ze wszystkimi innymi krajami, które odwiedzał, a króla angielskiego jako „pełnego chwały i łaskawości, najlepszego władcę swego narodu”. W brzmieniu tych nazbyt entuzjastycznych pochwał

można usłyszeć dźwięk złotych monet, których pełną szkatułkę wywiózł cesarz z Anglii.

— Cesarz jest naszym sprzymierzeńcem. Książę Burgundii nie wiadomo, czy nam dopomoże, ale z pewnością nie będzie oponował, choćby dlatego, że właśnie zajęty jest walką z Armaniakami pod Paryżem. Mamy użyteczne traktaty z innymi państwami. Wszystko gotowe do nowej kampanii.

Tak mówi król Henryk do swojej rady wkrótce po wyjeździe cesarza Zygmunta. W r. 1415 wyprawił się z nielicznym wojskiem — raczej, by wypróbować własnych żołnierzy i zademonstrować swoje pretensje, niż w nadziei podbicia większych obszarów. Ale w r. 1416 planuje nie tylko najazd, jakich było wiele w ciągu tej długotrwałej, sporadycznie prowadzonej wojny z Francją: teraz chce utrwalić władzę Anglii na znacznym obszarze francuskich terytoriów.

— Najpierw dokończę podboju Normandii, mego własnego dziedzicznego księstwa. Następnie uderzymy na południe, w samo serce Francji.

Taki plan wymaga strategii na skalę znacznie większą od wszelkich rabunkowych najazdów w przeszłości. Wymaga liczniejszych wojsk, więcej środków transportu. Przeprawy nie można dokonać, dopóki nie oczyści się Kanału ze wszelkich nieprzyjacielskich jednostek morskich. A na Kanale większy ruch teraz, niż poprzednio. Francuzi, z myślą o przeszkodzeniu inwazji, a także o niepokojeniu wybrzeży angielskich, najmują coraz więcej włoskich statków, wielkich karak z wysokimi



kasztelami przednimi i tylnymi. Pierwszą więc troską Henryka jest flota.

Po raz pierwszy w historii król Anglii zabiera się do budowania floty, jako stałej siły bojowej.

Doki pracują dniem i nocą. Okrętów królewskich będzie trzydzieści — wyjątkowo dużych, jak na poprzednio panujące w Anglii stosunki. Sześć z nich liczy ponad 500 ton. Henryk osobiście układa regulamin dla marynarki wojennej, jak poprzednio dla wojsk lądowych, kładąc wielki nacisk na subordynację i dyscyplinę. Wysyłane po prowiant podjazdy mają płacić za wszystko, co zabierają, od przyjaciół czy od wrogów.

Rabowanie, niszczenie kościołów, molestowanie kobiet — wzbronione pod karą śmierci. Każdy kapitan obowiązany jest dopilnować, by wszyscy na pokładzie jego okrętu — żołnierze

i marynarze — znali na pamięć cały regulamin, ustęp po ustępie.

W sierpniu roku 1416, kiedy wojska francuskie naciskają coraz potężniej na Harfleur od strony lądu, wynajęta flota genueńska podchodzi do ujścia Sekwany i odcina garnizon od Anglii, z którą utrzymywano łączność morzem. Flota angielska natychmiast rozwija żagle i pod dowództwem księcia Bedfordu wyprawia się przeciwko Genuńczykom.

W bitwie morskiej, trwającej pięć godzin, po zbombardowaniu jednostek nieprzyjacielskich kulami armatnimi, okręty angielskie podchodzą do abordażu wielkich karak. Strzały i różne pociski zasypują pokłady.

Marynarze i żołnierze z mieczami, pałkami i dzidami przeskakują na okręty nieprzyjacielskie, zmieniając pokłady w małe, ograniczone pola bitwy. Trzy karaki poddają się, czwarta „podziurawiona kulami

armatnikami" idzie na dno. Reszta floty genueńskiej ucieka do Brestu.

Pierwszy w tej kampanii sukces Henryka. Zwycięskie bitwy morskie są bardzo zyskownym przedsięwzięciem. Połowa wartości wszystkich zdobytych okrętów, wraz z ewentualnymi okupami, uzyskanymi później od bogatych jeńców wziętych do niewoli, idzie do podziału między zwycięską załogę. Jeżeli okręt, który zdobył przyz, należy do floty królewskiej, to drugą połowę zabiera król; jeżeli dostarczył go prywatny armator, otrzymuje ćwierć zdobyczy, a ostatnia ćwierć należy do króla.

Bitwa koło ujścia Sekwany stanowiła dobry początek, ale morza jeszcze nie są bezpieczne z punktu widzenia transportu armii, ani też przygotowania na lądzie nie ukończone. W dokach nadal wrze ruch, dźwięczą młoty i piły, dźwiga się w górę maszty, umocowuje takielunek i żagle. Sprawy wojsk lądowych także w toku. Zawiera się kontrakty z kapitanami, którzy doprowadzają kompanie żołnierzy, pełną parą pracują odlewnie dział, wycina się łuki i strzały, napina cięciwy, umieszcza pióra, czyści i smaruje zbroje. Zewsząd ściąga się prowiant, zapasy. Parami, czwórkami, nadchodzą wielkie konie pociągowe. A król opracowuje swój plan.

Zastępcą wodza jest mianowany książę Clarence. Skoro los odmówił mu szansy, aby być „pierwszym z pierwszych”, przyjął nieuniknione z taką dobrą wolą, na jaką go stać. Bedford znowu zostaje, aby pilnować królestwa pod nieobecność brata.

- Naszymi jedynymi prawdopodobnie przeciwnikami w polu będą

Armaniakowie — mówi Henryk do Clarence'a. — Teraz zwą się ponoć

Delfinistami. Zajęci są w tej chwili wojowaniem z Burgundią w okolicach Paryża. Wydaje się, że nie ma potrzeby liczyć się z jakąś walną bitwą. Nie oczekujemy drugiego Agincourt!

— Mój zły los sprawił, że mnie ten dzień ominął! — wzdycha

Clarence. Po wzięciu Harfleur odesłano go do kraju, chorego na dyzenterię.

— Wkrótce będziesz miał pod dostatkiem sposobności okrycia się chwałą — pociesza go Henryk. — Ale raczej będziemy zdobywać zamki i ufortyfikowane miasta, niż potykać się w otwartym polu. I zorganizujemy osłonę portów, skrzyżowań gościńców, brodów i mostów, wszelkich punktów strategicznie

ważnych. O ile nie będziemy mieli

zabezpieczonego na stałe władania, każdy podbój będzie tylko chwilowy.

Wspólnie dwaj bracia opracowują szczegóły kampanii. Założywszy, że wylądują we Francji latem 1417 roku, muszą najpierw zdobyć przyczółek obszerniejszy od niepewnego Harfleur i założyć kwatery zimowe.

Angielskie Calais leży za daleko na północny wschód, za daleko od Paryża. Ślęcząc nad rozłożonymi mapami, Henryk kładzie wreszcie palec na napisie: „Caen”. Na zachód od Honfleur, o dziesięć kilometrów w głąb lądu, nad rzeką Orme — Caen odpowiada wszelkim postulatom.

— Stąd — powiada król — będziemy mogli opanować resztę Dolnej Normandii, a później Górną Normandię, za doliną Sekwany.

— Ale żeby utrzymać Caen — dodaje Clarence — musimy się

zabezpieczyć od wschodu. Trzeba będzie wkroczyć do Pikardii i zająć linię Somy.

— Słuszna uwaga — zgadza się Henryk. — A także musimy spojrzeć na południe. Trzeba by zająć Maine, część Anjou, Turenii i Orleanatu.

— Tak, to by tworzyło dobrą całość obronną — rozważa Clarence. —

Ale to niełatwe zadanie!

— Damy radę! — oświadcza Henryk, klepiąc brata po ramieniu. —

Mało mamy żołnierzy takich, jak ty, ale niejeden będzie się starał ci dorównać. A do naszej „całości obronnej” dodamy fortyfikację Paryża.

— Fiu! — zagwizdał Clarence. — Liczysz, że twoje strzały daleko zalecą.

— Liczę — odpowiada Henryk — że z boską pomocą zostanę królem Francji.

— No tak, ewentualnie — zgadza się Clarence, choć z powątpiewaniem. — Ale już teraz, w tej kampanii?

— To cel tej kampanii.

— Więc czemu nie pójdziemy prosto na Paryż, gdy mamy jeszcze ludzi świeżych i zdrowych? — pyta Clarence.

— Paryż to jeszcze nie jest cała Francja. Musimy najpierw znacznymi obszarami ziem zawładnąć, aby ducha odebrać stolicy i radzie koronnej Karola. Plani, który opracowujemy, będzie dłuższy w realizacji od pochodu prosto na Paryż, ale pewniejszy i kosztem minimum krwi angielskiej. A to będzie po myśli tych matek, ojców, żon i kochanek, które oddają pod naszą pieczę swoich bliskich. Musimy dbać o to, Tomasz, by

nasza baza w ojczyźnie zawsze była jednej myśli z naszymi żołnierzami na wojnie.

Chociaż nikt prócz króla i jego dwóch starszych braci — Humphrey jest gadułą i nie można mu powierzać państwowych tajemnic — nie wie, że pierwszym celem wyprawy jest Caen, jednakże w przygotowaniu wojska, ekwipunku i broni największy nacisk kładzie się na potrzeby oblegania miast. Żołnierzy informuje się o obowiązujących pod tym względem obyczajach, respektowanych przez króla. Jeżeli załoga odmawia poddania się, wówczas oblegający po zdobyciu miasta zwykle mają prawo łupić i zabijać kogo popadnie, wyjąwszy tylko kościoły i księży. Henryk stara się rozciągnąć tę nietykalność na kobiety i dzieci, chociaż nie zawsze z powodzeniem. Sam zresztą grozi gwałtami miastom, które mu się opierają.

Ta zasada „poddania się albo grabieży i gwałtów” jest zawsze najtrudniejszym dylematem dla dowódców załóg. Poddać się — to zdradzić swego księcia lub suwerena; opór — stawia mieszkańców miasta w obliczu wszelkich okropności. Jedni z dowódców ufają swoim zdolnościom wytrwania w oporze aż do nadejścia odsieczy; inni, mniej ufni, ale osobiście odważni, hartują swoje serca i żądają, by mieszczanie dzielili ich własne ryzyko; a jeszcze inni zawierają potajemny pakt z oblegającym, zgodnie z którym po demonstracji oporu, wystarczającej dla zadokumentowania „lojalności”, miasto poddaje się i nie zostaje złupione, jedynie obciążone okupem.

Przygotowania do inwazji na Francję z roku 1417 obejmują dostawę

najcięższych dział oblężniczych, jakie tylko potrafią w Anglii odlać, a zaprzęgi z dwudziestu i więcej potężnych perszeronów zdołają uciągnąć. Angielscy odlewnicy są na" wyższym poziomie od angielskich kanonierów, więc sprowadza się czterech wytrawnych artylerzystów z Niemiec. Ale nawet dla nich strzelanie z takiego działa, jak „Londyn" albo „Królewska córka" częściej, niż raz na godzinę, jest nie lada wyczynem. Zabierze się też na wyprawę maszyny wojenne z dawniejszych dni — katapulty do ciskania dużych kamieni na wały, beluardy czyli wysokie, ciągnięte na kołach wieże oblężnicze, z których łucznicy mogą bezpiecznie strzelać przez wąskie otwory w drewnianych ścianach w dół, do obrońców miasta.

Jeszcze żaden władca angielski nie miał wojska lepiej wykwapowanego i liczniejszego: szesnaście tysięcy czterystu żołnierzy. W jego skład wchodzi również: wielki koniuszy nadworny; królewska gwardia przyboczna; nadworny kuchmistrz, podczasz, stolnik, wraz ze służbą królewskiego dworu; dziekan kaplicy królewskiej oraz wielu innych kapelanów i księży dla funkcji religijnych i jako sekretarze; górnicy, ponad dwustu wykwalifi-

kowanych rzemieślników różnych profesji; dworzanie i paziowie; ponad dwudziestu chirurgów i lekarzy, przydzielonych do świty królewskiej, a także osobiści lekarze wielu magnatów i rycerzy; i królewski minstrel z siedemnastu muzykantami, kobziarzami, trębaczami i skrzypkami.

Oprócz szczurów lądowych, żołnierzy i wszelkich innych — marynarze, obsługujący flotę wielkich transportowców, niektórych

zakupionych w Barcelonie albo wynajętych w Holandii, ale przeważnie, zwłaszcza jeśli chodzi o mniejsze statki, czasem o tonażu poniżej stu ton — dostarczonych przez angielskich magnatów albo armatorów. Razem wzięwszy, imponująca to wyprawa z kraju o ludności liczącej niecałe trzy miliony — i to w dwa lata po zdziesiątkowaniu przez choroby wojsk spod Harfleur i Agincourt.

Z początkiem lata zakończono zamustrowanie żołnierzy. Henryk, przebywający w Portsmouth z wojskiem, wzywa hrabiego Huntingdon, obecnie na czele floty.

— Spada na ciebie wielka odpowiedzialność — mówi do niego. — Twoim zadaniem jest uprzętać morze ze wszelkich statków nieprzyjacielskich.

Zabiera hrabiego na wyżynę nadbrzeżną, skąd, jak okiem sięgnąć, białą się namioty żołnierskie. Wskazuje mu też las masztów i statków, upchanych w każdej zatoce, każdym ujściu.

•— Bezpieczeństwo ich wszystkich zawisło od ciebie! — ciągnie król.

— Oni pobiją Francuzów na lądzie po wielekroć, ale nie mogą tego zrobić, dopóki ty nie pobijesz Francuzów i ich włoskich jurgieltników na morzu.

— Jeśli zawiodę, najjaśniejszy panie — odpowiada Huntingdon — to nie dlatego, abym zawinił brakiem odwagi lub trwogą o moje życie.

— W twoją odwagę nie wątpimy — odpowiada król. — Ale nie mów o tym, byś mógł zawieść położone w tobie nadzieje. Bóg rozproszy nieprzyjacioły nasze. Połóż w Nim ufność, idź i oczyść drogę dla nas.

Hrabia i jego ludzie nic zawiedli. Zdobywają dwadzieścia sześć genueńskich i biskajskich statków, znowu usiłujących zablokować ujście Sekwany. Powtarzają taktykę Bedforda sprzed roku: podprowadzają swoje mniejsze statki tuż do potężnych karak, przymocowują się hakami i dokonują abordażu. Tak wściekle atakują, że od jednego zamachu zdobywają cztery wielkie jednostki, a cała reszta ucieka, chroni się do portów Bretanii i nie odważy się wychylić więcej na morze. Pojedyncze statki francuskie na Kanale kryją się do rybackich przystani i małych zatok. Morze zaprasza armadę henrycjańską, by swobodnie przepłynęła po jego falach.

Rozpoczyna się zaokrętowanie wojsk. Magnaci, rycerze, żołnierze, tłum łuczników, ze służbą, czeladzią, olbrzymim ekwipunkiem, zapasami tłoczą się na okręty transportowe, wzmocnione wysokimi parapetami i dodatkowymi działami. Jak zwykle, flota jest barwnie udekorowana. Żagle ozdobione herbami, haftowane w złote gwiazdy, malowane w strusie pióra. Flagi powiewają z każdego masztu i kasztelu. Między masztami zawieszono bandery.

Dodatkowe parapety i działa nie były potrzebne. Armada, opuściwszy Anglię dnia 30 lipca, żegluje przy sprzyjającym wietrze majestatycznie przez Kanał, nie molestowana przez nikogo. Lądowanie, nie napotykając oporu, odbywa się pomyślnie w Touques, na południowym brzegu ujścia Sekwany, o jakieś trzydzieści kilometrów od Caen. Nieliczny oddział jazdy strzela z kusz na długo, zanim okręty znajdą się w zasięgu strzał, po czym spiesznie umyka.



Król Henryk, zszedłszy z braćmi, Clarencem i Gloucesterem na brzeg,

klęka na ziemi francuskiej, którą chce uważać za swoją własność.

— Z Twoją pomocą, o Boże bitew, nie opuszczę tego kraju, dopóki

nim nie zawładnę, jako prawowity król.

A gdy to się stanie, poślubi również księżniczkę tej ziemi.

*Część trzecia*

**KORONA**

# FRANCJI

## *Rozdział X*

### **„URODZIŁEM SIĘ**

### **Z ŻELAZNĄ FIZJONOMIĄ”**

Francuscy jeźdźcy, którzy przezornie umknęli na widok podchodzącej do lądowania angielskiej armady, ukrywają się w pobliżu Touques.

Obserwują przez jakiś czas lądowanie i środki ostrożności, natychmiast podjęte przez najeźdźców. Po czym część z nich śpieszy gościńcem do Caen.

— Mamy ważne wiadomości dla dowódcy garnizonu —  
oznajmiamą wartownikom fortecy.

Philippe de Bayeux wychodzi do nich. Wysłuchawszy wieści, pyta:

— A co zrobili Anglicy po wylądowaniu?

— Rozesłali w okolice kilkanaście oddziałów żołnierzy i łuczników

— odpowiada jeden z jeźdźców.

— Czy roztasowali się w Touques?

— Kiedy odjeżdżaliśmy, wciąż jeszcze schodzili na brzeg. To wielkie siły, mają mnóstwo ekwipunku, zapasów, broni. Lądowanie długo potrwa.

— Powinniście byli zaczekać i sprawdzić, co później zrobią.

— Chcieliśmy tu jak najszybciej z ostrzeżeniem przybyć. Inni z naszego oddziału zostali w pobliżu wybrzeży. Przyjadą tu, skoro się tylko co do zamierzeń najeźdźców upewnią.

— Dobrzeście się sprawili — mówi de Bayeux. — Czemu przypuszczacie, że pójdą na Caen?

— Bo patrole zajęły stanowiska przy wejściach do dróg, prowadzących w tę stronę.

— Hm. Więc musimy się przygotować...

Caen jest podówczas jednym z większych miast Francji. Istnieje co najmniej od IX wieku, jest ośrodkiem żywej prowincji, rozwija się tu lokalny przemysł i handel. Słynie również z niezwykłej ilości kościołów. W północnej części leży Stare Miasto, w południowej — na wyspie między dwiema odnogami rzeki Orne — Nowe Miasto. Nad Starym Miastem góruje zamek, wybudowany na stromym wzgórzu przez tegoż księcia Normandii, Wilhelma Zdobywcę, który w XI wieku najechał i podbił Anglię. Fortyfikacje, otaczające obie części miasta, łączy jeden jedyny most, strzeżony przez silną twierdzę Św. Piotra. W roku 1346 król angielski Edward III zdobył Caen i wydał je w ręce swoich żołnierzy, którzy przez trzy dni rabowali, mordowali i gwałcili. W nadziei uniknięcia w przyszłości podobnego losu wybudowano drugą linię fortyfikacji obronnych.

Philippe de Bayeux przygotowuje się z całą energią do spodziewanego oblężenia. Liczy, że jeszcze minie kilka dni, zanim nieprzyjaciel ukaże się pod murami miasta. Śle gońców do Paryża, błagając o natychmiastowe, bezzwłoczne wysłanie odsieczy. Ufa, że wytrzyma, dopóki odsiecz nie nadciągnie. Wysyła też podjazdy w okolice po prowiant, a do stacjonujących nieco dalej na południe oddziałów wojsk francuskich — gońców z rozkazami, by przybyli i powiększyli siły jego garnizonu.

Klejnoty, srebra i gotówkę, własność kościelną i prywatną, przenosi się do

zamku dla bezpieczeństwa.

Do murów Caen z obu stron przytykają dwa opactwa. Jedno — St.

Etienne, zwane też Opactwem Mężczyzn — założył Wilhelm Zdobywca

w roku 1070, i tam też został pochowany w siedemnaście lat później.

Drugie — La Trinité czyli Opactwo Dam — założyła żona księcia,

Matylda. Na zwołanej przez de Bayeux radzie wojennej podkreśla się, że

oba opactwa, chociaż zostały częściowe umocnione, stanowią

najsłabsze punkty

obrony, jako że górują nad murami Nowego Miasta. Gdyby nieprzyjaciel

nimi zawładnął, jego artyleria mogłaby strzelać w samo serce miasta.

— Opactwa należy zrównać z ziemią — dowodzi jeden

z francuskich rycerzy, doświadczony w sztuce oblegania i obrony miast.

—

A

także

przedmieścia.

Wówczas

będziemy

mieli

obronę skoncentrowaną, bez słabych punktów.

Inni w radzie popierają go. Ale gdy zakonnicy i mieszczanie dowiadują

się o tym, protestują głośno:

— Lepiej by nas samych zguba spotkała — wołają — niż byśmy mieli

popęlić takie świętokradztwo!

Ludzie wojny nie odpowiadają wcale zakonnikom i mieszczanom.

Jeźdźcy, którzy pozostali w ukryciu koło Touques, przybywają na spienionych koniach do Caen z wieścią, że Anglicy — a jest ich więcej, niżby można policzyć, więcej, niż w życiu widzieli — rzeczywiście zdążają w kierunku Caen. Francuzi zakładają miny pod Opactwem St. Etienne z zamiarem wysadzenia go w powietrze. Wysiedlają też mieszkańców przedmieść, podpalają domostwa i stodoły. Właśnie gdy pierwsze płomienie zaczynają się rozprzestrzeniać, nadjeżdża książę Clarence z forpocztą tysiąca żołnierzy. Przybyli jeszcze na czas, by ugasić pożar.

De Bayeux zamyka załogę w obrębie murów i bram miasta. Nie może ryzykować otwartej bitwy z Clarencem, bo gdyby go nawet pokonał, Francuzi straciliby więcej żołnierzy, niż mogą sobie pozwolić.

Clarence, w pełnej zbroi, zdjawszy tylko hełm, lokuje się niewygodnie na nocleg na trawniku jakiegoś małego ogrodu, oparłszy głowę o kamień zamiast poduszki. Ledwie zapadł w czujny sen, gdy budzi go jakiś głos tuż przy uchu. Obok niego przykucnął mnich.

— Musisz natychmiast przybyć razem z twoimi żołnierzami

— szepcze mu do ucha.

Clarence otrząsa się, jakby przez chwilę nie wiedział, czy nie śni. Odruchowo chwyta ręką za miecz. Nie jest zupełnie ciemno, błądy księżyc oświetla ogród.

— Spiesz, zaklinam na miłość Chrystusa i Najświętszej Mat

ki! — nalega mnich.

Rozbudzony zupełnie, Glarence pyta ze zdziwieniem:

— Kto jesteś? Gdzie mam śpieszyć? I dlaczego?

— Sir de Bayeux zamierza wysadzić w powietrze nasze opactwo —

mówi mnich. — Haniebne świętokradztwo! Trzeba temu zapobiec.

Udzielimy ci zupełnego odpustu za wszystkie twoje grzechy, przyszłe, nie tylko przeszłe!

Clarence w danej chwili myśli o Caen, nie o swoich grzechach, nawet tych przyszłych.

— Gdzie jest wasze opactwo? — pyta.

Mnich wskazuje ciemny zarys olbrzymiej budowli z wieżami.

Przybywszy pod Caen, Clarence zwrócił uwagę na oba opactwa i natychmiast postanowił, że będą stanowiły cel pierwszego szturmu.

— Zwołaj swoich żołnierzy! — błaga mnich. — Poprowadzę was sekretnym przejściem. Ocal opactwo i własną duszę!

— A jeżeli mnie chcesz oszukać, to nie ocalisz swojej głowy! — ostrzega Clarence.

Widzi ryzyko zdrady<sup>^</sup> ale nie pominie sposobności zawładnięcia opactwem. To może zadecydować o bardzo prędkim zdobyciu miasta. Po cichu zwołuje swoich ludzi. Razem idą w ślad za mnichem, starając się czynić jak najmniej hałasu...

Rankiem Philippe de Bayeux klnie siarczyście i dosadnie. Angielska flaga powiewa nad Opactwem St. Etienne.

— Jakiś zdrajca ich wpuścił! — wykrzykuje. — Każę go żywcem obedrzeć ze skóry!

Nie będzie miał nigdy sposobności wypełnienia tej groźby na nieznanym mnichu, dziękującym w tej chwili na klęczkach przed ołtarzem za „cudowne” ocalenie domu bożego.

Następnego dnia do Clarence'a przyłączają się dalsze oddziały, wysłane przez króla. Z ich pomocą zdobywa drugie opactwo. W dwa dni później nadciąga król z księciem Gloucester, hrabią Warwick, głównymi siłami wojsk i artylerią, załadowaną na flotyllę płaskodennych barek. Clarence chełpi się nie bez podstaw:

— Zapewniłem zdobycie miasta!

Philippe de Bayeux i jego oficerowie też tak sądzą. Bacznie obserwują, jak Anglicy obejmują w posiadanie oba opactwa, gdzie umieszczają główny sztab, jak rozstawiają wojska dookoła murów miasta, sypią szańce pod armaty. Niebawem kamienne wielkie kule zaczynają bombardować fortyfikacje. Inne pociski, z lżejszych armat, wciągniętych na wieże obu opactw, lecą prosto na ulice miast. Mieszczanie siedzą stłoczeni w kamienicach, wybierając na schronienie najmocniej zbudowane, a co bogatsi ofiarowują grube sumy za pomieszczenie ich w zamku.

Pomimo utraty opactw, obrońcy trzymają się dzielnie. Odpowiadają na bombardowanie Anglików energicznie i skutecznie. Ich działa są lżejsze, ale można z nich strzelać szybciej i celniej. Lekkie drewniane struktury beluard i parapetów osłonnych ponoszą poważne szkody. Ginie przy tym sporo żołnierzy. Angielskie podkopy podziemne natrafiają na podobne podkopy od strony miasta. Gdy oblegani i oblegający spotykają się w tych podziemnych korytarzach, wybuchają krótkie ale zżarte walki, ze

stratami po obu stronach.

Oblężenie ciągnie się w ten sposób blisko cztery tygodnie. De Bayeux codziennie z wieży wartowniczej na zamku przepatruje horyzont na południe i wschód, czy nie dojrzy nadciągającej odsieczy. Nikt nie nadciąga. Nawet jego gońcy nie wracają. Jak przewidywał Henryk, Delfiniści i Burgundczycy nadal zbyt są zajęci wzajemnym podrzynaniem sobie gardeł pod Paryżem. Zakładają, że Anglicy wypuścili się na taki najazd, jakich bywało wiele: zdobędą miasto lub dwa, zgromadzą łupy albo okup i wrócą do siebie. Ani Delfiniści ani Burgundczycy nie zaryzykują wycofania części sił na odsiecz ludności Normandii, bo przez ten czas ich przeciwnik tu na miejscu będzie górą.

Król Henryk kieruje nieznużenie oblężeniem, zachęca ludzi do coraz większych wysiłków. Żaden drobiazg nie ujdzie jego uwagi, nic nie jest zbyt błahe, by je pominąć. I najmniejsza nawet niesubordynacja nie ujdzie płazem.

De Bayeux sprawdza stan fortyfikacji, w których kule, wyrzucane przez „Londyn”, „Królewską Córkę” i inne powolne a ciężkie działa angielskie wyrwały wielkie wyłomy. Komendant garnizonu potrząsa głową.

— Mają przewagę nad nami — mruczy. — Zawsze będą mieli, dopóki nie potrafimy budować murów, które by się oparły ciężkim działom. Musimy być gotowi drogo sprzedać życie, bo lada dzień dojdzie do generalnego szturmu.

— A jaką my mamy nadzieję zwycięstwa? — odzywa się jeden z rycerzy. — Lepiej pertraktować o warunki poddania. Biłem się pod



Harfleur i pod Agincourt. Znam Anglików. Pod wodzą tego króla zawsze zwyciężą.

Ale de Bayeux jest ulepiony z innej gliny. Spogląda na swego towarzysza z pewną pogardą.

— Chociaż dwa razy walczyłeś po stronie zwyciężonej, to jeszcze nie znaczy, że musisz dostać w skórę trzeci raz. Ufam, że zdołamy utrzymać miasto; a jeśli nie, to w każdym razie zmniejszymy liczbę nieprzyjaciół. Zaś później będziemy się bronić na zamku.

Sprawdzają się jego przewidywania o prędkim szturmie. Następnego dnia, 3 września, żołnierze garnizonu dostrzegają króla Anglii z braćmi i switą zbrojnych rycerzy, jak podjeżdża do pogruchotanych murów. Niosą przed nim flagę rozejmu. Król każe przywołać pana de Bayeux, a gdy komendant staje na wałach nad nim, wzywa go do poddania miasta.

Francuz, nieulękły, odpowiada ze wzgardą:

— Jeżeli nie cenicie sobie krwi waszych żołnierzy, przyjdźcie. Bo zapewniam was, że my, Francuzi, zablokujemy wam drogę stosami waszych trupów.

Henryk szanuje odwagę, wyzwanie. Ale wolałby zaoszczędzić dalszych zniszczeń miastu, które chce mieć jako bazę do swoich operacji wojennych. Stąd również chce w przyszłości zarządzać całą Normandią. Na murach ciasno stłoczeni razem z żołnierzami stoją mieszczanie, chciwie słuchając każdego słowa dialogu. Do nich właśnie, do ich obaw i uczuć Henryk próbuje zaapelować. Obiecuje, że

jeśli załoga się podda, miasto uniknie okropności wojny: życie i mienie

mieszkańców będą uszanowane. Ale:

*...Miejcie dla samych siebie miłosierdzie,*

*Dopóki jestem wojska mego panem.*

*Póki łagodny i świeży wiatr łaski*

*Rozgania czarne, zaraźliwe chmury*

*Mordów, grabieży i szalonych gwałtów;*

*Albo za krótką zobaczycie chwilę,*

*Jak ślepy żołnierz zakrwawioną ręką*

*Splami krzyczących córek waszych sploty,*

*Będzie za srebrną brodę ciągnął ojców,*

*Święte ich głowy o mury rozbijał,*

*Wbijał na dzidy nagie niemowlęta,*

*Kiedy szalone matki dzikie wycia*

*Będą daremno do chmur wysyłały,*

*Jak przed wiekami żydowskie niewiasty*

*Na widok katów krwawego Heroda.*

*Więc wybierajcie : poddać się w pokorze,*

*Albo tak zginąć w występny uporze.*

Mieszczanie struchleli. Nawet paru francuskich rycerzy, poruszonych perspektywą losu miasta, przyłącza się do rajców miejskich, i razem błagają de Bayeux, żeby się poddał. Ale komendant nie chce o tym słyszeć.

Tego samego wieczoru Henryk wyjaśnia swoim oficerom plan ataku:

— Nasze oddziały ruszą do szturm na miasto jednocześnie ze wszystkich stron. W ten sposób zapobiegniemy skoncentrowaniu sił obrony w jednym miejscu. Hrabia Warwick zdobędzie Fort Św. Piotra, strzegący mostu. Mój brat Glarence zajmie stanowiska od strony wschodniej, a ja z Gloucesterem poprowadzimy atak na Nowe Miasto od zachodu... Ufajcie w Bogu, przyjaciele, a jutro o tej porze Gaen będzie w naszych rękach.

O świcie obrońcy i mieszczanie, przepędziwszy niespokojną trwoźną noc, słyszą trąby Anglików, wzywające do szturm. De Bayeux dostrzega, że znaczny oddział, którym dowodzi sam król, zajmuje się układaniem mostu z łodzi przez rzekę, oddzielającą ich od Nowego Miasta.

Rozstawiwszy obronę na wszystkich murach, zbiera więc najtęższych i najodważniejszych swoich ludzi, by bronić tego punktu, gdzie, jak się spodziewa, atak będzie najgwałtowniejszy, bo prowadzi sam król. Jego żołnierze biją się zażarcie, odrzucając raz za razem Anglików, próbujących sforsować szeroki wyłom w murach. Kusznicy francuscy strzelają bez przerwy do bliskiego celu. Obrońcy z murów leją ukrop i gorącą smołę na atakujących. Ludzie Henryka ponoszą znaczne straty. Francuzi walczą w zapamiętaniu, mieczem, toporem i dzidą, strącając Anglików, którzy przedarłszy się przez stosy zabitych i rannych, stawiają stopę wewnątrz murów. Z dala widać króla Henryka na czele, wymachującego swym wielkim mieczem, wzywającego ludzi do ataku.

Jeden z rycerzy angielskich, Sir Edmund Springge, prowadzi grupę żołnierzy z drabinami, by spróbować wspiąć się na mury. Ich śmiałość

budzi podziw de Bayeux. Aie obrońcy strącają rycerza i jego ludzi z powrotem za mury. Rycerz leży bezsilny, zamknięty w swojej zbroi, kości połamane upadkiem z wysokości, a Francuzi rzucają na niego słomę i chrust i palą go żywcem. Później Henryk rozkaże doczesne szczątki Sir Edmunda pogrzebać z honorami w Opactwie St. Etienne, w pobliżu grobowca Wilhelma Zdobywcy.

Hałas bitewny ogłusza. Tyle wrzawy różnego rodzaju, że komendantowi trudno jest osądzić, co dzieje się na innych odcinkach murów. A widząc przed sobą słabnący atak Anglików, Francuza ogarnia uniesienie radości.

— Tylko tak dalej! — woła. — Nie przejdą! Nie mogą!

I rzeczywiście wydaje się, że Anglicy nie wedrą się na mury, gdy nagle...

Żołnierz francuski, z twarzą zalaną krwią, przypada do dowódcy.

— Ratuj się, panie! — krzyczy. — Anglicy za tobą!

De Bayeux odwraca się — by ujrzeć angielskich żołnierzy i wymachujących dzidami łuczników, pędzących ku niemu. Książę Clarence wdarł się na mury. De Bayeux wydaje rozkaz — jedyny, jaki mu pozostał, bo nie ma wyboru: rozkaz wycofania się do zamku. Oddziały pod wodzą Henryka wpadają do opuszczonego wyłomu, łączą się z ludźmi Clarence'a. Przez Nowe Miasto i przez most do Starego Miasta załoga się cofa, walcząc o każdy krok odwrotu. Przyłączają się do nich mieszkańcy z pałkami, widłami i dzidami, usiłując powstrzymać niepokonany napór Anglików.

Starcy, kobiety i dzieci wysypują się ze swych domów na wąskie ulice w nadziei, że uda się im dostać do zamku. Ale de Bayeux rozkazuje, by nie wpuszczać ani jednego z mieszkańców, dopóki wszyscy żołnierze nie wejdą. Bezwzględny rozkaz. Ale jak ma się bronić twierdza, jeśli kobiety i dzieci stłoczą się do środka, a żołnierze i kusznicy zostaną na zewnątrz?

Na rynku Starego Miasta tylna straż Francuzów zatrzymuje się, by dać ostatni opór. Wokół przelewają się uciekające, wrzeszczące w panice tłumy ludzkie. Anglicy pędzą naprzód. Kobiety, starcy i dzieci padają pod razami zwycięzców, zwyrodniałych w szale przewyciężania zaciętego oporu, na jaki natrafili.

Król Henryk wymusza dla siebie przejście w zgiełku. Zatrzymuje się na widok trupa kobiety, pozbawionej głowy, ale wciąż jeszcze przyciskającej do piersi niemowlę, które karmiła, gdy ją dosięgną! cios. Widok wstrząsa nim.

— Ta rzeź słabych i niewinnych musi ustać! — woła i wysyła swoich braci, kapitanów, rycerzy ze swego otoczenia, by hamowali rozszalałych żołnierzy.

Z trudnością powstrzymano masakrę. Ale chociaż —ku zdumieniu Francuzów — usłuchano rozkazów, chroniących księży, kobiety i dzieci przed dalszymi gwałtami, to jednak nie udało się zapobiec całkowicie posępnej nocy grabieży i morderstw, takiej właśnie, jaką sam Henryk, chcąc groźbami wymusić poddanie, pozornie z góry usankcjonował. Włamywano się do sklepów i domów, ci z mieszkańców, którzy usiłowali uciekać lub ukryć najcenniejszy dobytek, padali pod

ciosami rozbestwionego żołdactwa.

*Zamkną się wszystkie miłosierdzia bramy,*

*Zajadły żołnierz, krwawy i okrutny,*

*Będzie z sumieniem jak piekło przestronnym*

*Nielitościwą kosił u was ręką...*

Dopiero, gdy Anglicy się zmęczą, opici winem, obładowani łupami — można zaprowadzić jaki taki ład na ulicach.

Czarny dzień dla miasta Caen. A jednak zgodny z ówczesnymi obyczajami i prawami wojny. Miasto zostało ostrzeżone, dano mu szansę poddania się bez grabieży. Okropności te przyniosły jednak pozytywny rezultat, bo w obliczu tak strasznego przykładu Henryk nie potrzebował szturmować ani jednego miasta więcej w ciągu całej kampanii normandzkiej, ani też patrzeć, jak jego opętani szałem walki żołnierze zabijają wojskowych i mieszczan bez różnicy.

W każdym razie czwarty września 1418 roku stał się dniem, którego będą się wstydzić przyszłe pokolenia humanitarnie myślących Anglików. Tym bardziej że rozumując chłodno, po upływie czasu od tych wydarzeń, widzą jasno, iż ten król-wojownik, którego ręce splamiła krew kobiet i dzieci — chociażby stosował się do obyczajów epoki, chociażby uważał się za narzędzie w ręku Boga, chociażby upominał się o swoje historyczne prawa — był po prostu i zwyczajnie agresorem.

Zamek w Caen jest zatłoczony. Kobiety, dzieci i starcy, którzy naporem tłumu zdołali się wcisnąć do wewnątrz, utrudniają wszelkie poruszenia obrońców i — co z punktu widzenia planów dowódcy jest

jeszcze gorsze — zjadają zapasy prowiantu. De Bayeux trwa w upartej lojalności, ale wie, że jego położenie jest beznadziejne. Przetrzymawszy cztery dni bombardowania, przyjmuje propozycję Henryka, który pozwala załodze odejść z bronią i końmi, a nawet z pewną gotowizną. Ludności zaoszczędzono dalszych gwałtów.

Zwycięzca, który osobiście doglądał bombardowania ze swej głównej kwatery w jedwabnym namiocie, ustawionym na północ od miasta, przenosi się teraz do zamku. Razem z Clarencem oglądają skarby, złożone tam przez bogatszych kupców i duchowieństwo.

— Znieśli je tutaj, aby były bezpieczne — mówi Clarence i dorzuca ze śmiechem: — I rzeczywiście, będą w naszych rękach bezpieczne!

— W twoich rękach, Tomaszu — odpowiada król. — Własność kościoła trzeba będzie zwrócić, ale wszystko złoto, srebra, klejnoty, należące do mieszczan, oddaję tobie i twoim żołnierzom. — Znając żądzę sławy i pochwał swego brata, dodaje: — Gdyby nie twoje przybycie na tyły Francuzów wątpię, czy nasz generalny szturm by się powiódł. — Klepie brata po plecach: — Jesteś bohaterem oblężenia Caen!

Według militarnej oceny, Clarence jest bez wątpienia bohaterem spod Caen. Ale tym, który zapewne najbardziej się przyczynił do zwycięstwa Anglików, był ów mnich nieznanego nazwiska, który przełożył świętość swego opactwa ponad obronę miasta i jego mieszkańców.

Próżność Clarence'a jest na razie zaspokojona. Ale wolałby być tym, który rozdziela pochwały i nagrody.

Henryk pamięta o swoim obowiązku ciągłego zabiegania o dobrą wolę poddanych, „naszej bazy w ojczyźnie”. Zasiada w komnacie zamkowej, by donieść Lordowi Mayorowi Londynu:

„W dzień św. Cuthberta Bóg w swojej łaskawości wydał w nasze ręce miasto Caen, wzięte szturmem. Za co dziękujemy Stwórcy najpokorniej, i Was prosimy, byście uczynili to samo. Zawiadamiamy również, że pozostajemy z naszym wojskiem w dobrym zdrowiu i pomyślności...”

Ciągle sukcesy utrwalają Henryka w mniemaniu, iż Bóg walczy po jego stronie. Ale wdowy, sieroty i żałobne matki z Caen, jak niegdyś mieszkańcy Walii, widzą w nim i jego zastępach kohorty złych mocy. Rozesłano oddziały wojsk do okolicznych mniejszych miast i miasteczek z żądaniem poddania się. Prędko rozeszła się wieść o losie mieszkańców Caen i zgasiła wszelką chęć oporu. Henryk pracuje, nie znając prawie snu, nad ustaleniem nowej administracji. Wielu mieszczan, wobec obietnic przywilejów handlowych i ulg od podatków, uznaje w nim prawowitego księcia. Jak w Harfleur przed dwoma laty, tak i do Caen zaprasza się osadników z Anglii, by zajęli miejsca tych, którzy zginęli, uciekli, albo nie chcą uznać nowego pana. Z wolna wyłania się ład i ustrój nowych rządów.

Jednakże Henryk nie może zwlekać, by dokończyć szczegółów organizowania nowej prowincji: niecierpliwi się, chce poszerzyć i skonsolidować swoje podboje. Wyprawia się więc na południe, by zabezpieczyć granicę od tej strony, omijając jednak silnie umocnioną fortecę Falaise. Rozgłasza wszędzie, że jeśli nie napotka oporu, jeśli



mieszkańcy złożą mu przysięgę na wierność, jako jego lojalni poddani — nikogo się nie będzie molestować, ani nawet grzywny wymierzać.

Przeciwnie, zniesione zostaną dotkliwe dla mieszkańców ciężary podatkowe, niedawno dodatkowo nałożone przez Francuzów. Jednakże mieszkańców ogarnia takie przerażenie na wieść o przybliżaniu się wojsk angielskich, że całe okolice pustoszeją. W pewnej wsi tylko jeden starzec i chora kobieta oczekują — a i to dlatego, że są bezwładni — nadejścia zdobywcy.

Miasto po mieście poddaje się bez potrzeby założenia jednej strzały na cięciwę łuku. Normandczycy widzą jasno, że rząd francuski, przynajmniej na razie, pozostawił ich własnemu losowi. Poddanie i ulgi podatkowe wydają się realistycznie myślącym mieszczanom lepszą perspektywą od beznadziejnego oporu, zakończonego grabieżą i gwałtami.

W listopadzie Anglicy przekraczają góry normandzkie. Rozbili i przepędzili te nieliczne siły nieprzyjacielskie, jakie napotkali po drodze. Henryk wszczyna pertraktacje z księstwami Anjou, Maine i Brittany, by zawrzeć lub odnowić traktaty pokojowe. Karol VI, odległy i niespełna rozumu, nie był w stanie, choćby nawet chciał, dopomóc tym księstwom. Toteż ich mieszkańcy wolą tymczasem zawiesić na kołku swoją dotychczasową lojalność, niż wyzywać tego energicznego i groźnie bliskiego pretendenta do suwerenności nad nimi. Zgadniają się na rozejm aż do września 1418 roku. Henryk może powiedzieć do Clarence'a i Warwicka:

— Sądzę, że zabezpieczyliśmy teraz nasze południowe gra

nice. Czas wracać do Gaen, a po drodze musimy zdobyć Falaise.

Odważni i dzielni adiutanci króla są jednak zawsze mniej śmiali, niż

on. Warwick zauważa:

- Oblężenie w ciągu zimowych miesięcy może się okazać bardzo ciężkie dla naszych żołnierzy. Nie tyle ucierpią od nieprzyjaciela, co od chorób.

— Niezależnie od pory roku nie możemy zostawić tak ważnej twierdzy w rękach Normandczyków — nalega król. — Toż to nieustanne zagrożenie w samym środku naszych terytoriów!

Wielu z tych magnatów i rycerzy, którzy odmówili nam złożenia przysięgi lojalności, tam poszuka schronienia. Musimy ich z Falaise wykurzyć!

Isiotnie, zastosowano coś bardzo podobnego do ..wykurzania".

Miasto Falaise, znane z garbarni i z dorocznych targów, gdzie z całej okolicy spędzano konie, bydło i owce, jest gorzej ufortyfikowane do Caen. Ale jego zamek, kwadratowa budowla wzmocniona basztami, niegdyś siedziba książąt normandzkich, wznosi się na niedostępnej skale.

Henryk przede wszystkim otacza miasto szańcami i rozpoczyna bombardowanie ciężkimi armatami, przysłanymi na barkach z Gaen, oddalonego o jakieś 35 km na północ. Przez ten czas jego ludzie wyrąbują lasy i budują chaty, uszczelnione tor-

201

fem, jako zabezpieczenie przed zimowymi mrozami. Wznoszą drugie miasto, z rynkiem pośrodku, gdzie chciwi normandzcy wieśniacy,

przekonawszy się, że Anglicy nie rekwirują żywności, jak oficerowie francuscy, lecz płacą za nią, przynoszą co dzień pod dostatkiem żywności: wieprzki i drób, wino, konie, ziarno i mąkę, a nawet wyroby rękodzielnicze. Mieszkańcy Falaise, zamknięci w mieście, gdzie handel ustał, a zapasy zmniejszają się z zatrważającą szybkością, przyglądają się ruchliwemu targowisku z zawiścią: jedni zazdroszczą wieśniakom, zgarniającym pieniądze, drudzy angielskim wojakom, którzy na dokładkę do zwykłych racji żołnierskich mogą kupować żywności, ile dusza zapragnie, a mieszek pozwoli.

Ciężkie działa angielskie sieją zniszczenie — i panikę. Kamienne kule, mierzące blisko metr średnicy, padają na miasto, rozbijają dachy, wieże, domy. Po miesiącu normandzcy rycerze i wojownicy wycofują się na zamek, a mieszczanie poddają się, z westchnieniem głębokiej ulgi. Bez szturmów, bez grabieży. Henryk dokonuje uroczystego wjazdu do Falaise, przyrzeka bezpieczeństwo i ochronę wszystkim, którzy go uznają za prawowitego pana.

Ale dla angielskich żołnierzy dopiero teraz zaczynają się trudy oblężenia. Skała, na której zbudowano zamek, jest zbyt wysoka, by można go było skutecznie bombardować. Te kule — nie z najcięższych dział — które dolatują, nie naruszają wcale potężnych murów i blanków, spadając bezsilnie na powrót między oblegających. Miesiąc mija, a obrońcy nadal tylko śmieją się pogardliwie z propozycji Anglików poddania zamku.

Ale śmiech i pogarda są niebezpieczne, gdy się ma do czynienia z królem Henrykiem V. To wzmagają jego zawziętość. Naradza się z braćmi i

Warwickiem i dochodzi do ostatecznej konkluzji:

— Wydaje się, że dobrze się zaopatrzyli w prowiant — mówi. —

Głodem ich nie weźmiemy. Trzeba dostać się pod te skały !

•— Ależ to niemożliwe! — protestuje Gloucester. — Normandczycy  
wybiją do nogi wszystkich pracujących górników!

— Czas pokaże — odpowiada Henryk. — To nasza jedyna szansa  
zdobycia tego zamku. A nie możemy długo zwlekać. Książę Burgundii  
obsadził garnizonami miasta nad Sekwaną aż do Rouen. Może zerwać  
traktat i zaatakować nas. Trzeba nam więc zabezpieczyć granicę od  
wschodu, czego nie możemy zrobić, dopóki Falaise nie będzie w naszych  
rękach.

Rouen jest nie dalej, jak o 60 km od Touques, bazy Henryka na Kanale,  
jego źródła dostaw z kraju. Burgundczycy, pokonawszy nareszcie  
Armaniaków, umocnili Rouen, chociaż jeszcze nie są w stanie poświęcić  
całej uwagi obcym najeźdźcom Normandii. Ale to się może zmienić  
każdej chwili. Książę burgundzki przede wszystkim chce zdobyć wpływ  
na Karola VI i w tym celu postanowił zawładnąć Paryżem. Dlatego też  
obsadził miasta nad Sekwaną i zwróciwszy się na zachód, zajął Chartres.  
A ponieważ władza w Szampanii i Burgundii na wschodzie i południu,  
trzyma więc w ręku wszystkie główne arterie, od których zawisło życie  
Paryża.

Henryk improwizuje tarcze, by osłaniać górników, podchodzących do  
skały w Falaise. Ludzie najpierw wyrąbują schron dla siebie. Załoga  
spuszcza zapalone wiązki chrustu, chcąc wydusić dymem napastników.

Ale Anglicy spokojnie zdejmują chrust z haków i gaszą płomienie. Przez dwa tygodnie trwa nieprzerwana praca łupania w skale podkopu pod zamek. Wreszcie garnizon wpada w panikę. Huk i wibracje każą im obawiać się, że niebawem ich wyniosła twierdza rozleci się w proch. Dnia 16 lutego 1418 roku poddają się i uzyskują zezwolenie swobodnego odejścia, jak obrońcy zamku w Caen. Nie zdobyto Falaise działami ani łukami, mieczem ani bitewnym toporem, lecz skromnym kilofem i łopata w rękach górników, kierowanych przez zasobny w fortele umysł króla. Na północy, od morza, i na południu, w oparciu o góry, Henryk ma teraz dobrze zabezpieczone granice. Ale na wschód i na zachód kraj jest otwarty. Czas nagli. By przekształcić swoje

podboje w trwałą, dobrze zorganizowaną i zabezpieczoną posiadłość, winien mieć w swym ręku ziemie na pograniczu Bretanii, z którą zawarł rozejm, aż do obronnej bariery rzeki Sekwany. Ułożywszy nowy, oszczędzający czas plan, Henryk wzywa braci:

— Tobie, Tomaszu, oddaję w lenno, jako prawowity pan feudalny wasalowi, wszystkie- ziemie, jakie możesz zdobyć na wschód od Caen. A tobie, Humphrey, te ziemie, które zdobędziesz na zachód od Caen. Idźcie i zdobywajcie podległość tych ziem. A nie zwlekajcie, bo mamy jeszcze wiele roboty.

Dobry plan, pod dostatkiem zachęty do jego szybkiej realizacji.

Gloucester wyprawia się z hrabią March i dwoma tysiącami ludzi;

Clarence z hrabią Salisbury, doświadczonym wojownikiem, i taką samą ilością żołnierzy.

Tymczasem nie znużony Henryk, odłożywszy zbroję, zabiera się znowu do działalności administracyjnej. Nie brak mu siły woli.

„Urodziłem się z upartą i żelazną fizjonomią” — powie o sobie. Jego kapitanowie i żołnierze po zachodzie słońca zabawiają się, popijają francuskie wina i uwodzą mieszczki z Gaen, którym angielskie zaloty, chociaż bardziej nieokrzesane od francuskich, jednak przypadają do gustu, i to wbrew rzezi, jaką zdobywcy wyprawili mężczyznom ich narodu.

Natomiast król trzyma się od hulank z dala, prawie ascetyczny w jedzeniu i piciu, a stosunki z płcią odmienną ogranicza do chłodnej, wyniosłej grzeczności. Oddaje się wyłącznie obowiązkom, odrywając się od nich tylko do snu i na nabożeństwa.

Henryk uchyla wiele dawniej narzuconych francuskich podatków, ściąganych pod przymusem. Zmniejsza do połowy cło za sól. Czyni wszystko, co może, by rozwijać handel; swojej marynarce każe przepędzić piratów, napadających na przybrzeżne statki handlowe; wysyła zbrojne patrole, by oczyszczać gościńce z rozbójników (zrobiłby to samo w Anglii, ale ma tam za mało żołnierzy do przedsięwzięcia na szerszą skalę) ; przeprowadza kontrolę miar i wag, by nie oszukiwano przy transakcjach.

Kupcy przeważnie chętnie akceptują rządy Henryka, łagodne i uwzględniające ich interesy. Podobnie wieśniacy i uboższa ludność powracają do rutyny zwykłego życia — a zresztą, dokąd mieliby pójść? Opactwa i wielkie fundacje kościelne odżywają pod rządami władcy, który w przeciwieństwie do wielu lokalnych potentatów, arystokracji

francuskiej, przestrzega szacunku dla zakonów religijnych i ich własności, hojnie nadaje im przywileje. Księża są przedmiotem szczególnej troski i łaskawości Henryka — do tego stopnia, że niejeden świecki mieszczanin urządza sobie wygodniej życie, zgoliwszy głowę i przywdziawszy sutannę!

Wszystkie te klasy normandzkiego społeczeństwa od dawna znosiły ucisk pod egoistyczną władzą ich magnatów, wojujących między sobą i łupiących ludność niemiłosiernie. Cisnęli ich również poborcy podatkowi, przysyłani z Paryża. Teraz korzystają z dobrodziejstw pokoju henrycjańskiego- i troskliwości o zasobność kraju. Trudno się dziwić, że z zadowoleniem przyjmują jego silne i sprawne rządy. Henryk tym razem nie pretenduje do cnót: jego zarządzenia oparte są na dobrze zrozumianym własnym interesie.

— Władca, który nie stara się w pierwszym rzędzie zaspokoić gminu i zyskać jego poparcia, choćby biernego — mówi do swego druha z kampanii walijskiej, hrabiego Warwicka — musi być ślepcem.

Oczywiście, gmin na własną rękę rzadko wszczyna poważne zamieszki przeciw władcy. Ale jego ziemie nigdy nie zaznają dobrobytu i prawdziwego pokoju wewnętrznego, o ile jego rządy nie znajdą uznania w oczach wieśniaka, robotnika najemnego, rękodzielnika i kupca.

Natomiast niewielu magnatów i szlachty, posiadającej ziemię, poddaje się władzy Henryka. Kto z nich mógł, ten opuścił Normandię. Powoduje nimi nie tylko patriotyzm, ale również zrozumienie, że pod tym władcą, dysponującym silną i sprawną armią, nie będą mogli wojować między

sobą, ani wymuszać danin z ziem sąsiada. Toteż połączyli się, zależnie od osobistych sympatii, albo z Delfinistami, albo z Burgundczykami. Magnaci i szlachta w większości krajów europejskich owych czasów wolą czas wojny, czas przygód i bogatych łupów, niż czas pokoju. Henryk, jego bracia i rycerze konfiskują majątności tych, którzy uciekli. Z arystokracji normandzkiej mało kto obejmuje urząd z ramienia zdobywcy. Tak więc na ważniejsze stanowiska mianuje się Anglików, przeważnie sprowadzanych umyślnie z Londynu, a ci działają przy pomocy pomniejszych urzędników lokalnych, posłusznych choćby dlatego, że nie mają alternatywy.

Nieliczni patrioci chronią się do lasów i wszczynają partyzantkę, napadając na angielskie patrole, najeżdżając wsie i miasteczka. Ale ręka nowego władcy trzyma mocno ster rządów. Partyzantka bez poparcia ludności i bez żadnych środków — nie spędza snu z powiek Henryka.

Pod koniec maja Clarence i Gloucester objęli w posiadanie przydzielone im ziemie. Król donosi rajcom londyńskim, że ustalił swą władzę w Dolnej Normandii. Z Anglii zaczynają napływać\* osadnicy, administracja lokalna i handel rozwijają się sprawnie i pomyślnie. Henryk jest gotów, by przystąpić do następnego etapu swojej kampanii.

*Rozdział XI*



# JAK ZALECZONO

## WIELKĄ SCHIZMĘ

Wprawdzie Henryk całym sercem poświęcił się kampanii nor-mandzkiej, jednakże uwagę jego zaprzatają również inne sprawy. Księżę Clarence może być tylko wojownikiem, ale monarcha dźwiga zawsze, nawet wojując poza granicami kraju, odpowiedzialność za swoje królestwo.

Henryk utrzymywał stałą — chociaż z natury rzeczy nieregularną — łączność z Janem, księciem Bedfordu, w sprawach dotyczących rządzenia Anglią, co nie przyczynia mu trosk, ale wymaga starannego przemyślenia niejednego problemu. Lolardowie, pozbawieni przywódców, nie ujawniają się na arenie politycznej, chociaż potajemnie kontynuują heretyckie praktyki i dyskusje. Drugie źródło zamieszek wewnętrznych — młodsze pokolenie możnych magnatów — Henryk zlikwidował o tyle, że prawie wszystkich zabrał ze sobą do Normandii.

Olbrzymia większość angielskich poddanych popiera króla w jego francuskim przedsięwzięciu, a mając na uwadze własne interesy, przyjmuje wieści o sukcesach i postępie kampanii ze wzrastającą satysfakcją. Bedford, chociaż rozsądny, nie potrafiłby natchnąć patriotyzmem ani porwać za sobą narodu — co być może jest jednym z powodów, dla których Henryk właśnie jemu powierzył rządy krajem, dla pewności unikając rywalizacji. Posłusznie i rzetelnie stosując się do wskazówek króla, Bedford ściśle współpracuje z parlamentem, dba o rozwój handlu i pilnuje, aby wypełniano sprawiedliwość w stosunku do ubogich i

maluczkich.

Oblegając Caen i później wyprawiając się na południe, król kłopotczy się poważnie wiadomościami z Konstancji w Badenii, gdzie od roku 1414 do 1418 toczą się cokolwiek sporadyczne obrady soboru powszechnego, szukającego rozwiązania problemów Wielkiej Schizmy. W grę wchodził nie tylko konflikt chrześcijaństwa, ale także narodowe interesy Francji, Włoch, Hiszpanii, państw Rzeszy Niemieckiej, oraz Anglii. W ciągu tych lat narad i negocjacji Henryk, czy to w kraju, czy na wojnie, otrzymywał stale informacje o wszystkim, co działo się w Konstancji i osobiście przesyłał instrukcje biskupowi Henrykowi Beaufortowi, swemu głównemu przedstawicielowi na soborze.

Na poprzednich soborach Anglia głosowała razem z państwami Rzeszy Niemieckiej, co tłumaczono tym, że nie można jej było traktować z punktu widzenia eklezjastycznego jako odrębnego narodu, ponieważ posiadała jedynie dwie archidiecezje: Canterbury i York. Henryk polecił swoim delegatom, by sprzeciwiali się tej uwłaczającej godności państwa tezie — podtrzymywanej oczywiście przede wszystkim przez Francję.

Biskup Beaufort odważnie i energicznie wypełnił zlecenie swego królewskiego bratanka i ostatecznie uzyskał prawo oddzielnego głosu dla Anglii. Było to jeszcze jednym dowodem prestiżu, zdobytego pod Agincourt; świadczyło też o wzrastającym znaczeniu Henryka na forum spraw europejskich. Zarówno duchowieństwo, jak i koła świeckie w Anglii przyjęły ten dyplomatyczny sukces z wielkim zadowoleniem, tym bardziej że była to jednocześnie porażka polityczna Francuzów.

Na soborze głosowano według grup narodowościowych. Zakony, uniwersytety, a nawet kolegium kardynalskie nie mogły, jak podczas poprzednich soborów, ustalić głosowania na podstawie własnych niezależnych interesów. Schizma, a także długotrwała wojna angielsko-francuska poważnie nadwerężyły dawniejszy ponadnarodowy sojusz społeczności naukowych i religijnych. Osłabły, a nawet zerwały się całkowicie istniejące poprzednio ścisłe związki między uniwersytetami w Oksfordzie, Paryżu i w Niemczech. Poglądy uczonych stały się ciasniejsze, bardziej prowincjonalne i subiektywne. W Konstancji wspólnoty uczonych stosowały się do linii politycznej ich narodów. Tak więc sobór stał się nie tyle forum debat nad reformą organizacji i moralności Kościoła, ile widownią rozgrywek politycznych.

Francja starała się utrzymać papieża awiniońskiego, cesarz i biskup Beaufort — papieża włoskiego. Na krótko przed wyjazdem Henryka na wyprawę francuską, osiągnięto kompromis i złożono obu papieży. Wówczas rozpoczął się nowy spór. Król Henryk, arcybiskup Chicheley i biskup Beaufort sprzymierzyli się z państwami niemieckimi i wspólnie wywierali presję na sobór, by rozstrzygnąć problemy reformy kościelnej (w odróżnieniu od reform doktrynalnych, których na razie żadna delegacja nie postulowała). Henryk i cesarz twierdzili, że nowego papieża należy obrać po wprowadzeniu reform, i że powinien być reformami związany. Francja i Hiszpania chciały najpierw obrać nowego papieża. Italia nie mogła się zdecydować. Sobór znalazł się w ślepej uliczce.

Gdy Henryk jeszcze przebywał w Opactwie za murami Caen, jego osobisty przyjaciel Chicheley, arcybiskup Ganterbury, przyjechał odwiedzić swego suwerena, by przedyskutować z nim sytuację, jaka się wytworzyła na soborze i uzyskać nowe instrukcje dla biskupa Beauforta.

— Jeżeli reformy nie zostaną teraz, uchwalone — nalegał arcybiskup — stracimy sposobność. Nie zdarzy się taka druga. Gdy już będzie nowy papież, nie zechce odstąpić żadnej z prerogatyw, które zyskali jego poprzednicy.

Chicheley nie jest lolardem ani husytą. Doktrynalnych zasad trzyma się tak nieustępliwie, jak jego poprzednik, biskup Arundel. Ale na równi ze swoim władcą chciałby oczyścić kler — od papieża począwszy aż na proboszczu skończywszy — z korupcji, niemoralności, nadużywania odpustów i wszelkiej świątowości.

— Przecież fundamenty już położono — zauważa Henryk.

— Chyba zapewniono reformę dekretami „Sacrosancta” i „Frequens”?

Te dwa słynne dekrety, w danych okolicznościach prawie że rewolucyjne, sobór w Konstancji uchwalił nieco wcześniej. Wywodziły się one z tak nazwanej teorii pojednawczej administracji kościelnej, rozwiniętej przez różnych wybitnych myślicieli i reformatorów.

Wyznawcy tej teorii chcieli wprowadzić do Kościoła coś w rodzaju rządów konstytucyjnych. Miał istnieć periodycznie powoływany parlament o charakterze doradczym, a nawet kontrolującym papieża w sprawach wiary i moralności, jak również organizacji Kościoła i

dyscypliny. Dekret „Sacrosancta”, oparty na teorii pojednawczej, postanawiał, że najwyższą władzą w kościele będzie sobór powszechny. (Jeszcze nie sformułowano doktryny o nieomyślności papieża.) A dekret „Frequens” ustalał, że sobory winny się zbierać regularnie w odstępach nie większych, jak co dziesięć lat.

Gdyby je konsekwentnie realizować, dekrety te uniemożliwiłyby papieżom — zawsze potrzebującym pieniędzy, jak inni suwerenowie — nadużywania swojej pozycji i arbitralnego nakładania podatków na wiernych. „A czyniono to jawnie” pisał jeden z urzędników kurii, „odrzućwszy bojaźń przed Bogiem i wstyd przed ludźmi”. Go więcej, papieże musieliby zarzucić praktyki, odstręczające dla wielu, nominowania na wysokie stanowiska nie tyle ludzi, znanych z pobożności, talentów i oddania sprawie Kościoła, ile takich — czasem niedorośliwych chłopców — którzy cieszyli się protekcją monarchów lub innych wpływowych osób.

Arcybiskup Chicheley miał jednak zastrzeżenia co do efektywności dekretów „Sacrosancta” i „Frequens”.

— Najjaśniejszy panie, te dekrety stanowią tylko o najogólniejszych ramach przyszłej reformy. Nie definiują procedury, ani sposobu wybierania delegatów na sobory. To wszystko trzeba jeszcze konkretnie opracować. A jeżeli się nie sprecyzuje zasad realizacji nowych postanowień przed obraniem nowego papieża, to on je odrzuci z chwilą wstąpienia na Stolicę Apostolską. Dekrety w obecnej swojej formie nie są niczym więcej, jak proklamacją pobożnych życzeń.

Papież je zignoruje, o ile nie nadamy im mocy wykonawczej. Nie zgodzi się, by mu ograniczano władzę i autorytet, których zażywali jego poprzednicy. — Arcybiskup uśmiechnął się z lekka i pozwolił sobie na szczery komplement. — Nawet na papieskim stolcu, najjaśniejszy panie, było zawsze więcej Ryszardów Drugich, aniżeli Henryków Piątych.

— Wasza przewielebność mi schlebia — rzekł Henryk, mierząc arcybiskupa byстрыm spojrzeniem.

— Bynajmniej, miłościwy panie. A jako że kupcy i gmin coraz mniej są uzależnieni od szlachty, więc każdy władca, jeśli sobie ceni wewnętrzny pokój, albo w wypadku papieża, harmonię wśród wiernych, będzie musiał rządzić nie tyle powodując się osobistym kaprysem, ile bacznie zważając na dobro i wolę ludu. A ty, miłościwy panie, pojąłeś to i wskazujesz drogę.

Henryk rzeczywiście szedł z duchem czasu. Ale arcybiskup mówił na podstawie położenia w Anglii, które znał dogłębnie. Nie wszystkie kraje europejskie znajdowały się w takiej samej sytuacji. Różnice ustroju społecznego miały stać się później jednym z ważnych czynników, decydujących o tym, które narody będą mogły pójść w ślad za Marcinem Lutrem, a które pozostaną związane z Rzymem więzami despotyzmu ich władcy.

— Papież sprawuje władzę duchową, a król tylko doczesną — oponował Henryk.

— Ej, miłościwy panie! Urząd papieski od dawna jest władzą polityczną i może nią zostanie, o ile sobór nie obejmie zwierzchności nie

tylko formalnej, ale i rzeczywistej.

Król chodził tam i z powrotem, w zamyśleniu bawiąc się wysadzaną klejnotami rękojeścią sztyletu.

— Więc uważasz, że powinniśmy nalegać na uchwalenie reform przed obraniem papieża. A jeśli nasz upór doprowadzi do rozłamu w soborze?

— Sobór nie ulegnie rozłamowi, miłościwy panie, jedynie przedłuży swoje obrady. A jeśli twoją obecną kampanię, miłościwy panie, uwieńczy francuski tron, wówczas Francja będzie głosować zgodnie z naszymi życzeniami i wyjdziemy ze ślepej uliczki.

— Potrwa co najmniej rok, zanim dojdziemy do tego szczęśliwego rozwiązania — odparł Henryk. — A tymczasem Kościół jest bez głowy.

— Kościół przeżył mając dwie głowy, miłościwy panie, a nawet trzy.

Przeżyje i bez głowy przez jakiś czas.

Król zignorował żartobliwe nastroje Chicheleya.

— Obecne reformy nie uciszą lolardów — powiedział. —

Te reformy nie podważają, od czego uchowaj nas Boże, fundamentalnych doktryn,

jak

transsubstancjacji

albo

spowiedzi,

co heretycy chcieliby obalić. W tej właśnie kampanii dążę do

zjednoczenia chrześcijaństwa, co z łaską Bożą, w której nadzieję

pokładam,

doprowadzi

do

nowej

krucjaty.

Cesarz

w

tej

sprawie całkowicie zgadza się ze mną. Jeżeli będę się nadal

upierać przy swoim na soborze w Konstancji, to znaczy, iż będę przedłużał

ten rozłam, który chciałbym zaleczyć. Brak konsekwencji...

Arcybiskup mu przerwał :

— Polityka stanu i konsekwencja, miłościwy panie, rzadko

chodzą ręka w rękę. Mąż stanu musi, według potrzeb religijnych i

świeckich,

zmieniać

politykę

w

dyplomacji

—

lub

na

wojnie.

~— W takim razie, mój drogi przyjacielu, ze mnie kiepski mąż stanu.

Nie wiem, czy reformy, nawet jeśli szczegółowo zdefiniowane w



Konstancji, będą zrealizowane po obraniu nowego papieża. A na rzecz tak niepewnych korzyści sumienie moje, które, jak mniemam, jest głosem Boga, nie zezwala mi na przedłużanie duchowego rozłamu świata chrześcijańskiego. Kościół musi mieć władcę i to prędko.

Arcybiskup, człowieka bystry, który wiedział, kiedy i do jakich granic mógł się sprzeciwiać swemu władcy, a kiedy należało ustąpić — tylko westchnął.

— Więc biskup Beaufort ma głosować razem z Francuzami przeciwko cesarzowi?

— Nie. Powiemy cesarzowi, że Anglia wstrzyma się od głosu. Będzie to dowodem, że nie zgadzamy się z pozycją Francji i Hiszpanii, ale nie chcemy, upierając się przy naszym zdaniu, przewlekać pracy soboru. I poprosz cesarza, by kazał państwu niemieckim zrobić to samo. On to uczyni. Taki z niego człowiek, że nie lubi być w mniejszości.

Nigdy w swojej wojennej karierze Henryk nie wycofywał się z obranego stanowiska. Natomiast jako polityk i mąż stanu, wycofując się na soborze w Konstancji, dowiódł pewnej giętkości. Osiągnie też rezultat, jakiego sobie życzył, jeśli chodzi o bezpośrednie zachowanie pozornej jedności Kościoła. Ale jeśli chodzi o reformę Kościoła — przepowiednie arcybiskupa okażą się trafne.

Nowy papież, Marcin V, został w listopadzie 1417 roku nie tyle wybrany przez kolegium kardynalskie, ile narzucony przez monarchów europejskich. Wielkiej 'Schizmie na pozór położono kres. Ale zarazem nie

uwzględniono interesów Kościoła na dalszą metę, zlekceważono ostrzeżenia arcybiskupa Chicheleya i innych wybitniejszych od niego myślicieli, pominięto sposobność wykorzenia zła. Papież Marcin był zaiste człowiekiem o nienagannym charakterze. Nieugięty, nie stał się marionetką w rękach żadnego władcy, a już z pewnością nie uległ wpływom francuskim. Osoba jego przypadła do gustu cesarzowi świętego imperium rzymskiego, nominalnemu protektorowi Kościoła. Ale Marcin był despota. W sprawie dekretów „Sacrosancta” i „Frequens” zajął stanowisko wrogie i nieugięte — dokładnie według przewidywań arcybiskupa Chicheleya. Nie zwoływał więcej soborów powszechnych i ponownie objął najwyższą osobistą władzę papieską.

Zjednoczenie chrześcijaństwa, cel dążeń Henryka i Zygmunta, okaże się przemijające. Herezja nadal będzie się rozwijać, heretycy męczennicy będą się odradzać z płomieni, w których zginęli ich poprzednicy, przez śmierć swoją wskrzeszając ducha oporu. A nadużycia w łonie Kościoła będą się rozrastały, aż do chwili — prawie dokładnie w sto lat po rozwiązaniu soboru w Konstancji — gdy Marcin Luter przybije swój manifest na drzwiach kościoła w Wirtenberdze i reformacja rozedrze chrześcijaństwo w taki sposób, jakiego nie mógł sobie wyobrazić ani Chicheley, ani jego suweren.

Cesarz nie okaże wcale, praktycznie biorąc, uznania dla wysiłków Henryka zaleczenia ran świata chrześcijańskiego. Ilekroć go proszono o pomoc wojskową, zgodnie z postanowieniami kanterburyjskiego traktatu z

roku 1416, Zygmunt zawsze się wykręcał innymi zobowiązaniami. I tak będzie trwało nadal. W latach 1418/19 będzie się kłócił z Polską i Krzyżakami z powodu okazywania przychylności Czechom, którzy nie chcą uznać go królem. W nadziei oswobodzenia wojsk cesarskich, związanych na wschodzie z powodu tego sporu, Henryk wysłał swego spowiednika, Tomasza Nettera, do króla Władysława Jagiełły i ówczesnego wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego, by namówić ich do zaprzestania popierania Czechów. Ale podówczas wielki mistrz stosował się do woli polskiego króla, a ten pamiętał o pomocy, jakiej udzielili mu Czesi w bitwie pod Grunwaldem. Misja Nettera zakończyła się więc fiaskiem, a Henryk nigdy nie otrzymał pomocy militarnej od cesarza. Papież, który skorzystał na wycofaniu się Henryka z poprzednio zajmowanej pozycji na soborze w Konstancji, rozpoczyna swe rządy od próby interweniowania w sprawy angielskie. Ostatnio prymas Anglii — Arundel za panowania Henryka IV, a obecnie Chicheley — coraz rzadziej zwracali się do Stolicy Apostolskiej, a coraz częściej do swego władcy po poparcie i wskazówki w sprawach organizacji kościoła, a nawet nominacji na wyższe kościelne stanowiska. Działo się tak po części z powodu rozwijającej się świadomości narodowej w Anglii, po części z powodu tych podwójnych i potrójnych papieży.

W Normandii Henryk otrzymał pewnego dnia list od swego stryja, biskupa Beauforta:

„...W ważnej sprawie pragnę Waszą Królewską Mość o radę i decyzję prosić. Papież Marcin mianował mnie kardynałem. Oficjalnie tym

sposobem Ojciec Święty uznanie wyrazić pragnie za moją na soborze w Konstancji pracę, która pod kierunkiem Waszej Królewskiej Mości zaowocowała w wyborze nowego papieża. Według odwiecznego przywileju i zwyczaju Kościoła w Anglii, gdy trzeba było dokonać nominacji, wymagającej sankcji papieskiej, kandydata w kraju wybieraliśmy i dopiero po aprobachie naszego suwerena ślaliśmy nazwisko do Rzymu celem zatwierdzenia — którego od wielu lat nigdy nam nie odmówiono. Papież Marcin nie może być tej tradycji nieświadom. Jasne więc, że w danym wypadku intencją jego jest podporządkowanie Kościoła w Anglii jego woli.

Przedyskutowałem tę sprawę z arcybiskupem i zaiste prosiłem, by on sam zechciał się w tej sprawie z Waszą Królewską Mością naradzić.

Arcybiskup zgadza się ze mną co do prawdziwych intencji papieża Marcina, a sam wiernie Kościoła w Anglii przed zewnętrzną interwencją zawsze broni, nieugięty strażnik usankcjonowanych obyczajem przywilejów. Nie chce jednakże, aby się wydawało, iż dotknęło go pominięcie jego osoby. Ja zaś deklaruje przed Bogiem, że ten kardynalski kapelusz, który mnie się dostał, on nosiłby z chwałą, jak nikt inny..."

Tym razem Henryk nie potrzebuje czasu na rozważania ani narady.

Odsyła odpowiedź przez tego samego kuriera, który przyniósł list od stryja. Zważywszy okoliczności, poleca biskupowi Beaufortowi odmówić przyjęcia nominacji na kardynała. Jeśli zaszczytny tytuł ma przypaść w udziale duchownemu angielskiemu, to Henryk sam zaproponuje nazwisko.

Marcin V mógł być despotą, ale bynajmniej nie brak mu przezorności.

Puścił swego latawca i wiatr go porwał. Nie zwraca się jeszcze o zaproponowanie kandydata, ale w ciągu całego panowania uznaje w Henryku, chociaż skrupulatnie przestrzegającym zasad i praktyki wiary, stanowczego obrońcę samodzielności Kościoła w Anglii. Jasne jest dla całej Europy, że wpływ i znaczenie Henryka V angielskiego rosną z każdym dniem. Papież jest nadto przezornym politykiem, by antagonizować takiego monarchę.

Henryk oddaje się teraz bez reszty sprawie podboju Normandii, a później...

## *Rozdział XII*

### **„NIE GONIĘ ZA SŁAWĄ NA OŚLEP”**

Późną wiosną i z początkiem lata roku 1418 klęski spadają na dwa największe miasta Francji: Paryż i stolicę Normandii, Rouen. W maju pewien paryżanin otworzył bramy i wpuścił burgundzkie hordy.

Najpiękniejsze miasto pięknego kraju, dotąd w rękach Armaniaków i stronników Delfina, pada ofiarą barbarzyńskiej grabieży. Książę Burgundii, czekając na uroczyste wkroczenie, nie próbuje wcale ukrocić wybryków rozbestwionego tłumu, któremu przewodzą rzeźnicy i kat, nazwiskiem Capeluche. Stronnicy Armaniaków giną w wymyślnych torturach. Niewielu ocalili burgundzcy żołnierze, ale wtrącili ich do więzienia.

Króla Karola VI, obłąkanego i opuszczonego przez wszystkich, prócz garstki wiernych sług i jego oddanej kochanki, Odette, poprowadzono

ulicami miasta i za bramę, by go wydać w ręce księcia Burgundii.

Piętnastoletniego, trzeciego z kolei syna królewskiego, również Karola — który został następcą tronu po śmierci dwóch starszych braci — uratował pewien kapitan z wojska Armaniaków. Schronił się z nim najpierw do Bastylji dla bezpieczeństwa, a później uciekli obaj na południe od Loary.

Tam chłopiec proklamuje się regentem.

W Paryżu tłuszcza bierze szturmem więzienia i masakruje zamkniętych tam Armaniaków, włącznie z pięciu biskupami. Nagie zwłoki hrabiego d'Armagnac przez trzy dni walają się

na ulicy, okaleczone i naznaczone czerwonym krzyżem Burgundii,

namalowanym jego własną krwią. Terror szaleje w ciągu całych dwóch miesięcy. W końcu, pod deszczem kwiatów, rzucanych z okien i

balkonów, do stolicy wjeżdża Jan, książę Burgundii w towarzystwie żony Karola VI, królowej Izabeli (Isa-beau), księżniczki bawarskiej, o której politycznych i nie tylko politycznych poczynaniach będzie jeszcze mowa.

Książę cieszy się popularnością w Paryżu z powodu powszechnego

mniemania, jakoby faworyzował gmin na niekorzyść wrogliwej

arystokracji. Rozkazawszy powiesić kilku przywódców rzezi na znak

dezaprobaty popełnionych w jego imieniu zbrodni, książę korzysta ze

sposobności, by ściąć kilkunastu Armaniaków, którzy uniknęli noża

nieoficjalnych rzeźników.

Henryk V idzie na Rouen. To drugie miasto Francji ucierpiało bardzo

w wojnie domowej, a także z powodu nakazanej przez Anglików blokady

jego głównego szlaku handlowego — ujścia Sekwany. Wielu

zamożniejszych mieszczan opuściło swe domy i wyjechało dla bezpieczeństwa na północny wschód, ale na ich miejsce przybyły do miasta hordy uciekinierów, szukających schronienia przed nadciągającymi z zachodu Anglikami i przed szalejącą na południu wojną między Burgundczykami a Armaniakami.

Książę Clarence wybrał się na rekonesans, by ocenić stan obronności Rouen.

— Mury pięć mil w obwodzie liczą — komunikuje. — Wzmocnione wieżami, bastionami i barbakanami. Sześć bram. Za każdą z nich obrońcy mogą się licznie zgromadzić, by wycieczki dokonać.

— Musimy więc zachować czujność — mówi Henryk. — Nie uda im się rozproszyć nas i zwyciężać nasze oddziały po kolei.

Podówczas królewscy bracia dysponują wojskiem, liczącym poniżej dziesięciu tysięcy żołnierza. Ich siły nadszarpnęły straty w bitwach, choroby i konieczność pozostawienia garnizonów

w Dolnej Normandii. Rouen rozporządza większą załogą od któregośkolwiek z miast, dotychczas obleganych przez Henryka.

Mieszczanie Rouen obrali taktykę absolutnej bezwzględności. Nie dadzą się przyłapać, jak obrońcy Caen: z wieżami poza obrębem murów, z nietkniętymi przedmieściami, dostarczającymi napastnikom osłony i schronienia. Wydają rozkaz zniszczenia wszystkich budowli za murami — kościołów, opactw, pałaców i dworów. Podpalają gmachy, częstokroć piękniejsze od tych, które się mieszczą w obrębie miasta. Gruzy zwożą do wzmocnienia fortyfikacji. Drzewa wycinają, trawę w okolicy wypalają,

ziemię a niebo zostawiając. Daleko trzeba będzie Anglikom wyprawiać się po prowiant. Spopielone pustkowie.

A jednak wyżywienie stanowi jeszcze trudniejszy problem dla miasta, niż dla Anglików. W jego murach zamknęło się pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Rozkazano, aby każda rodzina zaopatrzyła się w prowiant wystarczający jej na utrzymanie przez dziesięć miesięcy. Łatwo rozkazać, ale jak w danych warunkach nawet bogaci mogą zdobyć żywność? Ceny wzrastają z oszałamiającą szybkością. Kupcy i sklepikarze zbierają żniwa, korzystając z tragicznej sytuacji współmieszkańców. A tysiące ludzi nie mają za co kupować, nawet gdyby jeszcze coś zostało do kupienia.

Połączywszy się z księciem Clarence, Henryk podchodzi do Sekwany.

Rouen leży na wschodnim brzegu rzeki. Należy więc zdobyć jakąś mniejszą fortecę, by posłużyła jako przyczółek podczas przeprawy.

Utrudnia to ksiązę Burgundii, który po zaprzestaniu walk w okolicach Paryża wzmocnił swymi oddziałami garnizony wzdłuż Sekwany. Henryk wybiera Pont de l'Arche, o parę kilometrów na południe od Rouen. Most tutaj jest silnie broniony. Ale wysłano grupę dobrych pływaków w dół rzeki, gdzie hałasując i chlapiąc się w wodzie zwracają na siebie uwagę, aby wywołać wrażenie, że w tym miejscu Anglicy próbują przeprawy.

Garnizon Pont de l'Arche daje się wciągnąć w pułapkę i śpieszy bronić brodu, a tymczasem wojska Henryka przepływają się pontonami, przerzuconymi przez

rzekę jednocześnie na północ i na południe od fortecy. Oszukani Francuzi wracają z daremnej wyprawy tylko po to, by dołączyć swoją broń do tej,



którą rzucają na stos wzięci do niewoli żołnierze załogi zdobytego Pont de l'Arche.

Henryk wysłał następnie posłów do księcia burgundzkiego, by mu przypomnieć o traktacie, jaki podpisał z Anglikami przed czterema laty i zapytać bez ogródek, czy teraz, skoro został panem Paryża, będzie przyjacielem czy wrogiem? Odpowiedź Burgundczyka jest równie bezceremonialna:

— Będę z wami walczył, gdzie tylko was znajdę.

Burgundia zmieniła zasadniczo swoją politykę. Księżę ma w ręku stolicę kraju, cieszy się poparciem królowej, ufa więc, że nie potrzeba mu już współdziałania Henryka, by do reszty pognać Armaniaków. Go więcej, dostrzega teraz w królu angielskim głównego rywala do władzy nad Karolem VI i co za tym idzie, nad całą Francją, przynajmniej nominalnie. Jeśli pretensje Henryka zginą w przegranej bitwie, Jan Burgundzki ma nadzieję włożyć koronę Francji na własne skronie.

Ale księżę nie może jeszcze wydać walnej bitwy. Nie włada okolicami Paryża. Armaniakowie siedzą w Meaux i w Melun, około pięćdziesięciu kilometrów na południe i na wschód od stolicy. Tylko z pomocą Armaniaków mogliby Burgundczycy mieć szansę wypędzenia Henryka z Normandii. Pertraktacje doprowadzają do propozycji rozejmu, ale Delfin sprzeciwia się ratyfikacji traktatu. Wojska Armaniaków i Burgundii pozostają więc na wrogich stanowiskach. Toteż, chociaż nic nie umniejsza niewątpliwego geniuszu militarnego Henryka, trzeba tu zauważyć, że wojska angielskie pod jego wodzą nigdy nie stanęły do bitwy z siłami

zjednoczonej Francji, lecz walczyły z poszczególnymi stronnictwami, które bodaj więcej nienawidziły siebie nawzajem, niż najeźdźcy.

Przystępując do oblężenia Rouen, Henryk zakłada kwatery głównego dowództwa w klasztorze kartuzów przy Notre-Dame-de-la-Rose, o kilometr mniej więcej od murów miasta. Clarence staje w zrujnowanym opactwie St. Gervaise, przed bramą, zwaną Porte Cauchoise; hrabia Exeter ma pilnować bramy Porte Beauvoision, a hrabia Huntingdon ze swymi oddziałami rozłasowuje się na południowym brzegu rzeki.

Od strony lądu Anglicy wznoszą przed murami regularne fortyfikacje: głębokie rowy, chronione od frontu nasypami, umocnione gałęziami kolczastych krzewów i ostro zakończonymi palami, wbitymi dla obrony przed atakiem jazdy. Równocześnie budują most o pięć kilometrów od miasta, by zapewnić łączność z Huntingdonem — mocną, drewnianą konstrukcję. Mogą po nim przechodzić ludzie, konie i wozy. Flotylla łodzi francuskich spływa z góry rzeki i przypuszcza atak na budujących most, ale odparto ich bez trudności.

— Przecięgnąć trzy grube łańcuchy przez rzekę pod miastem —

rozkazuje

Henryk.

—

I

niech

Francuzi

popróbują

je

przerwać. Nasi łucznicy nareszcie postrzelają z satysfakcją do  
otwartego celu!

Ciężkie działa wciągnięto na nasypy: rozpoczyna się bombardowanie,  
wyrządzające niejaki szkody w murach miasta. Ale obrońcy dysponują  
doskonałą artylerią, która trzyma na odległość Anglików, nie pozwala im  
przybliżyć się z beluardami ani zacząć podkopów. Kilkakrotnie  
oblegający przystępują do szturmów — odważnie, ale bez skutku.

Księżę Clarence nalega na generalny szturm.

— Nie, nie, bracie — odpowiada Henryk. — Tym razem  
pohamuj odwagę. Obrona jest nadto silna, jak dla nas. Mu-  
simy to przyznać.

— Cóż więc? Zaniechać oblężenia? — pyta Clarence, zdumiony i  
pogardliwy.

— Z pewnością nie. Tylko musimy się uzbroić w cierpliwość.

Burgundczycy nie mogą czy też nie chcą pomóc miastu:

weźmiemy ich głodem! — Uderza brata po ramieniu. —

Wiem, że wyczekiwanie nie przypada ci do smaku. Ale mamy  
wziąć miasto, a nie za sławą na oślep gonić, albo za śmiercią.

Clarence niechętnie przyjmuje ten zamaskowany zarzut, tym bardziej,  
że w duchu wie, jak bardzo jest słuszny.

Normandczycy dokonują kilku wycieczek z trzech lub czterech bram  
równocześnie, po parę tysięcy żołnierzy w każdej. Przepędzając ich,

Henryk przezornie nakazuje, aby jego ludzie nie dawali się wciągnąć w pościg, co mogłoby ich podprowadzić pod ostrzał albo w zasięg różnych pocisków i wrzących płynów, wyrzucanych z murów.

Anglicy otrzymują posiłki z Dolnej Normandii, gdzie ksiązę Humphrey zdobył ostatnie fortece i oczyścił kraj z nieprzyjaciela. Z Anglii nadesłano między innymi pięciuset Irlandczyków, byle jak przyodzianych, dosiadających na oklep górskich kuców obładowanych kosztami po obu bokach, jak osioł wędrownego przekupnia. To ludzie z gór. Niszczą kraj poza zasięgiem wypalanej pustyni, wydają niesamowite okrzyki wojenne, używają sobie co się zowie, zagarniają bydło z dalszych okolic. Tyle szkód przyczyniają i taką panikę sieją, że Henryk upomina ich dowódcę, Sir Thomasa Butlera :

— Normandzcy chłopci są tak samo moimi poddanymi, jak nasi rodacy i jak ci Irlandczycy — powiada. — Nie chcę tu paniki. Gdy Rouen padnie, te wioski będą nam prowiantu do starczać. Wysoko sobie cenię ten piękny gest Irlandii, której mieszkańcy częściej chwyтали za broń przeciw królowi, niż po to, by mu dopomóc. Ale musisz im jakąś dyscyplinę narzucić, Sir Tomaszu.

Butler uśmiecha się:

— Dyscyplina to słowo, którego nie znają, miłościwy panie. Ale zrobię, co w mojej mocy.

— Koniecznie — nalega Henryk. — Inaczej musiałbym ich do domów odesłać, a do tej ostateczności nie chcę dopuścić, by nie urazić

Irlandii. Jeszcze by tam jakieś zamieszki wybuchły, co teraz byłoby mocno niepożądane.

— Gdyby miłościwy pan zechciał tym ludziom jakieś zadanie wyznaczyć, to bym ich łatwiej wziął w karby — proponuje Butler. — Oni najlepiej w walce się spisują. Nie rozumieją monotonnej rutyny długotrwałego oblężenia.

— Dobra myśl — zgadza się król. — Znajdziemy coś dla nich.

Pomimo najazdów Irlandczyków, trudno jest o żywność w огоłoconym kraju. Henryk pisze więc do Lorda Mayora Londynu, Ryszarda (Dicka) Whittingtona, sławnego i bogatego kupca, opisywanego przez współczesne kroniki nieco mieszaną metaforą jako „słońce naszego handlu, gwiazda przewodnia i wybrany kwiat”.

Podania angielskie rozślawiają w późniejszych wiekach dzieje Dicka Whittingtona. Miał on być ubogim sierotą, zatrudnionym jako kuchcik u surowego pracodawcy i nie posiadającym na własność nic, prócz — kota. Ten czworonożny skarb kuchcik zainwestował w wyprawę jednego ze statków swego pracodawcy, po czym uciekł od niego, tak mu już nędza dogryzła. Przywołały go z powrotem dźwięki jego ukochanych dzwonów z Bow Church, które zdawały się zapowiadać proroczo: „Wróć, Whittingtonie, burmistrzu Londynu!” Wrócił więc, by przekonać się, że jego kot w dalekich krajach okazał się tak cenny, a wyprawa statku tak zyskowna, iż kuchcik zdobył fortunę.

Niestety, uroczej bajki nie znał ani Whittington, ani jego współcześni, jako że najzupełniej mijała się z rzeczywistością. Whittington nie był

ubogim sierotą. Jego ojciec nosił tytuł rycerski, a Dick rozpoczął karierę jako kupiec bławatny, ożenił się bogato i nigdy nie znał ubóstwa, głodu ani żalosnej pracy kuchcika. Ani też żaden kot nie zdobył dla niego fortuny. Whittington zebrał bogactwa własną pracą, energią i bystrością umysłu. Ceniono go i lubiano w Londynie, gdzie ufundował niejeden szpital i bibliotekę. Hojnie wspomagał pożyczkami Henryka V, a przed nim jego ojca. Legendę o kocie, która w odniesieniu do Dicka Whittingtona pojawia się w Anglii po raz pierwszy w roku 1605, znały już ludowe podania perskie, duńskie i włoskie z XIII wieku.

Henryk do Ryszarda Whittingtona:

„Przystąpiliśmy do oblężenia miasta Rouen i wraz z naszymi wojskami w wielkiej potrzebie jesteśmy. Brak nam prowiantu. Zaczem prosimy, abyś nie zwlekając zechciał załadować tyle pomniejszych statków wiktuałami, ile tylko zdołasz... by je nie mieszkając wysłać do Harf leur, a stamtąd w górę rzeki Sekwany, w kierunku Rouen"...

Whittington słynie z energii i zaradności. Wkrótce flotylla rozwija żagle, wioząc nie tylko żywność, ale również znaczne zapasy wina i piwa, oraz list z prośbą, by jego królewska mość zechciał ten prowiant przyjąć od swych lojalnych i posłusznych poddanych, mieszczan londyńskich :

„...nie ze względu na dar, który jest bardzo skromny, ale z uwagi na dobrą wolę i pełne respektu życzenia pomyślności dla naszego najłaskawszego pana i władcy."

Obrońcy Rouen nie mają Dicka Whittingtona, do którego mogliby się

zwrócić o pomoc w potrzebie. Walczą dzielnie, ale głód niebawem zagląda im w oczy. Po czterech miesiącach oblężenia mąka i wołowina są prawie zapomnianymi luksusami. Zjedzono wszystkie konie i osły. Kot nie zdobył może fortuny dla Dicka Whittingtona, ale w Rouen trzeba zapłacić fortunę, by kota kupić — i zjeść. Ludzie biją się na ulicach o odpadki, zjadają skórzane obuwie.

Stary ksiądz przekrada się nocą przez linie oblegających wojsk i dociera do Paryża, by błagać Burgundczyków o pomoc. Go prawda, jego słowa wyrażają raczej groźbę, niż błaganie:

— Mieszkańcy Rouen czynią wam wiadomym moimi ustami, że jeśli z powodu braku odsieczy złożą hołd na wierność królowi Anglii, to nie znajdziesz na całym świecie zawziętszych od nich wrogów... zniszczą ciebie i twoje pokolenie...

Książę burgundzki, chcąc się pozbyć natarczywego księdza, obiecuje wysłać odsiecz i żywność. Ale obietnicom Jana Burgundzkiego wierzyć nie można, jak Henryk już się przekonał. Wygłodzeni, półżywi obrońcy Rouen nadal daremnie śledzą horyzont. Henryk porozstawiał patrole od wschodniej strony, by mu doniesiono o ewentualnym zbliżaniu się odsieczy. Nadzieje mieszkańców Rouen słabną z dnia na dzień — jak ich ciała. Henryk zdaje sobie sprawę, że na razie nie ma powodu obawiać się Burgundczyków.

Król znalazł sposób, by zatrudnić żywiołową energię irlandzkich żołnierzy. Każe im przebrać się za Burgundczyków — pewno pierwszy raz w życiu wkładają na siebie tyle odzieży i to całej, nie w łachmanach

— schować się nocą w lasach na wschód od miasta i wymaszerować za dnia z ukrycia. Angielscy łucznicy i żołnierze wdadzą się z nimi w pozorowaną bitwę. Król ma nadzieję sprowokować w ten sposób garnizon do wyjścia za mury i pośpieszenia z pomocą nadciągającym „Burgundczykom”. Ale komendant garnizonu nie dał się oszukać. Nie nakazuje wycieczki za mury. A bitwa „na niby” rozwija się z tak niespodziewaną zaciętością, że niejedną głowę rozbito i Sir Thomas Butler musi wstrzymać walkę. Irlandczycy przyjechali, by się bić — i wszystko im jedno, z kim.

Z początkiem grudnia niezwykle ruch w mieście zapowiada jednak jakieś przedsięwzięcie. Wzdłuż angielskich linii rozlegają się wołania: — Przygotować się do odparcia wycieczki!

Bramy miasta — jedna, druga, trzecia — otwierają się z wolna.

Francuscy żołnierze wychodzą, ale miast pędzić naprzód, formują się w dwa szeregi, zostawiając pośrodku wolne przejście. Rozlegają się ostre krzyki:

— Avant! Avant!

Henryk obserwuje scenę z okien klasztoru przy Notre-Dame--de-la-Rose. Przez bramy wybiega tłum starców, kuśtykających o kijach, matek z niemowlętami na ramieniu, mężczyzn dźwigających prymitywne nosze, na których leżą nieruchome, prawie bez życia ciała. Tłum wciąż się zatrzymuje, waha, zawraca, klęka przed żołnierzami, wznosi błagalne ramiona. Żołnierze odpowiadają uderzeniami, popychaniem dzidami. Wielu nieszczęśników pada, współtowarzysze podnoszą ich, ciągną.



I wciąż idą, więcej ich i więcej, wypędzani z miasta krzykami i razami, popychani przez żołnierzy, stojących w dwuszeregu przed bramami.

A więc taka wycieczka! Ostatnia to wycieczka Normandczyków. W rozpaczliwej i okrutnej próbie utrzymania miasta trochę dłużej, by doczekać się odsieczy, wypędzono za bramy wszystkich, których trzeba żywić, ale którzy nie mogą się przyczynić do obrony. Żołnierze francuscy wracają do miasta, by po zamknięciu bram z wysokości murów przypatrywać się rezultatom.

Parę tysięcy tych wygnanych, ledwie trzymających się na nogach szkieletów wlecze się w stronę angielskiego obozu, podchodzi do namiotów. Król wzdycha. Wie, że rozkaz, który musi wydać, będzie nieludzki. Jego żołnierze się litują. Podają chleb nędzaczom, którzy wszczynają o niego bójkę, rozszarpują bochenki, wpychają sobie do ust kawały, by inni ich nie porwali, dławią się w potwornym głodzie.

Najsłabsi padają, leżą tratowani stopami innych. Angielscy żołnierze i łucznicy daremnie usiłują zaprowadzić jakiś ład w tym makabrycznym chaosie. Hrabia March przybiega do króla.

— ...oni są chorzy, miłościwy panie, i tak osłabieni głodem, że wielu zatacza się, jak pijani. Niemowlęta przy wyschniętych piersiach...

Henryk zmusza się do odpowiedzi. Mówi gwałtownie:

— Nie możemy żywić dodatkowych paru tysięcy ludzi! Dać im jeden dobry posiłek, najlepszy, jaki można przygotować i wypędzić ich za obóz.

— Najjaśniejszy panie! To twoi poddani! — błaga młody

March,  
przypominając  
sobie często  
powtarzane  
stwierdzenie

Henryka, że Normandia jest jego z prawa. — Nie możesz ich  
wygnać w ten ogołocony ze wszystkiego kraj, by zmarli, naj  
jaśniejszy panie!

— Masz dobre serce, ale głowę niewiele wartą — irytuje  
się król. — Jak my możemy zatrzymać w obozie tę horde, pa  
ralizującą każde nasze poruszenie? Jeśli oni i my zostaniemy,  
to oni i my pomrzemy, bo nie ma żywności dla tylu. Francuzi  
chytry podstęp wymyślili! Ci nędzarze zjedliby wszystko i za  
parę dni musielibyśmy od oblężenia odstąpić. Czy mamy stra-  
cić całą Normandię z powodu tego fortelu? Tych biedaków trzeba  
wypędzić, a może znajdą gdzieś przynajmniej dach nad głową u  
miłosiernych ludzi.

Zasmucony, hrabia March odchodzi z posępnym rozkazem. Nakarmieni  
według zalecenia króla i pod jego dozorem, wygnani z miasta muszą  
następnie opuścić obóz. Błagają o litość na kolanach, tak jak błagali  
Francuzów i tak samo bez skutku. Niektórzy z Anglików odwracają  
twarze, nie mogąc patrzeć, jak Henryk — z zaciśniętymi zębami,  
wysuniętą naprzód dolną szczęką i łzami, spływającymi po policzkach —

dowodzi osobiście żołnierzami, jak otaczają starców, chorych i kobiety z dziećmi, jak przepędzają ich z obozu. Ale oni nie idą dalej. Wiedzą, że w tej pustyni czeka ich prędką śmierć. Nie wierzą, by znaleźli „dach nad głową u miłosiernych ludzi". Wloką znużone członki z powrotem do zamkniętych bram miasta. Rozkładają się wzdłuż murów, kryją się w fosie dla osłony przed strzałami i pociskami, które przelatują nad ich głowami w tę i tamtą stronę.

Setki umierają z głodu. Współtowarzysze nie mają ani sił, ani miejsca, by ich grzebać. Zwłoki leżą na parapetach, gniją i cuchną. Księża, wyzywając strzały, przechylają się z murów, by wzywać swych wypędzonych parafian do skruchy, do umierania po bożemu. Urodzone w fosie niemowlę windują w koszu do miasta, by je ochrzcić. Żołnierze kazały księdzu spuścić je z powrotem do matki, by z nią umarło.

Henryk nadal nie poddaje się litości.

— To by oznaczało odwrót — mówi. — A odwrót spod Rouen doda ducha całej Francji, być może zjednoczy ją przeciw nam. Nie możemy sprawić zawodu Anglii, by ratować starców i niemowlęta, wypędzonych przez ich własnych rodaków. Miękkie serca nie wygrywają wojen.

Wie, kiedy musi być bezwzględny. Ale kosztowało go to więcej niż sądził. Wojna przeciw starcom i niemowlętom. Incydent splamił dobre imię tego króla angielskiego. Przyszłe pokolenia będą mu to zarzucać, niepomne przypowieści o źdźble i belce w oku.

Tylko na Boże Narodzenie Henryk ulega ciągle powtarzanym prośbom

hrabiego Marcha i innych rycerzy, poruszonych niedolą wygnańców w fosie. Każe im posłać mięsiwa, ciasta i napoje. A tuż przed Nowym Rokiem nadzieje oblężonych i wygnańców wzrastają.

— Odsiecz! Odsiecz nadciąga...

— Ocalą nas...

— Pokonają Anglików...

— Dadzą nam jeść...

— Moje dziecko będzie żyło...

Wojsko burgundzkie rozbija obóz w Pontoise, o cztery dni marszu na południowy wschód. Ich dowódca dał znać do Rouen, że jest w drodze i tylko czeka rozkazu księcia Jana burgundzkiego. Ale rozkaz, gdy nadchodzi, przekreśla nadzieje oblężonych. Doniesiono księciu o bardzo silnej pozycji wojsk angielskich.

— Opuścił nas...

— Jego żołnierze odmaszerowują...

— Nasza ostatnia nadzieja...

— Niechaj załoga mówi, co chce: my, mieszczanie, poddamy miasto...

— I niechaj diabli porwą duszę księcia burgundzkiego...

Wojsko, które miało przyjść z odsieczą oblężonemu Rouen, odmaszerowało na północny wschód, w kierunku Beauvais.

W niedzielę Sir Gilbert Umfraville śpieszy do kwater królewskich.

— Oddział jeźdźców wyjeżdża z miasta pod białą flagą!

Z westchnieniem głębokiej ulgi Henryk ociera czoło wierzchem ręki.

— Nareszcie! Idź im na spotkanie. Jeśli chcą pertraktować,

wyznacza czas na jutro rano.

Następnego ranka czterech rycerzy, czterech księży i czterech mieszczan udaje się pod eskortą do Notre Dame. Henryk słucha mszy i Normandczycy muszą czekać do końca nabożeństwa. W bogatych szatach i koronie, pogodny i dostojny, Henryk wchodzi na podwyższenie, wybudowane w ciągu nocy. Normandczycy klękają. Król rozkazuje im mówić, z czym przychodzą.

— Przede wszystkim chcemy błagać waszą królewską mość o zmiłowanie nad głodującymi ludźmi w fosie za naszymi murami.

Henryk odpowiada ostro, wzgardliwie, gniewnie: — A kto ich tam wtrącił? Nie ja, o czym dobrze wiecie! To wy posługujecie się starcami, kalekimi i chorymi jako narzędziami wojny, posługujecie się słabością, by wygrała tam, gdzie wasza zachwalana siła nic nie mogła wskórać. I nie mówcie mi tutaj o waszych murach, bo to mury mojego miasta, mego dziedzictwa, które wy zdradziecko przede mną zamykacie!

Wyzywające słowa, ale na takie słowa nadeszła chwila i Normandczycy muszą zamilczeć.

— Jutro  
możecie  
przysłać  
waszych  
przedstawicieli  
dla

przedyskutowania warunków poddania — mówi dalej król. —

Zaprzestaniemy działań wojennych. Ale jeśli popróbowujecie zdrady, każę powiesić każdego waszego szlachcica i rycerza na murach naszego miasta, naszego!

— Musicie nam żywności udzielić, miłościwy panie! — upomina się

Normandczyk, by usłyszeć ostrą odpowiedź:

— A gdy napełnicie wasze brzuchy, znowu nas wyzwicie. Nie, przyjaciele, bo ufam, że jeszcze się staniecie moimi przyjaciółmi.

„Musicie”? Takiego słowa nie przystoi używać poddanym wobec królów i zdobywców. To wy „musicie”. My wam przyznamy, z naszej królewskiej łaski, gdy się upewnimy o waszej szczerzej dobrej woli. Kiedy ustalimy warunki, będzie dość żywności dla wszystkich. Przedtem — ani kęsa.

Przed bramą St. Hilaire wzniesiono dwa ozdobne pawilony: jeden dla negocjatorów angielskich, z hrabią Warwickiem i hrabią Salisbury na czele, drugi dla Francuzów. Na murach Rouen wyrośla się ciżba

niespokojnych mieszczan, chodzących

kościotrupów. Na równinie pod murami widać barwnie postrojonych angielskich rycerzy i niezliczoną masę żołnierzy — tęgich, dobrze

odżywionych. Pojedynczy jeźdźcy galopują tam i z powrotem — z

informacjami do króla od Warwicka i Salisbury'ego, do komendanta

załogi od delegatów francuskich. Pertraktacje przedłużają się, dni wloką

się w nieskończoność. Francuzi, jakby w ogóle nie dbali o ulżenie

głodnym tysiącom, targują się o każdy paragraf warunków,

proponowanych przez króla.

— Miasto nie może być wydane na pastwę grabieży — upo

minają się.

Salisbury namawia króla, by dał Normandczykom jeszcze jedną surową

nauczkę. Ale ponieważ nie było szturmu i walk wręcz, więc Henryk

trzyma silną ręką swoje wojsko w karbach. Odpowiada :

— Chcemy mieć to miasto w stanie kwitnącym, o ile możliwe i jak

najprędzej.

Nie

ma

potrzeby

palić

domu,

by

upiec

pieczeń. Zgoda. Nie będzie grabieży.

Francuzi znowu targują się o wysokość okupu, ostatecznie

uzgodnionego na trzysta tysięcy koron, czyli około siedemdziesięciu

pięciu tysięcy funtów szterlingów: wysoka, ciężka do zapłacenia suma na

owe czasy, kiedy za jeden funt kupowano bojowego rumaka.

I targi o broń załogi: Anglicy żądają, aby szlachta, rycerze i żołnierze,

choć będą mogli bezpiecznie opuścić miasto, wyszli bez broni. Jest ich

zbyt wielu, by ich brać do niewoli i żywić, ale również zbyt wielu, by ich

puścić na wolność W warunkach, pozwalających im na wzmocnienie

innej twierdzy.

Targi o osoby, wyłączone spod amnestii. Francuzi mają wydać dziewięciu, uznanych za szczególnie winnych: skazanego' na ścięcie Harolda Blancharda, który wieszał angielskich jeńców; biskupa Roberta de Livet, który ogłosił z ambony ekskomunikę króla Anglii, skazanego na pięć lat w angielskim więzieniu; i siedmiu innych, zabranych do niewoli aż do chwili zapłacenia żadanego od nich okupu.

Wreszcie dnia 19. stycznia Francuzi z konieczności zgadzają się na warunki, których nie zdołali wytargować. Ich żołnierze opuszczają miasto następnego dnia. Ci ze starców, kobiet i dzieci, którzy przeżyli w fosie, wpełzają z powrotem do miasta, kulejąc i padając. Za nimi jadą wielkie wozy pod silną strażą, aby dopilnować równego rozdziału żywności. W sześć dni później Henryk wjeżdża do stolicy swego księstwa. Nie ma ostentacyjnego pokazu militarnej siły. Żadnej wojskowej parady.

Arcybiskup Chicheley, który niedawno przyjechał do Normandii, idzie na czele z dwoma biskupami. Król, w stroju z czarnego adamaszku, ozdobionym złotą klamrą, jedzie na karym wierzchowcu. Po drodze na mszę do katedry przejeżdża między tłumami, wiwatującymi raczej słabo na jego cześć. Rueńczycy nie kochają w tej chwili księcia Burgundii, który ich opuścił w potrzebie, ale też w niewielu sercach panuje radość z powodu wydania miasta obcemu najeźdźcy. Wiwaty, o ile są, rodzą się nie w sercach, a raczej w żołądkach, dobrze odżywionych przez kilka już dni.

Jednakże miną jeszcze dwa tygodnie, nim głodowa śmierć przestanie zbierać żniwa.

Lepiej poddać się angielskiemu królowi, niż wszystko utracić,



rozumują kupcy i mieszczenie. Jak zawsze po zwycięskim podboju, Henryk zajmuje się przede wszystkim zorganizowaniem sprawnej administracji i wzywa do pomocy księcia Bedfordu z Londynu. Rządów w kraju ma tymczasem pilnować Humphrey, książę Gloucester. Książę Clarence, Warwick i Salisbury otrzymali polecenie oczyszczenia z wojsk nieprzyjacielskich okolic po Somę na wschodzie i w górę Sekwany do Mantes, odległego o 80 km. W kwietniu roku 1419 Henryk pewną ręką włada całym księstwem.

Tymczasem małżonka Karola VI, królowa Izabela przybrała tytuł regentki, nie uznając regencji swego syna, którego teraz znienawidziła. Tak więc i rodzinę królewską, nie tylko cały kraj, rozdziela waśń i wojna. Królowa Izabela nie jest bynajmniej mało ważnym pionkiem na politycznej szachownicy. W roku 1385, gdy miała czternaście lat, książę Burgundii, którym był wówczas Filip Śmiały, wydał ją za żonę Karola VI w nadziei opanowania króla Francji za pośrednictwem tej pięknej i zmysłowej księżniczki bawarskiej. Urodziła dwanaścioro dzieci, ale od roku 1392, kiedy Karol, ulegając sporadycznym atakom obłąkania, powziął awersję do swej małżonki, można powątpiewać o ojcostwie niektórych z młodszych potomków królewskiego rodu. Jednym z kochanków Izabeli był młodszy brat króla, uwodzicielski, niefrasobliwy i rozwiązły Ludwik Orleański, który tak jej przypadł do gustu, że na jakiś czas zdradziła sprawę Burgundczyków i przeszła na stronę Armaniaków. Jan, książę Burgundii od roku 1404, najął zbirów, by na ulicy Barbette w Paryżu zamordowali Ludwika

Orleańskiego.

Przez krótki czas Izabela odgrywała pewną rolę wśród swych nowych przyjaciół, ale wkrótce usunął ją w cień wzrastający wpływ polityczny księcia d'Armagnac. Zamieszkała wtedy na zamku Vincennes, gdzie prowadziła własny, wspaniały dwór, który przyciągnął wielu kawalerów i dam o podobnym zamiłowaniu do rozrywek jak jej własne, a zrażonych do dworu królewskiego wybrykami Karola VI.

Społeczeństwo Paryża niebawem zaczęło się gorszyć rozrzutnością i skandalami, otaczającymi Izabelę. Kilka dam jej dworu, odszukanych w Paryżu w okresie burgundzkiego terroru, poddano zniewagom, gwałtom i wymyślnym torturom.

W roku 1417, kiedy przez krótki czas Karol zachowywał się stosunkowo przytomnie, książę d'Armagnac zakomunikował mu, że ostatnim kochankiem czterdziestosześcioletniej królowej jest młodzieńca Ludwik de Boisbourdon. Król o tyle odzyskał zmysły, iż kazał młodego człowieka pojmać, storturować i wrzucić do Sekwany w worku z napisem: „Laissez passer la justice du roi”. Majętności królowej zagarnęli delfin i książę d'Armagnac, a ją samą wygnano do Tours, do odosobnionego „apartamentu, strzeżonego przez surowych wartowników”.

Ponieważ nie udało jej się uwieść żadnego z tych wartowników, a wściekłość jej wzrastała w chłodzie samotnego łoża,

Izabela postanowiła zapomnieć o tym, co Jan burgundzki zrobił z jednym z jej kochanków i zwróciła się do niego o ratunek. Z oddziałem ośmiuset jeźdźców Jan uwolnił ją z więzienia w Tours i przewiózł do Troyes nad

górną Sekwaną, gdzie Izabela ponownie przeobraziła się w entuzjastyczną stroniczkę Burgundczyków. Bardzo już otyła i zreumatyzowana, Izabela zdołała jednakże zgromadzić wokół swej osoby nowy, liczny i wspaniały dwór, gdzie spędzała dni otoczona ulubionymi łabędziami, turkawkami, psami, kotami, a nawet małpkami w czerwonych kubraczkach. Nocą wynagradzała sobie samotność w Tours, przyzywając do swej sypialni młodych kawalerów, których ambicję mogła zaspokoić protekcja u księcia Burgundii.

A pobożny i wstrzemięzliwy Henryk V niebawem zaprzysięgnie wielbić i szanować to wcielenie nimfomanii jako matkę. Względy polityczne przyczyniły się do zapomnienia o sprawach, które by potępił u każdej innej kobiety. Ale nie tylko. Henryka zaślepi nowe, temu trzydziestotrzyletniemu mężczyźnie prawie nie znane przeżycie: jego lędźwie zadrżą na widok córki Izabeli, dziewiętnastoletniej księżniczki Katarzyny.

### *Rozdział XIII*

#### **CHEŃNA NARZECZONA**

— Miły kuzynie, wiedz, że będziemy córkę waszego króla za żonę mieć i wszystko dostaniemy, czegośmy zażądali, bo jak nie, to wypędzimy jego i ciebie z granic tego królestwa.

Tymi słowy Henryk angielski zwraca się do księcia burgundzkiego.

Jest rok 1419. Więcej nawet, niż zwykle, Henryk czuje się pewien swego.

Wzięcie Rouen dokończyło podboju Normandii, wydało całe księstwo w jego ręce. Sporo drobniejszej szlachty i mieszczan złożyło mu przysięgę

na wierność i zgodnie z konsekwentną polityką Henryka, zatwierdzono ich następnie na ich majątnościach. Handel odżył, kupcy bretońscy i flamandzcy znowu odwiedzają porty Normandii. Nawet z Paryża kupcy przyjeżdżają i odjeżdżają pod angielską protekcją.

Główną kwaterę Henryka przeniesiono do Mantes na Sekwanie, o 50 km lotem ptaka od bram Paryża. Pontoise, dawną twierdzę Burgundczyków, zdobyto szturmem i złupiono — nagromadzone tam zapasy starczyłyby załodze na dwa lata. Po wzięciu Pontoise Francuzi bardzo podupadli na duchu. Rozdzierani waśnią stronnictw, muszą uznać wyższość militarną nieprzyjaciela. W Paryżu panuje chaos i trwoga. Karol VI uciekł na dwór swej niewiernej małżonki w Troyes.

Burgundzcy i Armaniacy — każda partia na własną rękę — szukali sojuszu ze zwycięskim najeźdźcą, by im dopomógł do pogrążenia domowego przeciwnika we własnym kraju. Ale warunki Henryka wydają im się, jak na razie, nadto wygórowane. Pewien teraz, że potrafi siłą narzucić własną wolę, Henryk nie zgadza się odstąpić ani na jotę od swych żądań. Początkowo wydaje się niektórym, że jego zuchwały upór narazi wszystko na niebezpieczeństwo, gdyż wojujące stronnictwa francuskie próbują dojść do porozumienia, by zawrzeć przymierze przeciwko najeźdźcy. Henryk wzrusza ramionami.

— A niech się sprzymierzają! — powiada. — Burgundczykowi czy Armaniakowi, żadnemu zaufać nie można. Będą sobie nawzajem przyjaźń przysięgali, a potem zdradzą. Tacy już są.

Zdrada, jaka wynikła z tych pertraktacji, okazała się nawet

okropniejsza, niż Henryk mógł przewidzieć. Delfin przybywa na północny wschód znad Loary, a Burgundzcy posuwają się na południowy wschód od Paryża, by przybyć na umówione miejsce spotkania pośrodku mostu z Montereau, armaniackiej twierdzy, położonej w pobliżu ujścia rzeki Yonne do Sekwany, o jakieś 80 km od stolicy.

Książę Jan burgundzki zastaje most obsadzony przez wojska Armaniaków i zabarykadowany na obydwu końcach. Pośrodku stoi pawilon, najwidoczniej wybudowany jako miejsce narady.

Rycerze burgundzcy przestrzegają księcia, by nie wchodził na most, przynajmniej dopóki barykady nie zostaną usunięte. Ale Jan nosi przydomek „Nieustraszonego” i nie nadaremno. Tylko że nieustraszony staje się synonimem niemądrego. Z nieliczną świtą książę wchodzi na most, a za nim natychmiast zamykają bramę barykady. Wznoszą się armaniackie topory bojowe. Wycinają Burgundczyków co do nogi. Jan Nieustraszony — i niemądry — pada z wielką dziurą w głowie.

Haniebny podstęp, typowy dla Delfina Karola. W dziesięć lat później tenże sam Karol palcem nie ruszy, by uratować od płomieni kobietę, której popularność napęłnia go zawiścią, a która ocaliła Francję — Joannę d'Arc. Nawet sami Armaniakowie wydają się przerażeni własnym czynem. By przebłagać Boga za zbrodnię, grzebiąc Jana Nieustraszonego, zama-

wiają dwanaście mszy przed ołtarzem Matki Boskiej w Montera au. W tym samym czasie nowy książę Burgundii, młody Filip, który na szczęście nie towarzyszył ojcu na moście, uroczyście zaprzysięga zemstę. Jak

przystało synowi. Ale poza najbliższą rodziną, mało kto wylewa łzy po śmierci zamordowanego księcia. Henryk wyraża zapewne dość powszechne uczucia, gdy mówi :

— On sam tyle morderstw i zrad popełnił, że żaden chrześcijanin nie będzie go obżalowywał.

Wydaje się, że Henryk widzi w tej zbrodni karzącą rękę Boga, wzniesioną w interesie Anglików. Zamordowanie księcia Burgundii rzeczywiście bardziej od tuzina wygranych bitew przyczyniło się do zrealizowania ambicji Henryka. Jest to tak kolosalny błąd polityczny, iż wielu tłumaczy go sobie jakąś nadprzyrodzoną mocą, która zmusiła do tego Delfina i jego popleczników. Teraz Burgundczycy chcą za wszelką cenę dojść do porozumienia z Anglikami, wykluczając Armaniaków.

Późniejsi historycy powiedzą, nie bez uzasadnienia, że Anglicy wjechali do Francji przez dziurę w głowie Jana Burgundzkie-

Z początkiem lata 1419 roku pod Meulan, między Pontoise a Mantes, grodzi się łąkę i stawia bramy po przeciwległych końcach. Łąkę otacza całe miasto barwnych namiotów. Pośrodku wzniesiono trzy ozdobne pawilony, jeden przeznaczony na miejsce narad, drugi dla posłów angielskich, trzeci dla francuskich — w tym wypadku przeważnie Burgundczyków. Budowaniem zajmowali się wspólnie rycerze i żołnierze obu stron, każda grupa zabezpieczona starannie, by nie powtórzyła się tragedia z Montereau.

Gdy wszystko gotowe, z namiotu Francuzów przechodzi do pawilonu narad królowa Izabela z najmłodszą, ulubioną córką, Katarzyną oraz

księżęta Burgundii i Bretanii. Zasiadają na krzesłach w kształcie tronów, połączonych i obitych adamaszkiem, pod sztandarami i herbami, na wzniesieniu w jednym końcu pawilonu. Henryk dobrze wie, jakie wrażenie wywiera wyczekiwane nadejście i potrafi to wyzyskać. Jego postać i ruchy nadają się do odegrania takiej roli. Przed pawilonem srebrne trąby fanfara ogłaszają, że oto się przybliża: król Anglii, za nim jego bracia Clarence i Bedford, jego stryj hrabia Exeter i główni negocjatorzy: arcybiskup Ghicheley i hrabia Warwick. Królowa Izabela w pięćdziesiątym roku życia jest otyła i zreumatyzmowana, ale tym niemniej okiem znawczyni ocenia dorodną postać zdobywcy Normandii. Dziewiętnastoletnia Katarzyna, wysoka i piękna, matce zawdzięcza urodę, bo kobiety z rodu Valois są równie brzydkie, jak i mężczyźni. Po matce też odziedziczyła zmysłowy temperament, niekoniecznie monogamiczny. Przed pierwszym spotkaniem z przyszłym narzeczoną, powiedziała do swej ochmistrzyni :

— Ten król angielski ponoć wielki jest i mocny. Myślę, że w takich mężczyznach będę znajdować upodobanie.

— Wasza wysokość niechaj się lepiej zadowoli tym jednym wielkim, mocnym mężczyzną — odparła ochmistrzyni. — Jemu rogów nie przyprawi się bezkarnie.

— Ale on o wiele starszy ode mnie. Może umrzeć, a wtedy...

Ochmistrzyni spiesznie karci swą królewską pupilkę, aby dziewicze usta nie wymówiły czegoś, co nie przystoi.

Wiedząc, czego angielski król się po niej spodziewa, Katarzyna

zachowuje dziewczęcą wstydlivość, ale z upodobaniem mu się przygląda: włosy brunatne, gęste, nos prosty i wydatny — kobiety francuskie nadają temu szczególne znaczenie — uszy małe, kształtne, czerwone wargi, postać wysoka i szczupła, o muskularnych nogach, opiętych w długie białe nogawice ciasno przylegające do bioder i krągłych pośladków pod krótką tuniką ze szkarłatu i złota. Żadna dziewczyna nie może sobie w noc poślubną życzyć więcej, niż to, co bez szczególnej powściągliwości odsłania ten strój.

Przy takiej sposobności, jak w Meulan, Henryk przechodzi sam siebie. Potrzeba tu aktorstwa w wielkim stylu, czego mu nie zabraknie. I nie jest to bez znaczenia. Henryk imponuje swoim wyglądem i postawą. Odrzucił na ten raz pobożność, przydatną w poważniejszych okazjach, gra rolę władczego monarchy. Zatrzymuje się na miękkim dywanie pomiędzy wzniesieniem dla Francuzów a podobnym, odpowiednio udekorowanym dla Anglików. W milczeniu patrzy spokojnie, krytycznie, na tych, którzy do niedawna byli jego wrogami. Po czym z ostentacyjnym respektem kłania się nisko rozwiązłej, grubej kobiecie, w której chce widzieć przyszłą teściową, wymawia odpowiednie komplementy powitalne płynną, choć nie bezbłędną francuszczyzną.

Wyprostowując znowu dorodną postać, podchodzi i całuje królową w oba umalowane i upudrowane policzki, nie okazując niesmaku.

Następnie staje przed księżniczką Katarzyną i ze świadomie bezwstydną zuchwałością — więcej wie o kobietach, niż jego skromne w tym względzie doświadczenie kazałoby przypuszczać — ogląda ją od



góry do dołu.

— Na konterfektach wydaje się wasza wysokość urocza — mówi —  
ale żaden nie oddaje w pełni sprawiedliwości jej urodzie. Wasza  
wysokość jest nieporównana!

Istotnie, po raz pierwszy w życiu Henryk jest do głębi poruszony  
kobietą piękną. Chce być Adamem dla tej Ewy. Ujmuje rękę  
dziewczyny i goręcej, niż tego wymagają formalne okoliczności, całuje  
różowe wargi, podane — powiedziałyby ochmistrzy — nazbyt chętnie.  
Król odstępuje o pół kroku, ale nie puszcza ręki swej przyszłej  
narzeczonej i patrzy w jej oczy. A po niej przebiegają rozkoszne dreszcze,  
jakich dotąd nie znała, ale których znaczenie dobrze pojmuje. Wreszcie  
wypuszcza jej rękę ze swojej i zwraca się do książąt Burgundii i Bretanii,  
witając ich dość wyniośle.

Z pozłocistych tronów na podwyższeniach Henryk i Izabela wygłaszają  
krótkie, oficjalne przemówienia. Potem głos zabierają arcybiskup  
Canterbury i książę Filip. Tym razem dość szczerze są życzenia, aby  
rozpoczynające się negocjacje doprowadziły do ugody. Następnie  
królowa wraz z córką odchodzi. Katarzyna nie może się powstrzymać i  
jeszcze przez ramię spo-

gląda na mężczyznę, którego zuchwałe spojrzenie obudziło w niej  
oddźwięk. A Henryk z braćmi zostawiają arcybiskupowi i hrabiom  
prowadzenie pertraktacji.

Strona angielska dąży do połączenia tronów Anglii i Francji, co nie  
przedstawia łatwego zadania. Trzeba uwzględnić nie tylko młodego

księcia Filipa i jego doradców. Należy ułagodzić także królową — która wyjechała z księżniczką do Troyes — i radę królewską w Paryżu. Na użytek swych przedstawicieli Henryk podsumował prawdopodobne życzenia i kłopoty adwersarzy.

— Paryżan najłatwiej będzie zaspokoić. Są wrogami Armaniaków, a

Delfin

jest

Armaniakiem

i

mordercą.

Prócz

tego

czują na szyjach zaciągnięty przez nas sznur: mając w ręku

Sekwanę, odcinamy ich od handlu i dostaw...

Arcybiskup dodaje uwagę, podówczas słuszną, chociaż zmieni się to w późniejszych wiekach, gdy jednostki będą gromadziły krociove bogactwa na dostawach broni:

— Za pozwoleniem waszej królewskiej mości, wszyscy trudniący się handlem, a do takich paryżanie należą, życzą sobie pokoju, a nie wojny, domowej lub innej. Czasu wojny handel zamiera, a oni nie mogą się bogacić.

— Mówisz mądrze, wasza wielebność, jak zawsze — odpowiada

Henryk. — Burgundczycy również chcą tego sojuszu, by zyskać sposobność pomsty na Armaniakach. Na nich można nacisk wywrzeć

grożąc, że gdyby na nasze warunki nie przystali, sprzymierzymy się z ich wrogami. Ale mają oni pewien kłopot i trzeba znaleźć sposób obejścia go: otóż książę Filip popełniłby właściwie zdradę, gdyby oddał koronę swego suwerena, chociaż nawet ta korona według prawa i sprawiedliwości mnie się należy.

— To się da załatwić, najjaśniejszy panie — zapewnia Warwick. —

Wiemy, jak ważne jest w pertraktacjach zrozumienie drugiej strony i wyjście naprzeciw ich trudnościom.

— Najwięcej kłopotów — ciągnie Henryk — może być z królową,

chociaż chciałaby widzieć córkę żoną angielskie-

go króla. Nie lubi swego syna, Delfina, ale to jeszcze nie znaczy, by

zgodziła się go wydziedziczyć. Najlepszym na nią sposobem byłoby

namówić księcia Filipa, żeby jej chwilowo wstrzymał wypłaty apanaży.

Lubi ona pieniądze na swoje ekstrawagancje i frywolności.

Arcybiskup, chytry dyplomata, dorzuca jeszcze :

— Królowa mówiła publicznie, a nie wiem, prawda-li to, czy też miała

jakieś swoje po temu powody, że Delfin nie jest synem króla Karola, lecz

owocem jednego z jej cudzołożnych związków. Należałoby to wszędzie

rozgłaszać. Taka wiadomość wyklucza Delfina od dziedziczenia i

zrozumiałe będzie, że królowa i wasza królewska mość odsuwają

bastarda.

Gdy Henryk pretendował do tronu francuskiego, niepewność

dziedzictwa w dynastii Valois była dla niego prawie równie cennym

atutem, jak braki umysłowe Karola VI. Jeden silny, energiczny następcę

tronu, niezależnie nawet od rzeczywistego pochodzenia, mógłby położyć kres wojnie domowej, zjednoczyć swój kraj i wypędzić Anglików. Ale Delfin Ludwik, ten, który ze wzgardą posłał piłki tenisowe świeżo obejmującemu władzę królowi Anglii, zmarł w 1415 roku. Jego brat Jan — w 1417. Następstwo tronu przypadło najmłodszemu, chorowitemu epileptykowi Karolowi, o ciele skrzywionym a duszy podejrzliwej. Prawdę rzekłszy, stan fizyczny i umysłowy tego młodego człowieka zdawał się zadawać kłam deklaracji królowej, iż jest dzieckiem nieprawego łoża. Ten słabeusz nie mógł sprostać tak energicznemu przeciwnikowi, jak Henryk V, zwłaszcza teraz, gdy interesy króla angielskiego zgodne są chwilowo z interesami królowej i księcia Burgundii.

Gdy angielscy przedstawiciele targują się i debatują, Henryk zabiera się do zacieśnienia więzów, jakie zarzuca na Paryż. Zdobywa najpierw Piossy, następnie St. Germain. Z chwilą wzięcia St. Germain stoi rzeczywiście pod bramami stolicy. W miesiąc później Burgundia podpisuje traktat z Anglią, według którego książę Filip zobowiązuje się spełniać wszystkie, praktycznie biorąc, żądania Henryka, włącznie z francuskim tronem i olbrzymim posagiem wraz z ręką księżniczki. Strona angielska usunęła skrupuły księcia co do zdetronizowania jego suwerena zgadzając się, aby Karol VI nosił koronę Francji dożywotnio, z Henrykiem jako regentem, to znaczy, rzeczywistym władcą. Z chwilą śmierci Karola VI, sukcesja tronu przechodzi na Henryka i jego potomków. Angielski król i burgundzki

książę połączyli się, by zgubić Delfina, napiętnowanego jako bastard i morderca.

— Z Delfinem rozprawiliśmy się na razie tylko na papierze — zauważa Henryk. — Ale nie przeszkodzi on nam na drodze do ostatecznego triumfu. Na powitanie Jana Nieustraszonego bruki Paryża spłynęły krwią. Na powitania Henryka Lancastera — spłyną winem !

Dowódcy angielskich garnizonów i stacjonujących na północy, wschodzie i zachodzie oddziałów otrzymują rozkaz wyprawienia dla swoich podwładnych najwspanialszej uczty, na jaką warunki pozwolą. Posłanie króla kończy się słowami: „Albowiem to ich dzielne serca i silne ramiona uczyniły nas panami Francji.”

Stwierdzenie, że Anglicy są panami Francji ma równie kruche podstawy jak pretensje Henryka do tronu tego kraju. Ale w godzinie triumfu można wybaczyć lekką przesadę.

Angielscy żołnierze i młode Francuzeczki, które się przekonały iż najeźdźcy są mniej straszni, niż plotkowano, uczują, piją i hulają. Ale przygotowania do ratyfikacji przymierza angielsko-burgundzkiego, jako wstępu do traktatu angielsko-francuskiego, wymagają dłuższego czasu.

Dopiero dnia 8 maja Henryk wyrusza do Troyes, gdzie na dworze oczekuje go nie tylko okropna królowa, niecierpliwa Katarzyna i nienawidzący Delfina książę burgundzki, ale tym razem również król Francji: zdziwaczały, niespełna rozumu.

Towarzyszy Henrykowi olbrzymi poczet, złożony przeważnie z łuczników, ponieważ rycerze i wojownicy są rozrzućeni po niedawno

zdobyłym księstwem Normandii. Aby dostać się do Troyes, Henryk i jego bracia muszą przejść przez terytorium, nadal praktycznie w rękach Delfinistów. Mieszczanie paryscy wiwatują z murów i bastionów na widok wojska angielskiego, maszerującego wzdłuż wschodnich murów w pełnym szyku bojowym. Wysłano przodem podjazdy, patrole chronią boków i tyłu. W pobliżu Montereau dostrzegają jazdę Armaniaków. Ale ci, zorientowawszy się, że Anglicy maszerują w gotowości bojowej, wycofują się pośpiesznie popędzani chmurą strzał. Tu i ówdzie trafia się słaby opór, z czym podjazdy rozprawiają się bez trudu i bez strat.

Wojsko wchodzi na szeroką równinę, pośrodku której wznosi się Troyes, jedno z najstarszych miast Francji. Przed murami Filip burguiidzki spotyka dostojnego gościa, swego przyszłego suwerena, prowadzi go do kwater, przygotowanych dla niego i jego świty. Henryk zegna się, mijając opactwo Notre-Dame-de-Nonnains, i znowu przed kościołem św. Urbana, posiadającym witraże z XIII wieku. Jego zwyczajem jest zaznajamiać się z historią miast, które zdobywa, albo do których wkracza w innym charakterze. Wie, że Troyes istniało już za czasów rzymskiej Galii. Od IV wieku jest siedzibą biskupstwa, i przez paręset lat biskupi rządili całą okolicą. Troyes rozkwitło jako ważny ośrodek handlowy, odbywały się tu targi, przyciągające kupców z bliska i z daleka. Handel tym bardziej się rozwijał po przekopaniu kanałów na rozkaz hrabiów Szampanii; którzy w X wieku usunęli w cień władzę biskupów. Jednakże z początkiem XIV wieku Szampanię włączono do

dominiów króla francuskiego Ludwika X, przezwiskiem le Hutin (Kłótnik), który, wadząc się z hrabią Flandrii, zabronił kupcom flandryjskim przybywać na targi. To okazało się katastrofalne dla rozwoju handlu tak dalece, że gdy Henryk podjeżdża do bram Troyes, miasto już straciło wiele na znaczeniu, a jego zabudowa jest nadal prawie wyłącznie drewniana.

Księżę Burgundzki wprowadza Henryka na dwór Karola VI i Izabeli.

Wszedłszy na salę, król angielski wydaje się dostrzegać tylko księżniczkę, bez respektu dla „naszego drogiego kuzyna”, siwowłosego, o nieprzytomnym spojrzeniu mężczyzny, noszącego koronę. Oczy Henryka mrużą się, półuśmiech rozruchyla mu usta, Ponownie uderza go wielka uroda księżniczki. Ale zachowuje się tak świadomie: chce wyrzucić na niej wrażenie swoim pożądaniem, chce obudzić w niej wzajemną namiętność. W istocie rzeczy jest to właściwie zbyt wiele. Od chwili spotkania w Meulan, Katarzyna zachowała pamięć gorącej pieczęci jego warg na swoich.

Henryk udaje, że się opamiętał i podchodzi przywitać króla Francji.

Karol zezuje na niego błędnymi oczyma, odwraca się do Izabeli i pyta:

— Kto to?

Kłopotliwa chwila. Francuzi wstrzymują oddech. Czy ten Anglik nie poweźmie urazy? Ale nie. Henryk się uśmiecha. Bardzo mu to odpowiada: człowiek, którego tron chce zająć, jest w takim stanie umysłu, iż stosuje się do wskazówek królowej i księcia Filipa.

Izabela marszczy się i szepcze coś do ucha Karolowi, który zmusza się

do nieprzytomnego uśmiechu i mówi od niechcienia:

— Ach, tak! Wobec tego... witamy cię. Pozdrów damy.

Henryk oficjalnie, szybko całuje Izabelę, a długo i z rozkoszą — księżniczkę.

Następnego dnia, 21 maja, król Anglii i królowa Francji — oboje w bogatych strojach, z tym, że na niej ten przepych jaskrawych barw dziwnie razi w zestawieniu z jej tuszą i wiekiem, a na nim wygląda wspaniale — idą obok siebie wzdłuż nawy katedry św. Piotra. Króla Karola zostawiono na ten raz w pałacu; siedzi i zabawia się z ulubionymi psami. Król Anglii i królowa Francji siadają w przygotowanych dla nich przed głównym ołtarzem fotelach, a arcybiskup Chicheley odczytuje przed całym zgromadzeniem — które szczelnie zapełniło katedrę, a nawet przelewa się na ulicę — postanowienia zawartego traktatu. Uzgodniono regencję Henryka, jego małżeństwo z Katarzyną, sukcesję tronu. Ostatni paragraf głosi:

„Oba królestwa berłem jednego i tego samego monarchy rządzone będą, wszelako pod wszystkimi innymi względami odrębne, sobie właściwe prawa i przywileje, zwyczaje i ustawy zatrzymując. A także od tej pory ustaną wszelkie waśnie, nienawiści, urazy i wojny; i po wsze czasy zapanuje pokój, zgoda i wzajemny afekt, a przyjaźń stała i wierna między wymienionymi królestwami”.

Te słowa skreślił osobiście Henryk. On i „wysokie układające się strony”, w radosnym uniesieniu owej chwili — Henryk triumfujący, Filip w nadziei pomszczenia się na Delfinie, Izabela ufna, że będzie miała pod



dostatkiem pieniędzy, choć w tym się zawiedzie — może nawet szczerze wyrzekają się „waśni, nienawiści, urazy i wojny”; może doprawdy wydaje się im, że wierzą w „przyjaźń stałą i wierną” między dwoma wrogimi królestwami. Ale narodowi francuskiemu — oprócz paryskich kupców, więcej troszczących się o rozwój handlu i osobiste wzbogacenie, niż o sprawy polityki i patriotyzmu — nie dano sposobności wyrażenia jego woli. To prawda, że Francuzi są wymęczeni wojną domową, ale lekarstwo — zrzeczenie się suwerenności własnego kraju — nie lepsze od choroby.

Unia osobista dwóch narodów i stłumienie wewnętrznych waśni francuskich stronnictw może stałoby się rzeczywistością pod rządami człowieka o takich zdolnościach, sile charakteru i mądrej trosce o dobrobyt wszystkich poddanych, jak Henryk Plantagenet. Ale historia znała niewielu jemu podobnych. Trudno przypuszczać, by ludzie mniejszego kalibru poradzili sobie z kontynuowaniem ambitnego dzieła jego życia, utrzymali jego zdumiewające osiągnięcia. Henryk jest młody, wydaje się silny i zdrowy. Ma prawo spodziewać się dwudziestu, trzydziestu lat życia, by utrwalić sukcesy zdobyte własnym militarnym geniuszem — i wewnętrzną niezgodą Francuzów.

Ale Bóg, w którym Henryk pokłada taką ufność, na którego się powołuje jako na szczególnie łaskawego opiekuna, zażartuje sobie z niego. W niecałe dwa lata po podpisaniu traktatu w Troyes, podczas następnej kampanii we Francji przeciw delfinistom, Henryk zapadnie na dyzenterię — i umrze.

A wówczas historia oceni traktat w Troyes jako olśniewający sukces

osobisty, ale zarazem przykład źle skierowanej energii, który nie przyniesie korzyści nikomu, nawet Anglii, a tym mniej Francji. Próba zjednoczenia pod jednym berłem dwóch tradycyjnie wrogich narodów, o odmiennej kulturze, odmiennych potrzebach i interesach, jednego zwycięskiego, a drugiego podbitego i nieprzejednanego, nie udała się tu, jak nie udała się w innych krajach i epokach. Chociaż, aby narzucić i utrzymać unię, poświęci się wiele wysiłków i kosztów, które można było lepiej i trwalej wykorzystać, to jednak triumf Henryka rozwieje się bardzo szybko. Do roku 1453 z angielskich posiadłości we Francji zachowa się jedynie Calais, a i to tylko na niecałe sto lat dłużej. Sic transit gloria mundi.

Na razie żadna troska o to, iż zdobył dla angielskiego lwa więcej, niż ten zdoła strawić, nie przyćmiewa godziny triumfu Henryka w katedrze w Troyes. Przechodzi ze swego fotela przed ołtarzem do stołu, przygotowanego w jednej z naw, gdzie na dokumentach traktatu kładzie swój podpis i pieczęć. A trzymając pióro nad pergaminem nie może się powstrzymać, by nie wyrazić raz jeszcze przekonania, iż jest narzędziem niebios, wraz z logicznie wynikającą, chociaż niezbyt kurtuazyjną sugestią, że Bóg odmawia swej łaski ofiarom angielskiej agresji.

„My, Henryk król Anglii, któremu Bóg w swej nieskończonej dobroci i sprawiedliwości dał moc i władanie, przysięgamy na Jego Syna i Najświętszą Matkę, iż dopełnimy w każdym szczególe naszych obligacji, sporządzonych i podpisanych...”

Jeszcze jedna, krótka ceremonia tego dnia: oficjalne zaręczyny z

księżniczką Katarzyną. Zaślubiny odbędą się po upływie zaledwie dwunastu dni. W ciągu tego czasu, Henryk codziennie odwiedza narzeczoną w obecności jedynie jej ochmistrzyni.

— Czy zechcesz, dobra księżniczko Katarzyno, najpiękniejsza z pięknych, wziąć sobie za męża mnie, po prostu żołnierza?

Ostrzeżona przez ochmistrzynię, iż nie powinna wydawać się nazbyt ochocza, niezależnie od uczuć, jakie żywi, Katarzyna odpowiada:

' „T~- Gzy być może, abym kochała nieprzyjaciela Francji? — Nie, być nie może, abys kochała nieprzyjaciela Francji, Kasiu; ale kochając mnie, będziesz kochała przyjaciela Francji, bo ja tak kocham Francję, że nie chcę się rozstać z jedną jej wioską, całą chcę zatrzymać, a, Kasiu, gdy Francja jest moją," a. ja twoim, twoją będzie Francja, a ty moją."

Tyle Szekspir.

Chociaż chętnie przyjmuje tego, który jest jej przeznaczony, Katarzyna wie, że przeznaczenia by nie uniknęła nawet, gdyby chciała. Odpowiada więc :

— Sire, w tych sprawach księżniczki nie mają wyboru.

— Ach, ale jestem jednym z tych, którzy w tej sprawie decydują i ja ci daję wybór. Jeżeli powiesz, że jeszcze nie możesz mnie kochać, nie będziesz musiała. Będę się zalecał dłużej, aż znajdę łaskę w twoich oczach, które mnie się wydają najpiękniejsze!

Katarzyna decyduje, że okazała już dość powściągliwości, by zaspokoić własną, nie nadmierną skromność. Jednakże jeszcze zaczyna bez osobistego zaangażowania:

— Wasza królewska mość! Kogóż lepszego można by wybrać na męża, niż potężnego króla Anglii i regenta Francji? — W końcu jednak kobieta dochodzi do głosu: — I któreż dziewczynie trzeba by więcej zalecania, niż znajduję w twoich oczach od chwili, gdy pierwszy raz wzrok na mnie zatrzymałeś?

— Więc, najdroższa, kładziesz kres mojej samotności, mojej smutnej dotąd doli kawalera! Będę miał zaufane, kochające serce, które podzieli moje ciężary. A ty, Kasiu, przysięgam, znajdziesz mnie tak ci oddanym, jak tylko może być król i żołnierz, który niekiedy musi poświęcać swoje i swojej małżonki szczęście na rzecz wojennej wyprawy.

Ochmistrzyni odwraca się dyskretnie na widok uścisku, zdradzającego wzajemne namiętne pożądanie.

Po dniach uczt, bankietów, muzyki i tańców, Henryk de Sa-voisy, arcybiskup z Sens, zaślubia królowi Anglii Katarzynę, księżniczkę francuską. Razem z królestwem Henryk zdobył żonę — która w ciągu dwóch następnych nocy, nareszcie niepowściągliwa, dowiedzie, iż istotnie nie była niechętną ofiarą na ołtarzu ambicji politycznych. Jej małżonek

bliższy był wyczerpania, aniżeli po bitwie pod Agincourt.

#### *Rozdział XIV*

### **„ZA SŁAWNY BY ŻYĆ DŁUGO”**

— Ja, Henryk król Anglii, tobie Filipowi księciu Burgundie porękę daję i przysięgam...

— Ja, Filip książę Burgundii, tobie, Henrykowi królowi Anglii, porękę daję i przysięgam...

— ...razem i wspólnie z innymi szlachetnej krwi rycerskiej, a jakiegokolwiek europejskiej nacji, którzy by ochotę wyrazili nam towarzyszyć, wyzwolić Jerozolimę z rąk Turków niewiernych, skoro tylko Francję właśnie domowe rozdzielać ustaną i skoro wszystkie ziemie w jej granicach od północy do południa i od wschodu do zachodu uznają króla, jego regenta i następstwo tronu według postanowień traktatu w Troyes...

Odbywa się to podczas oblężenia Melun. Henryk nie dożyje dnia, gdy Francja zjednoczy się od granicy do granicy, ani też nie będzie już mógł dopełnić przysięgi. Ale ta przysięga — publiczna, dłonie złączone uściskiem, ramię przy ramieniu z młodym księciem — poświadcza, że w oczach Henryka podbój Francji jest tylko jednym krokiem dalej na drodze do wyższych, ambitniejszych celów. Zamiar poprowadzenia wyprawy krzyżowej przeciwko niewierzącym wzmocniła jeszcze wdzięczność Bogu za osiągnięte triumfy. Gdy będzie umierał, kronikarze zanotują jego ostatnie słowa:

— Ty wiesz, o Boże, iż zawsze zamierzałem i zamierzam na dal, jeśli przeżyję, odbudować mury świętej Jerozolimy.

Zwykłym ludzkim zwyczajem, Henryk przypisuje wzniosłe motywy swoim intencjom. Ma naturę wiecznie niespokojną. Lepiej się czuje w obozie wojskowym, niż w królewskim pałacu. Potrafi organizować i rządzić, ale brak mu w tym doświadczenia, świadomie czy też podświadomie powątpiewa o własnej umiejętności długiego pokojowego panowania, kiedy to mógłby zapracować na przywiązanie swych poddanych, ale nie byłoby okazji zdobycia ich uwielbienia. W głębi serca chce wciąż na nowo okrywać się chwałą, od podboju Francji poprzez ukorzenie azjatyckiej Turcji iść do politycznego opanowania Europy. Z usposobienia i temperamentu jest średniowiecznym rycerzem, już jednym z ostatnich, który przez przypadek uzurpacji tronu przez jego ojca stał się królem-bohaterem.

Oblężenie Melun obrazuje obecną sytuację Henryka. Zwie się regentem Francji i dziedzicem francuskiego tronu. Ale chociaż Paryż i północne prowincje na pozór podporządkowują się jego władzy — choćby dlatego, że znużyły się wojnami wszelkiego rodzaju i chętnie witają pokój — to jednak prowincje środkowe i południowe pozostają w mocy wydziedziczonego Delfina. Zaledwie w dwa dni po swoich zaślubinach Henryk wyjeżdża z księciem Filipem i angielsko-burgundzkim wojskiem, by zabezpieczyć Paryż od południowego wschodu, zdobywając twierdze nad górną Sekwaną i Yonną, jeszcze w rękach Armaniaków.

Sens kapituluje bardzo prędko. Regent Francji, wkraczając do miasta dnia 11. czerwca zwraca się do Henryka de Savoisie, który odprawiał

ceremonię ślubną w Troyes i powiada wesoło:

— Wasza wielbność dałeś mi żonę. Teraz ja przywracam waszej wielbności jego żonę: katedrę.

W Montereau dowódca garnizonu, Sire de Guitry, odmawia otwarcia bram i wydania twierdzy. Nic w tym dziwnego, bo trudno się spodziewać, aby księżę Filip, którego ojca zamordowano zdradziecko na moście Montereau, okazał się skłonny do łaskawości. Jednakże tu nie księżę, a właśnie Henryk zareagował ostro, żeby nie powiedzieć: nie po rycersku. Kazał przed bramami powiesić armaniackich jeńców.

Gdy zawsze wrażliwy i czułego serca hrabia March protestuje łagodnie, Henryk odpowiada szorstko :

— Kto teraz nam się sprzeciwia, jest buntownikiem przeciw władzy króla Francji i jako taki będzie traktowany.

Powiedział Katarzynie, że kocha Francję. Być może. Ale chyba nie bardzo kocha Francuzów.

Przykład Monteraueu nie odstraszył odważnego i pomysłowego dowódcy Melun, Sire de Barbazan. Twierdzy bronią wysokie wieże, głęboka fosa, potężne mury. Liczna i doborowa załoga — w której skład wchodzi dwudziestu Szkotów, spragnionych wojny z Anglikami, wszystko jedno, w czym imieniu — trzyma się przez osiemnaście tygodni przeciwko dwudziestotysięcznej armii Anglików i Burgundczyków, na dokładkę z Niemcami pod wodzą księcia Ludwika bawarskiego.

W umyślnie wybudowanym obszernym domu w pobliżu namiotu, z

którego Henryk kieruje oblężeniem, ale w bezpiecznej odległości od kul z  
dział Armaniaków, rozlokowuje się dwór: król Karol z Izabelą i królowa  
Anglii. „Codziennie o wschodzie słońca i o zachodzie” notuje  
współczesny kronikarz „osiem lub dziesięć klarynetów z różnymi innymi  
instrumentami, muzykuje nadzwyczaj melodyjnie przed kwaterą króla  
Francji.” Henryk bardzo często odwiedza swą młodziutką małżonkę —  
jakby przeczuwał, że niewiele mu czasu zostanie, by spłodzić syna i  
dziedzica.

Pomimo rozrywek dworskich oraz aktywności innego rodzaju, operacje  
oblężnicze posuwają się energicznie i krew się leje po obu stronach.

Książę Filip i Ludwik bawarski chcieliby koniecznie pokazać, że oni i ich  
rodacy potrafią dorównać, a może i prześcignąć Anglików odwagą i  
talentami wojennymi. Molestują więc naczelnego wodza:

— Spróbujemy wdrzeć się na mury.

— Jeszcze nie teraz — oponuje Henryk. — Nie dokonano

poważniejszego wyłomu, a obrońcy są liczni i niełękliwi. Suk-

ces wątpliwy, a nawet, gdyby się wam udało wdrzeć na mury, straciecie  
wielu żołnierzy.

Dwaj młodzi książęta nie chcą słuchać żadnych argumentów. Poty  
nalegają, aż wreszcie Henryk powiada:

— Przeciwnie to memu zdaniu, ale skoro się upieracie, to

niechaj tak będzie. Waszych ludzi, nie moich, poprowadzicie

w paszczę lwa. Niech Bóg wam sprzyja, bo mocno się boję, że

bez jego pomocy niemało ucierpicie.



Henryk przypatruje się szturmowi. Armaniaccy kusznicy mają z wysokich murów łatwy i bliski cel, a mieszczanie leją prosto w twarze atakujących wrzące tłuszczę, spychają potężne kamienie. Sire de Barbazon urządza wycieczkę i zachodzi Burgundczyków i Bawarczyków od tyłu. Mniej niż połowa żołnierzy, poprowadzonych przez książąt, powraca, a i z tych wielu jest rannych. Henryk wielkodusznie powstrzymuje się od przypomnienia, że to przewidział, przeciwnie, pociesza wstrząśniętego i upokorzonego księcia Filipa :

— Takie porażki trafiają się na wojnie. Dzielnie szturmowaliście. Nie wszystkie wojenne przedsięwzięcia, choćby godne pochwały, mogą być uwieńczone sukcesem.

— Łaskawy dla nas jesteś, Sire — mówi żałośnie Filip. — Ale z twoich godnych pochwały wojennych przedsięwzięć, ilu sukces nie uwieńczył?

Oblegający drążą podkopy pod murami i zakładają miny, oblężeni — kontrminy. Przy blasku pochodni, pod ziemią wybuchają ciągle utarczki i pojedynki. Pewnego razu angielscy rycerze sprzecają się, który z nich będzie miał zaszczyt zejść pierwszy do podkopu. Henryk słyszy to i wchodzi między nich:

— Dzielni i odważni z was ludzie i dziękuję Bogu, że mi dał takich towarzyszy. Ale nie sprzecajcie się dłużej. Ja sam pójdę pierwszy...

Natyka się pod ziemią na uzbrojonego rycerza armaniackiego, pojedynkują się na miecze i sztylety. Żaden nie może osiągnąć przewagi,

żaden też nie ustępuje. Gdy obaj przerywają, by zaczerpnąć tchu, Henryk

— na chwilę zdając sobie spra-

251

wę, że namiętność do świeżo poślubionej małżonki wyczerpuje jego siły

— mówi, dysząc ciężko:

— Chcę znać nazwisko tego, który ze mną walczy tak dziel

nie i umiejętnie!

— Jestem Barbazon — brzmi równie zdyszana odpowiedź.

— A ja Henryk.

— Henryk? Chyba nie król angielski?

— Ten sam — mówi z uśmiechem Henryk, odsłaniając przyłbicę.

— Gdybym był wiedział, Sire, czyje to pchnięcie parowałem z takim  
trudem i kto na mnie tak twardo nacierał — mówi Barbazon — mniej bym  
się dziwił, iż byłem tak blisko czegoś, co mi się jeszcze nigdy nie  
zdarzyło: porażki w pojedynku.

Dwaj rycerze, którzy przez całą godzinę próbowali się nawzajem  
pozabijać, ściskają sobie ręce i rozchodzą się każdy w swoją stronę.

Henryk kłopotuje się o dwudziestu Szkotów w twierdzy. Nie można ich  
nazwać zdrajcami w stosunku do króla Francji. Sprowadza więc Jakuba I  
szkockiego pod Melun z jego honorowego więzienia w pałacu  
windsorskim, i posyła go pod silną eskortą nad fosę, aby stamtąd wezwał  
swoich rodaków do poddania się jemu, ich prawowitemu suwerenowi.

Odpowiadają mu śmiechy i grad kamieni. Gdy Jakub powraca, Henryk  
rzecze:

— Uczyniłem, co było w mojej mocy, dla dobra twoich poddanych.

Ale wyzywając ciebie, przypieczętowali swój los.

— A jaki będzie ich los?

— To się okaże po wzięciu twierdzy — odpowiada Henryk.

Choroby, głód i oznajmienie Delfina, że nie jest w stanie przysłać odsieczy, zmuszają nareszcie dzielnych obrońców Melun do kapitulacji. A tego dnia Henryk jest w złym nastroju. Rozkazuje, aby wszystkich w mieście, żołnierzy i cywilnych mieszkańców, zatrzymano jako jeńców, dopóki nie zostaną za nich zapłacone okupy. Wyłącza tylko Barbazona.

— Potykałem się z nim w walce wręcz — powiada Henryk. — I żaden z nas nie zwyciężył. Według prawa rycerskiego łączymnie z Barbazonem powinowactwo broni. Moim obowiązkiem i przyjemnością będzie podejmować go, jak brata.

Nie znajdzie się ani krzty rycerskości w jego potraktowaniu Szkotów. Ogłasza ich zdrajcami wobec ich własnego króla i chociaż Jakub wstawia się za nimi, rozkazuje ich powiesić co do jednego. Może to być zgodne z prawem, ale nie zgadza się ze sprawiedliwością. Ci Szkoci nie walczyli przeciw swemu królowi, lecz przeciw temu, który ich króla trzyma w niewoli, a jest odwiecznym, tradycyjnym wrogiem ich kraju. Co więcej, sprowadzając Jakuba do Melun, Henryk świadomie nastawił na nich pułapkę, w którą człowiek honoru musiał wpaść.

Bezwzględność, do tej pory występująca tylko sporadycznie, cechuje Henryka coraz wyraźniej, od kiedy został regentem Francji i mężem

francuskiej księżniczki. Wydaje się, że umocniwszy się przy władzy, zatracił łaskawość: jakby już nie odczuwał potrzeby zjednywania sobie ludzi.

Zdobycie Sens, Montereau i Melun oddało w ręce Henryka pełne władanie nad drogami, prowadzącymi do Paryża.

— Czas, by król Karol do swojej stolicy wrócił i ludowi się pokazał, razem z następcą tronu — powiada Henryk.

*...O pompo, pokaż, pokaż mi twą cechę,*

*Treść całą pokaż twego uwielbienia!*

*Jak często pijem miast hołdu słodyczy*

*Truciznę pochlebstw!*

Bywało może, że Henryk tak myślał, w nastroju goryczy. Ale widać, że doskonale rozumie pożytek ceremoniału i wszelkiej „pompy”. Jego poddani, czy to angielscy czy francuscy, nie mają do dyspozycji wielu różnorodnych form rozrywek, więc uroczysty wjazd królewski jest nie tylko okazją do przerwania codziennego trudu, ale też świetnym widowiskiem, z rycerstwem, strojnym w jedwabie lub lśniące zbroje, z szeregami mocarnych łuczników, z muzykantami, z ognistymi, harcującymi rumakami. Henryk potrafi w pełni wykorzystać taką sposobność, wie, jak sobie zjednywać uznanie. Prowadzi ulicami Paryża uroczystą procesję, jadąc obok Karola VI. Trudno nie spostrzec kontrastu. Król Francji, biedny stary dziwak, zaledwie potrafi się trzymać na koniu; król Anglii, trzydziestotrzyletni, dorodny, męski, w każdym calu wojownik, jest zręcznym reżyserem na dokładkę.

Po lewej stronie, na dystans jednej długości konia za królami, jedzie księżę Burgundii, wraz z rycerzami i dworzanami jego świty, jeszcze w żałobnych strojach po śmierci Jana Nieustraszonego. Po stronie prawej — bracia Henryka, Glarence i Bedford; dalej hrabiowie noszący wsławione w wojnach nazwiska: Exeter i Warwick, Salisbury i Huntingdon. Tłumy widzów, podniecone płynącym z fontann winem, wiwatują entuzjastycznie, wyrzucają w górę czapki. Z kościołów rozlegają się dźwięki Te Deum. Księża przynoszą święte relikwie królom do pocałowania.

Następnego dnia dwie królowe odbywają oddzielny uroczysty wjazd do stolicy. Izabela rozkoszuje się ceremonią. To i dobrze, bo dla niej dni przepychu mijają. Henryk i Katarzyna umieszczają swój dwór w Luwrze. Francuska para królewska musi się zadowolić skromnymi apartamentami w Hôtel St. Pol, gdzie im towarzyszy tylko niewielu starych, wiernych dworzan. Nie robi to żadnej różnicy biednemu królowi Karolowi, ale jest dotkliwym upokorzeniem dla królowej, pozbawionej kompanii przymuszanych rozkazami kochanków, a nawet jej ulubionych zwierząt, prócz jednej tylko małpki. A znosi to upokorzenie tym gorzej, ponieważ brak jej pieniędzy.

Henryk zachowuje się tak, jakby to on był koronowanym suwerenem Francji. Nakazuje mu to konieczność. Musi pokazać, że regencja nie jest dla niego tylko czczym tytułem. Usuwa dowolnie z wysokich stanowisk Francuzów, o których wierności powątpiewa, zastępuje ich innymi, których uważa za lojalnych, a w braku takich — rycerzami angielskimi.

Mianuje Clarence'a gubernatorem Paryża i daje mu instrukcje:

— Weź miasto silnie w garść. Bacz na wybryki tłumów:

skłonne są do pławienia się we krwi. Baszty i fortyfikacje obsadz żołnierzami angielskimi.

Boże Narodzenie Henryk obchodzi bardzo pobożnie. Dla

przypodobania się młodej królowej odbywają się również uczty i zabawy.

Przed Nowym Rokiem Henryk z Katarzyną i Bedfordem wyrusza na północ, do Rouen, gdzie przepędza cały miesiąc na starannej lustracji rządów Normandią.

Trzy stany Francji — a właściwie ci z przedstawicieli stanów, którzy nie są pod władzą Delfina i Armaniaków — ratyfikowały traktat z Troyes.

Henryk, życząc sobie, aby jego sukcesów nie uważano za czysto osobiste, lecz narodowe, zażądał również ratyfikacji od parlamentu angielskiego.

Do Rouen przyjeżdża delegacja obu izb, wyrażając obawę, aby mniejsze, nie tak ludne królestwo nie uległo podporządkowaniu wobec większego.

Proszą więc o deklarację — którą Henryk chętnie ogłosi, chwając ich rozwagę i dalekowzroczność — że odtąd naród angielski będzie zobowiązany do posłuszeństwa wobec Henryka tylko jako króla Anglii, a nie jako władcy Francji.

Izba Gmin dodaje również prośbę, aby ich suweren:

„...wespół z najjaśniejszą panią, królewską małżonką, zechciał niebawem powrócić i odwiedzić to królestwo”.

Taktowne przypomnienie, że chociaż kraj żyje w pokoju i dostatkach, jednakże jego monarcha ma obowiązek pokazania się swoim poddanym, tym więcej wtedy, gdy za granicami siebie i ich okrył chwałą.

Henryk, który od trzech i pół lat nie był w Anglii, z gotowością spełnia to życzenie swoich poddanych. Pod koniec stycznia roku 1421 wyznacza swoim osobistym zastępcą we Francji Clarence'a, przydając mu do pomocy hrabiego Salisbury, doświadczonego żołnierza, a sam z królową i Bedfordem wyprawia się do Calais i do ojczyzny.

Z Rouen do Londynu, cała podróż jest jednym wielkim pochodem triumfalnym. Dumni, iż są pierwszymi rodakami swego suwerena, którzy powitają jego małżonkę, angielscy mieszkańcy Calais wyprawiają bankiety, uczyty, procesje, widowiska i powszechne zabawy. W Dover baronowie i rycerze, nie dbając o swe bogate stroje, wchodzą w morze — jak wtedy, gdy witali Henryka powracającego spod Agincourt — prześcigając się wzajemnie i ubiegając o honor wyniesienia na brzeg na własnych ramionach swego suwerena i jego małżonki — trochę wystraszonej i protestującej cieniem głosem. Niepoliczone tłumy mieszczan i wieśniaków towarzyszą królewskiej parze aż do Canterbury, nim powiewając czapkami i chustkami, pożegnają ich ostatnimi wiwatami i wzywaniem boskiego błogosławieństwa.

Król Henryk powraca do Anglii, dziwnie spokojnej po zamieszkach,

zabójstwach i wewnętrznych waśniach, które rozdzierają Francję i doprowadziły ją aż do ukorzenia się przed najeźdźcą. Parlament pod nieobecność króla zajmował się uregulowaniem handlu. Już to wskazuje na zmiany w Anglii. Dawniej parlament troszczył się głównie o społeczne i ekonomiczne sprawy dotyczące własności ziemskiej. Teraz przyszłość Anglii zaczyna się wiązać z handlem. Mając więc rozwój handlu na oku, udoskonalono bicie monet, za które kupuje się zagraniczne towary i które służą jako środek wymiany w kraju. Poszerza się i reguluje kanały i wewnętrzne drogi wodne, by ulepszyć nawigację między miastami a okręgami rolniczymi, dotąd odizolowanymi w ciągu zimowych miesięcy z powodu opłakanego stanu gościńców. Anglia przekształca się z kraju rolniczego, produkującego wełnę, w kraj, opierający swoje dostatki na manufakturze. Eksport sukna przewyższa eksport wełny. Wywodzi się również skórę nie garbowaną i wyprawioną, ryby, ołów i węgiel, za które otrzymuje się bałtyckie cisy na łuki, włoskie wyroby luksusowe, sól, wino i żelazo.

Handel zagraniczny był poprzednio w rękach cudzoziemskich kupców: Duńczyków, Włochów i Lewantyńczyków. Teraz monopol ich wypiera nowo powstająca klasa rodzimych kupców, prowadzących handel w krajach Europy własnymi nowo zbudowanymi statkami, które skutecznie rywalizują z marynarką innych krajów. Setki statków angielskich zawijają roku do Gdańska i innych portów hanzeatyckich. Parlament, przy pomocy rozrastającej się floty wojennej Henryka, uczynił też wiele dla ukrócenia



piractwa.

Londyn przygotował świetne i tłumne powitanie swemu suwerenowi, powracającemu jako regent i dziedzic tronu drugiego jeszcze kraju, trzykrotnie większego pod względem ludności od jego własnego.

Powracającemu razem z królową. Można się spodziewać, że Katarzyna usunie troskę, głęboko odczuwaną przez poddanych tego królowojownika, który przekroczywszy już trzydziestkę, nie ma jeszcze dziedzica i następcy. Gdyby drugi władca z dynastii Lancastrów zmarł bezpotomnie, mogłaby łatwo wybuchnąć wojna domowa między rywalizującymi pretendentami do tronu. Nikt nie może przewidzieć, że gdy po przedwczesnej śmierci Henryk zostawi w kołysce syna, co prawda bardziej nadającego się do mniszej celi niż do berła, doprowadzi również do wojny domowej, zwanej Wojną Dwóch Róż.

Henryk i jego stolica świetnie się dopasowali. Kupcy londyńscy dopomagają królowi pożyczkami chętnie, bez nacisku z jego strony. A Londyn jest najbogatszym miastem zachodniej Europy. Większość jego pięćdziesięcioletniej ludności zdaje sobie sprawę z tego, ile zawdzięcza temu władcy, który dzięki talentom administracyjnym, szczęśliwemu łączeniu potrzebnej surowości z miłosierdziem — gdy ktoś popadł w konflikt z prawem przez nierozwagę, nieświadomość lub z nędzy — i dzięki wciągnięciu parlamentu do udziału w rządach, stworzył warunki, sprzyjające bogaceniu się kraju. Zatrudniając magnatów wojną we Francji, przypadkiem czy też świadomie, Henryk złożył również na barki szlachty wiejskiej i mieszczan większą niż dotąd odpowiedzialność

za sprawy państwowe, a dzięki temu podniósł ich znaczenie w oczach własnych i społeczeństwa. Świąteczny •— w czasie Bożego Narodzenia roku 1419 — list mieszczan londyńskich do Henryka, podówczas zawierającego z Filipem burgundzkim przymierze wstępne przed traktatem w Troyes, świadczy, że doceniają rolę króla:

„Dzięki składamy naszemu Stwórcy, iż zesłał nam tak łaskawego, szlachetnego i cnót pełnego monarchę, by krajem naszym władał. I donosimy waszej królewskiej mości o kondycji jego stolicy, Londynu, że nie było miasta ani miejsca na Ziemi, które by takiego pokoju i błogostanu zażywało, jak my. I tylko tęsknimy za naszym nieobecnym suwerenem i panem.”

Przed bramami stolicy oczekuje przybycia króla i królowej liczna kompania najpierwszych mieszczan z Lordem Mayorem na czele, a wszyscy konno, wszyscy w szkarłatnych płaszczach z kapturami.

Widowiska i dekoracje przewyższają jeszcze przepychem te, które przygotowano na powitanie zwycięzcy spod Agincourt. „Każda ulica” notuje kronikarz „zawieszona makatami i złotogłowie i jedwabiami i aksamitami i arrasami, najbogatszymi, jakie istnieją.”

W Opactwie Westminsterskim Katarzyna „ośniewająca jak miesiąc maj w południowych krainach” w gronostajach i złocie, woniejąca jaśminem, skłania głowę z wplecionymi we włosy bezcennymi perłami.

Arcybiskup Chicheley nakłada koronę ze złota i diamentów.

Po tej ceremonii królewska para udaje się w objazd kraju, aby się pokazać wiernym i zachwyconym poddanym. Wszędzie na cześć bohatera

i jego małżonki urządza się festyny, widowiska, uroczystości. Henryk wśród tych hołdów i adoracji podkreśla wciąż, że nie zapomniał, komu zawdzięcza błogosławieństwa, jakie nań spłynęły. Regularnie słucha trzech mszy dziennie, a między widowiskami znajduje czas na pielgrzymki do świętych miejsc. To mniej przypada do gustu Katarzynie, ale jest zakochana w swoim świętym małżonku i jego wola jest dla niej prawem.

Pewnej nocy, gdy Henryk bierze ją nagą w ramiona, całuje jej włosy i pieści ciało, źródło jego rozkoszy, Katarzyna przyciska się mocniej do niego i szepcze:

— Wezmiesz mnie? Chyba już dość razy... —

Dość? Nigdy, dopóki się nie zmęczysz...

— Nie zmęcę się, ale nadejdzie czas, kiedy nie będziesz mógł...

— Więc póki co...

Gdy później leżą obok siebie w głębokiej satysfakcji, Henryk się odzywa:

— Może tej nocy cię zapłodniłem i dasz mi syna i dziedzica...

— Nie, tym razem to być nie mogło — odpowiada Katarzyna z tajemniczym uśmiechem.

— Dlaczego? Co to znaczy, ukochana? Ja...

— Ty... zawsze. Ale teraz nasza miłość jest już tylko rozkoszą dla nas.

Nie możesz więcej zapłodnić...

— Kasiu moja! Chcesz powiedzieć...? Jesteś...?

— Jestem najszczęśliwszą żoną na świecie. Twoje dziecko już rośnie

we mnie.

Obejmuje ją, całuje jej oczy, czoło, usta.

— Pierworodny będzie nosił moje imię, jak ja po ojcu. Następnego nazwiemy Karolem...

— A jeśli ci urodzę dziewczynkę?

— Nie urodzisz dziewczynki. Moje lędźwie stworzone do płodzenia męskich potomków, twoje do rodzenia ich!

Katarzyna wybucha śmiechem i odpowiada:

— Boską wszechwiedzę bierzesz na siebie! Niechaj tak będzie.

Wkrótce usypiają oboje, mocno do siebie przytuleni, jeszcze szczęśliwsi w spełnionej miłości.

W życiu Henryka niewiele już się zdarzy, co by mu przyniosło radość.

Następnego ranka po tym, gdy usłyszał radosną nowinę z ust swej żony, nadchodzi wiadomość o klęsce we Francji, wynikłej z chełpliwej nierozwagi Clarence'a, pragnącego przewyższyć brata wojenną sławą.

Clarence ze znacznymi siłami zapuścił się daleko na południe, do Baugć, w pobliżu Loary. Wojsko delfinistów, przewyższające go liczebnie, okrążyło go i odcięło drogę powrotną. Magnaci i rycerze ze świty księcia dowodzą, że obchodząc wroga pod osłoną nocy prawie na pewno uda się uniknąć spotkania, które grozi klęską. Clarence nie chce o tym słyszeć, oznajmia:

— Pod Agincourt stosunek naszych sił był jeszcze mniej korzystny, a król tchórzliwych

Francuzów

spędził

z

pola.

Tu,

pod

Baugé, stoimy w obliczu walnej bitwy, jakiej z dawna wyczekiwałem, aby dowieść, że potrafię tyle samo, co i Henryk!

Ale nie potrafił. Poniósł klęskę i poległ wraz z wielu najdzielniejszymi rycerzami angielskimi.

Czy darzył miłością swego najstarszego brata, czy też nie, w każdym razie Henryk cenił wysoko jego żołnierskie zalety. Szczerze go opłakuje.

Klęska również jest sprawą poważną. Zaszkozi powszechnej opinii o niezwyciężoności Anglików. Delfiniści ośmielą się i nabiorą ducha.

Henryk będzie musiał pośpieszyć do Francji i naprawić, co się da. A na wszelki wypadek nakazuje, by nie ogłaszano publicznie wieści o klęsce pod Baugé, dopóki objazd miast, pałaców, wiosek i kaplic nie dobiegnie końca.

Nie pozwoli też, by radosne nastroje ludności, utrzymywanej w nieświadomości porażki, wygasły bez konkretnych rezultatów. Nawet przed katastrofą pod Baugé Henryk zdawał sobie sprawę, że we Francji jeszcze wiele zostało do zrobienia i ostrzegął Bedforda:

— Taktyka, przyjęta przez Clarence'a i Salisbury'ego, nie na wiele się przyda przeciwko delfinistom. Z relacji wnioskuję, że kampanie

ograniczają się do wypraw podjazdów, na południe i południowy zachód od Paryża wysyłanych. Przynosi to zwykle sporo łupów żołnierzom — i nie żałuję im tego, zasłużyli sobie. Ale takie nie zaplanowane, nie skoordynowane napaści trwałych rezultatów nie przyniosą.

— Więc wyprawisz się na nową kampanię? — spytał Bedford. — Dla naszego królestwa lepiej by było, żebyś tu został, ty i królowa.

— Ale gorzej dla mego drugiego królestwa — odpowiada Henryk. — A gorzej dla drugiego, znaczy teraz gorzej i dla pierwszego również.

Delfin ma nadal liczne wojska w dorze-

260

czu Loary (a Clarence i Salisbury mieli się niebawem przekonać o słuszności jego słów). W jego rękę są też twierdze na północny wschód i na wschód od Paryża. Potrzeba jeszcze jednej bitwy pod Agincourt, tylko rozegranej równiejszymi siłami, aby ostatecznie spór nasz rozstrzygnąć.

Jedynie decydująca klęska wojenna zmusi Armaniaków, by mnie regentem i dziedzicem tronu uznali. To jest nieunikniony wynik pozycji, w jakiej się postawili, zmuszając Burgundie do zawarcia ze mną przymierza.

Na tę planowaną kampanię trzeba było przede wszystkim pieniędzy.

Dochody królewskiego skarbcza nie dorównują wydatkom. Z posagu

Katarzyny tylko pierwszą, małą część wypłacono. Udział króla w okupach za jeńców, wziętych w Me-lun, przeznaczono na administrowanie ziemiami, które uznały traktat w Troyes. Tak więc śladami objeżdżającej kraj pary królewskiej jadą komisarze, by korzystając z patriotycznego

entuzjazmu zbierać datki i pożyczki, duże i małe, od kogo tylko się da, nie tylko od pojedynczych osób, ale miast, miasteczek i wsi zbiorowo.

Odzew przekracza oczekiwania. Przykład daje stryj królewski, biskup Beaufort, który pożycza na wyprawę blisko osiemnaście tysięcy funtów szterlingów. W Londynie parę królewską podejmuje z istic księżęciem przepychem Richard Whittington (ów Dick z bajki o kocie). Gdy służba uprzątnęła ostatnie z niepoliczonych mnogości wyszukanych dań, sekretarz przynosi byłemu burmistrzowi plik dokumentów.

— Wybaczcie mi, wasze królewskie moście — powiada Whittington.

— Ale drobną tę sprawę muszę załatwić akurat teraz, jak to się zaraz okaże.

Ku zdziwieniu króla, królowej i szlachetnych gości, ich gospodarz ze swym sekretarzem zabierają się do rozdierania każdego dokumentu na pół. Strzępy składają przed monarchą. Zajęcie trwa dobrych kilka minut: czoło Henryka się marszczy, Katarzyna niecierpliwie postukuje wachlarzem, a inni poszeptują między sobą, głowami kiwają w stronę pochłoniętego swym zajęciem Whittingtona, a niektórzy wśród obecnych znacząco pukają palcem w czoło. Wreszcie dokumenty przestały istnieć jako takie, a przed królem urósł spory stos podartych strzępków.

— Wasza królewska mość, Madame: jeszcze raz proszę o wybaczenie za przerwę w uczcie — rzecze Whittington. Pochyla się, kładzie rękę na stosie i mówi dalej: — Te dokumenty były obligacjami, wręczonymi mi przez waszą królewską mość za pożyczki, jakich najchętniej udzielałem

dla poparcia królewskich zamierzeń. Obligacje dochodziły w sumie sześćdziesięciu tysięcy funtów wartości i niniejszym są skasowane; Niech żyje nasz najjaśniejszy pan i jego piękna a łaskawa królowa!

Głęboko wzrusza Henryka ten kosztowny gest lojalności i przywiązania. Kupcy wśród gości klaszczą z zapalem. Magnaci — mniej entuzjastycznie. Ubiegł ich i zawstydził zwykły kupiec, okazując więcej od nich wielkoduszności.

Gest Whittingtona jest tylko jednym przykładem afektów, jakie Henryk budzi u swoich poddanych. O większym jeszcze znaczeniu jest wpłacenie królowi w ciągu jednego jedyne go dnia— 13. maja 1421 roku — sumy trzydziestu czterech tysięcy funtów, na którą składa się 535 pojedynczych darów; a jednym jest worek złota od rycerza, a drugim garstka miedziaków, przechowywana w woreczku na piersi wdowy. I będzie wiele dni podobnych. Rzetelna to satysfakcja dla króla, nie tylko z powodu napływającej gotówki, ale może więcej jeszcze jako świadectwo poparcia narodu dla jego zamierzeń: Henryk chce dokończyć podboju Francji.

Poddani wierzą w boską opiekę nad nim, na którą się tak często powołuje, wierzą w powodzenie jego przedsięwzięć. Nie mogą przeczuć, że to nie Francuzi, ale Bóg, w którym może nie bez dumy i zarozumiałości Henryk pokłada ufność, porazi go w chwili, gdy ostateczny triumf był już prawie w zasięgu jego ręki.

Kiedy dnia 21. czerwca Henryk po raz trzeci każe rozwijać żagle do zamorskiej wyprawy, z bólem rozstając się z ukochaną, a teraz brzemienną młodą żoną — będzie to jego ostatnie po-



żegnanie z wyspą, która jest jego ojczyzną i jego sprawnie zarządzanym królestwem. Rok później ciało króla-bohatera, wychudłe od choroby, zanoszą na swych ramionach rozpaczający towarzysze broni na miejsce ostatniego spoczynku w Opactwie Westminsterskim.

Według pojęć wieków późniejszych Henryk, chociaż tak pobożny, miał wiele ludzkich wad. Nawet jego pobożność wyda się mniej religijnym pokoleniom ciasnym fanatyzmem i świętoszkowatą dewocją. Jego patriotyzm, jego dążenie do wielkości Anglii było przesyczone egoizmem i ambicjami osobistymi. Władczy, bywał też niekiedy, chociażby okoliczności zdawały się go usprawiedliwiać, despotyczny i okrutny: gdy jako młody książę zrównywał z ziemią wsi walijskie, gdy nakazał rzeź jeńców pod Agincourt, gdy wygnał głodujące kobiety z dziećmi i starców ze swego obozu pod Rouen, gdy wydał rozkaz powieszenia jeńców przed bramami Sens, a Szkotów po wzięciu Melun. A jednak nawet jego wady maleją, jeśli porówna się je z wadami innych władców owej epoki, zdradzieckich, chciwych, idących do celu po trupach.

Gdyby Henryk był inny, zapewne mniej by osiągnął, może nie zdobyłby sławy wojennej. Ani przyjaciele ani współcześni mu wrogowie nie gorszyli się tymi cechami jego charakteru i postępками, które będą

razić późniejszych historyków, wychowanych w humanistycznych tradycjach, nieznanym średniowieczu, wbrew osławionym, a pod koniec mało przestrzegany prawom kodeksu rycerskiego.

Henryka ukształtowały w pewnym stopniu wywierane na niego presje, jak świadomość zasiadania na uzurpowanym tronie; nacisk z trudem ujarzmianych magnatów, skłonnych do waśni, gotowych podchwycić każdą sposobność osadzenia na tronie własnej marionetki; nacisk odziedziczonej po przodkach, w epoce, gdy wypełnianie ich woli było świętym obowiązkiem, nierozsądnej pretensji do tronu Francji, Potępienie Henryka z powodu jego ambicji byłoby potępieniem całej jego epoki i okoliczności, w jakich żył, walczył i panował.

Nie ulega kwestii, że panował dobrze. Dał swoim poddanym właśnie to, czego im wtedy było potrzeba. Chcieli chwały narodowej — i dostali ją. Chcieli zaufania króla — i król im zaufał. Chcieli mieć udział w rządach państwem — i to pragnienie zaspokoił również. Pomimo wszystkich swoich wad, Henryk miał też wszystkie zalety, wymagane od średniowiecznego króla. A przecież...

Z jednej strony biorąc, i oceniając już po zakończeniu jego krótkiego życia, Henryk zawiódł. Jego podboje okazały się nietrwałe, a próby nie tylko umocnienia ich i rozszerzenia, ale nawet utrzymania — przewyższyły możliwości jego następców, którym zabrakło poparcia narodu. Próby te wycieńczyły i ludność królestwa angielskiego i stan ekonomiczny. Syn, który po nim wstąpił na tron, niewiele wziął z ojca, prócz jego pobożności. Opiekunowie, których pieczy Henryk powierzył

chłopca, kłócili się między sobą, wybuchały waśnie, jak zwykle za panowania małoletniego władcy.

*W kolebce Henryk Szósty dwie korony nosił;*

*Lecz nieład mnogich rządców, co kraj ten zamącił,*

*I berło mu francuskie z słabych rąk wytrącił,*

*I angielskie dzielnice krwią angielską zrosił.*

Jak dostrzegł Szekspir, Henryk V — człowiek, jego życie i panowanie — były tworzywem dobrego teatru, dopóki trwały. Osiągnięcia Henryka nie przetrwały, ponieważ sama ich koncepcja, niesłuszna w założeniu, nie dała im szans przetrwania. Francuzi, jak inne narody przedtem i potem, nienawidzili obcego panowania, i wykorzystawszy późniejszą słabość najeźdźcy, zdołali się zjednoczyć i przywrócić suwerenność narodową.

Ale w innym aspekcie, mniej konkretnym, choć bardzo istotnym, Henryk V nie zawiódł. Jego krótkie życie i jeszcze krótsze panowanie dały Anglii coś ważniejszego, niż przemijające podboje, coś znacznie trwalszego. Henryk dał swej ojczyźnie świadomość narodową.

Przykładem własnym wskazał, że nie należy siedzieć w domu i modlić się o sukcesy; że trzeba iść w świat i siłą zdobywać własny los i los swego kraju.

Jan książę Bedford pożegnał brata trafnym epitafium: — Król Henryk Piąty był za sławny, by żyć długo. Był rzeczywiście sławny w całej Europie swoich czasów. A dla rodaków w późniejszych wiekach stał się symbolem patriotyzmu i dumy narodowej. Najsławniejszy żołnierz krwi angielskiej. Najsławniejszy monarcha późnego średniowiecza. Z ludzkimi

słabościami i wadami. Ostatni angielski król-bohater, ostatni rycerz króla

Artura.

# EPILOG

"Wdowa po Henryku V, Katarzyna, nie stworzona do celibatu, wzięła sobie za kochanka, a później poślubiła, dygnitarza swego dworu. Jej drugim mężem został Owen Tudor, jeden z tych szlachciców walijskich, stronników Owaina Glyna Dwra, z którym walczył i którego pokonał młodociany książę Monmouth. Syn Owena Tudora i Katarzyny pojmie za żonę Małgorzatę Beaufort, z rodu Jana z Gandawy i spłodzi z nią następnego Henryka, który zwyciężając w bitwie Ryszarda III, odbierze mu w roku 1485 koronę Anglii.

Henryk VII zapoczątkuje dynastię mądrych władców, założycieli ekonomicznej i morskiej potęgi Anglii — Tudorów. Zrodzą się wtedy przedsiębiorczy kupcy i armatorzy, korsarze i nie-ulękli żeglarze. Szukać będą wzoru i przykładu i znajdą go — w Henryku V. Wskrzeszą ducha patriotyzmu, odrodzą dążenie do ekspansji, które zapoczątkował ich mentor. Opłyną kulę ziemską dookoła. Obudzą respekt dla imienia Anglii od brzegów Hiszpanii aż po wybrzeże Pacyfiku. Usłuchają nakazów Henryka, by iść w świat, siłą zdobywać własny los i los swego kraju. I przyjmą za własne jego zawołanie bitewne: „Bóg, święty Jerzy i wesola Anglia!"

## SPIS TREŚCI

PROLOG .....

5

*Część pierwsza* — DWIE KORONY ALBO ŻADNA ....

7

<i>Rozdział I</i> — Kuźnia wojny .....	9
<i>Rozdział II</i> — Uzurpowana korona.....	23
<i>Rozdział III</i> — „Do wyłomu!” .....	43
<i>Rozdział IV</i> — Szkoła króla-wojownika .....	63
<i>Rozdział V</i> — „Zwalcie je na króla” .....	87
<i>Rozdział VI</i> — Dzień świętego Kryspina .....	109
<i>Część druga</i> — KORONA ANGLII .....	129
<i>Rozdział VII</i> — Księżę w areszcie .....	131
<i>Rozdział VIII</i> — „Nowy ten tytuł z całym swoim blaskiem” . .	155
<i>Rozdział IX</i> — Gdy cesarz schlebia .....	172
<i>Część trzecia</i> — KORONA FRANCJI .....	187
<i>Rozdział X</i> — „Urodziłem się z żelazną fizjonomią” ...	189

*Rozdział XI* — Jak zaleczono Wielką Schizmę .....

207

*Rozdział XII* — „Nie gonię za sławą na oślep” .....

217

*Rozdział XIII* — Chętna narzeczona .....

234

*Rozdział XIV* — „Za sławny, by żyć długo” .....

248

EPILOG .....

266



Król Henryk V — według współczesnego portretu

nieznanego malarza



Angielscy łucznicy





Wojownicy, rok 1415, według nagrobków kościelnych



Ryszard II oddaje koronę Henrykowi Bolingbroke, rok 1399,  
według „Kronik” Fraissarta

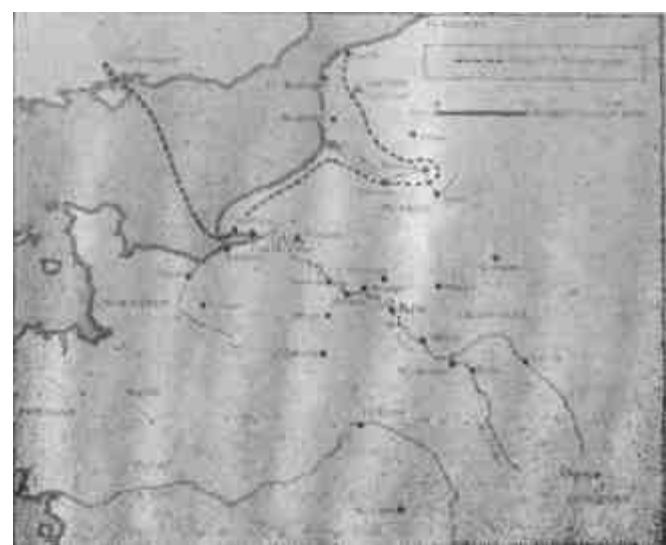


Henryk IV — powiększenie z manuskryptu



Jan książę Burgundi według  
malowidła z r. 1419-





Bitwa pod Agincourt, według manuskryptu z r. 1484

Pierwsza kampania normandzka Henryka V



Żołnierze w marszu



Cesarz Zygmunt —

wg portretu, przypisywanego Pisanellovi



Angielscy żołnierze zdobywają miasto francuskie



Grabież miasta po zdobyciu



Delfin Karol. Według portretu pędzla Foucqueta



Zaślubiny Henryka V i Katarzyny de Valois



Grobowiec Henryka V w Opactwie Westminsterskim



Hełm i miecz

Henryka V,

niesione podczas

ceremonii

pogrzebowych